

**Wkładaj kombinezon
i w drogę**

Robert A. Heinlein

Nakładem Domu Wydawniczego REBIS
ukazały się następujące powieści
Roberta A. Heinleina:

HIOB

LUNA TO SUROWA PANI

KOT, KTÓRY PRZENIKA ŚCIANY

MIĘDZY PLANETAMI

Robert A. Heinlein

Wkładaj kombinezon i w drogę

Tłumaczył
Sławomir Dymczyk



Dom Wydawniczy REBIS
Poznań 1995

Robert A. Heinlein

Tytuł oryginału
Have Space Suit – Will Travel

Copyright © 1958, by Robert A. Heinlein
All rights reserved
This story was first published in *The Magazine of Fantasy
and Science Fiction* © 1958 by Mercury Press, Inc.
Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 1995

Redaktor
Bożena Osada-Wasielewska

Ilustracja na okładce
Mike Masters

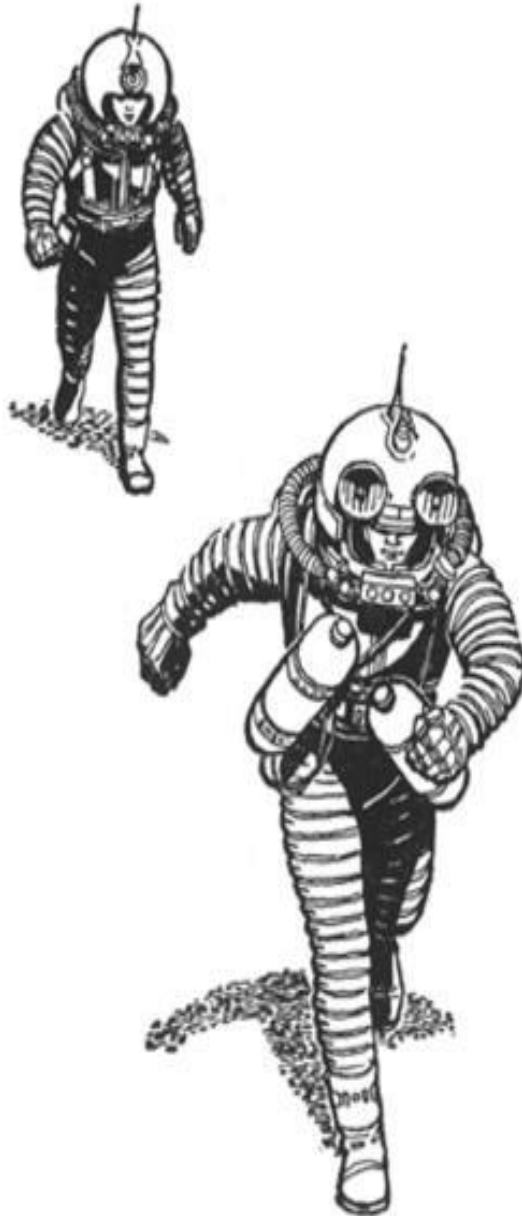
Opracowanie graficzne
Maciej Rutkowski

Wydanie I

ISBN 83-7120-214-8

Dom Wydawniczy REBIS
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 67-47-08, tel./fax 67-37-74

Dla Harry'ego i Barbary Stine



ROZDZIAŁ 1

Pewnego dnia otrzymałem prawdziwy kosmiczny kombinezon, a wyglądało to następująco:

- Tato, chcę polecieć na Księżyc - powiedziałem.
- Jasne - odparł i wrócił do przerwanej lektury. W ręku trzymał Trzech panów w łódce Jerome'a K. Jerome'a, którą to książkę musiał już znać prawie na pamięć.

— Tato! Mówię zupełnie serio!

Tym razem ojciec założył palcem czytana stronę i oznajmił spokojnym głosem:

- Powiedziałem, że nie ma sprawy. Próbuuj.
 - Dobrze... ale w jaki sposób?
 - Słucham? - Sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego.
- Cóż, Cliffordzie, to już twój problem.

To był właśnie cały tata. Kiedy pewnego razu powiedziałem mu, że chcę kupić rower, usłyszałem w odpowiedzi: „Droga wolna”. Nawet nie uniósł wzroku znad książki. Poszedłem więc po skarbonkę, która stoi w jadalni, z zamiarem pobrania odpowiedniej sumy, lecz w środku znalazłem zaledwie jedenaście dolarów i czterdzieści trzy centy. Tak więc mój rower oddalił się o jakieś tysiąc mil skoszonych trawników. Nie nagabywałem taty już więcej, gdyż jeśli pieniędzy nie było w skarbonce, oznaczało to, że nie było ich nigdzie. Tata nie zawracał sobie głowy bankami. Wystarczyła mu skarbonka oraz stojąca obok puszka z napisem „Wuj Sam”, której zawartość pakował raz do roku w

papier i wysyłał pod adresem rządu. Tego typu działalność przyprawiała urząd skarbowy o dokuczliwy ból głowy i pewnego razu zjawił się u nas urzędnik z upomnieniem.

Z początku mężczyzna grzmiał i żądał, później tylko prosił.

- Panie Russell, znamy doskonale pańską sytuację. Nie ma powodu, dla którego nie miałby pan sporządzać należytych zeznań podatkowych.

- Ależ ja sporządzam wszystko jak należy - obruszył się tata. - Tutaj - klepnął się w czoło.

- Przepisy wymagają pisemnych oświadczeń.

- Słuchaj no pan - przerwał mu tata. - Przepisy nie wymagają od obywateli nawet umiejętności czytania i pisania. Dolać kawy?

Urzędnik usiłował namówić ojca, aby płacił na przyszłość czekiem albo wysyłał pieniądze przekazem. Tata w odpowiedzi odczytał mu odpowiedni nadruk na banknocie dolarowym mówiący, iż jest to „legalny środek płatniczy”.

Czyniąc desperacki wysiłek, aby nie wracać z pustymi rękami z wyprawy, urzędnik poprosił tatę, żeby ten nic wpisywał „szpieg” w rubrykę „zawód”.

- Dlaczego?

- Słucham? No, bo nie jest pan szpiegiem, a poza tym po co denerwować ludzi?

- Sprawdzał pan w FBI?

- Słucham? Nie.

- I tak by pewnie nie odpowiedzieli. Ale był pan bardzo uprzejmy, zatem zgoda. Od teraz będę wpisywał „bezrobotny szpieg”. Pasuje?

Poborca o mało nie zapomniał aktówki.

Taty nic nie mogło wyprowadzić z równowagi. Mówił dokładnie to, co myślał, nie unosił się i nigdy nikomu nie ustępował.

Więc gdy powiedział mi, że owszem, mogę lecieć na Księżyc, ale jak, to już mój problem, wiedziałem, że mówi serio. Mogłem lecieć nawet jutro, pod warunkiem że wykombinuję jakoś bilet na statek kosmiczny.

Tata oderwał się na chwilę od lektury i rzekł zadumany:

- Musi być wiele sposobów, żeby dostać się na Księżyc, synu. Lepiej przemyśl wszystkie, zanim wyruszysz. Ha! To mi się kojarzy z fragmentem, który właśnie czytam. Wyobraź sobie, oni próbują otworzyć puszkę z ananasami, a Harris zostawił otwieracz w Londynie. Starają się, jak mogą.

Zaczął głośno czytać, a ja dyskretnie się ulotniłem. Słyszałem już ten fragment z pięćset razy. No dobrze, może trzysta.

Poszedłem do mojego warsztatu w szopie, żeby wszystko dokładnie przemyśleć. Jednym ze sposobów było pojechać do Akademii Lotniczej w Colorado Springs. Wtedy, gdyby udało mi się tam dostać, przez przypadek ukończyć akademię i jakimś cudem zostać członkiem Federacji Lotów Kosmicznych, cóż, może któregoś dnia wysłano by mnie do bazy na Księżycu albo co najmniej na jedną ze stacji satelitarnych.

Mogłem też zostać inżynierem, postarać się o pracę przy produkcji silników odrzutowych i liczyć na to, że kiedyś zostanę wysłany na Księżyc. Przecież potrzeba tam setek inżynierów wszystkich niemal specjalności: elektro-

nicznej, metalurgicznej, klimatyzacyjnej, no i oczywiście raketowej.

O, tak! Ja wśród garstki szczęściarzy wybranej z miliona. Akurat. Nawet w szkole rzadko do czegokolwiek mnie wybierano.

Dostać się na Księżyc mogłem też jako lekarz, prawnik, geolog, ślusarz narzędziowy, nawiasem mówiąc, za niezłą pensyjke. Forsa mnie nie obchodzi, ale jak przekonać cały świat, że właśnie ja jestem najlepszy?

No i najkrótsza droga: taczka pieniędzy i mam bilet na Księżyc w kieszeni.

Tak się składa, że było to najmniej realne rozwiązanie: w kieszeni miałem przecież całe osiemdziesiąt siedem centów.

Problem finansowy skłonił mnie jednak do głębszej zadumy. W naszej szkole połowa chłopaków przyznawała, że marzy o podróży międzyplanetarnej, a połowa udawała, że niespecjalnie tym się pasjonuje, wiedząc, jak małe ma na to szanse. Była też garstka mięczaków, którzy za nic nie opuściliby Ziemi. Ale dużo się o tym rozmawiało i kilku z nas było zdecydowanych polecieć. Ja dostałem gorączki, gdy American Express and Thos. Cook & Son zaczęli organizować wycieczki turystyczne. Zobaczyłem ich ogłoszenie, przeglądając „National Geographic” w poczekalni u dentysty. Odtąd moje życie uległo całkowitej zmianie.

Myśl, że wystarczy mieć kupę forsy na bilet, by polecieć, była dla mnie nie do zniesienia. Po prostu musiałem dostać się na Księżyc. Nigdy nie będę w stanie zdobyć tytułu pieniędzy, a jeśli już mi się to uda, to w tak odległej przy-

szłości, że nie warto nawet o tym myśleć. No więc co mogłem zrobić?

Pewnie, że historie o chłopcach biednych, ale upartych, którym udaje dostać się na szczyt, ponieważ są najzdolniejsi, mają w sobie ziarno prawdy. Jak wszystkie bajki. Kończąc szkołę, byłem w pierwszej czwórce najlepszych, ale za to nie dają stypendium do MIT*, nie z mojej wspaniałej Centerville.

Trzeba przyznać, że nasza szkoła średnia nic odznaczała się zbyt wysokim poziomem. Owszem, byliśmy mistrzami ligi w koszykówce, a nasz zespół taneczny był jednym z lepszych w okolicy, jednakże w dziedzinie nauki...

Nasz dyrektor, pan Hanley, mówił, że ważniejsze jest „przygotowanie do życia” niż trygonometria. O tak, byliśmy przygotowani do życia, ale na pewno nie do studiów na wyższej uczelni. Nie była to tylko moja opinia.

W czasie drugiego roku edukacji w szkole średniej przyniosłem do domu ankietę pod tytułem „Życie rodzinne”, przygotowaną przez nas na zajęciach z socjologii. Jedno z pytań brzmiało: „Jak są organizowane narady w waszej rodzinie?”

- Tato, jak są organizowane narady w naszej rodzinie? -zapytałem któregoś pięknego dnia przy obiedzie.

- Nie przeszkadzaj swemu ojcu, kochanie. - Mama najwyraźniej starała się nie dopuścić do naszego porozumienia.

- Słucham? Pokaż no mi ten papier.

Tata uważnie przeczytał całą ankietę, po czym kazał mi przynieść moje podręczniki. Nie miałem ich w domu, więc

* MIT - Massachusetts Institute of Technology (Instytut Technologiczny Stanu Massachusetts) (przyp. tłum.).

wysłał mnie do szkoły. Na szczęście była jeszcze otwarta. Tata rzadko wydawał polecenia, ale jeśli mu się to zdarzyło, żądał ich natychmiastowego wykonania.

W tym semestrze miałem rzeczywiście kapitalne zajęcia: socjologię, ekonomię, angielski stosowany (klasa wybrała temat „tworzenie sloganów” - niezła zabawa), zajęcia w szkolnym warsztacie oraz wychowanie fizyczne; w moim wypadku była to koszykówka. Nie byłem dostatecznie wysoki, by znaleźć się w pierwszym składzie naszej drużyny, ale czy we wszystkim muszę być od razu najlepszy? W każdym razie w szkole szło mi nieźle i wiedziałem o tym.

Tato przewertował tej nocy wszystkie moje podręczniki (zawsze czytał trzy razy szybciej niż inni).

Na lekcji socjologii odpowiedziałem, że w naszej rodzinie panuje nieformalna demokracja. Klasa dyskutowała właśnie, czy przewodniczący narady rodzinnej powinni być wybierani, czy też mają zmieniać się kolejno, oraz jak w świetle prawa przedstawia się sytuacja dziadków mieszkających w tym samym domu. W końcu zdecydowaliśmy, że dziadkowie są członkami wspólnoty rodzinnej, jednakże bez możliwości pełnienia funkcji przewodniczącego.

Potem zajęliśmy się organizacją komitetów mających opracować konstytucję idealnej organizacji rodzinnej. Oczywiście, projekty miały być wprowadzone w życie w naszych domach.

Tata interesował się moją edukacją jeszcze przez kilka następných dni, co szczerze mnie martwiło. Wiadomo, gdy

rodzice stają się zbyt aktywni, nie wróży to niczego dobrego.

W sobotni wieczór wezwał mnie do swojego gabinetu. Na biurku leżał stos moich podręczników oraz wykaz wszystkich zajęć semestralnych, poczynawszy od amerykańskich tańców ludowych, a skończywszy na przedmiotach ściśle naukowych. Podkreślił moje zajęcia ze wszystkich lat oraz te, które dopiero planowałem.

Tata, wpatrując się we mnie z uwagą pasikonika gotowego do skoku, zapytał:

- Kip, synu, czy wybierasz się do szkoły wyższej?
- Co? Tak, oczywiście, tato.
- Z czym?

Zawahałem się. No tak. Oczywiście, nauka kosztuje.

- Może dostanę stypendium. Albo znajdę sobie jakąś pracę.

Tata skinął głową.

- Bez wątpienia, jeśli chcesz. Problemy finansowe zawsze mogą być rozwiązane przez człowieka, który się ich nie boi. Ale kiedy pytałem: „z czym”, miałem na myśli to - wskazał palcem na swoją głowę.

- Przecież kończę szkołę średnią. To chyba wystarczy.
- O, tak. Z pewnością. Na nasz stanowy uniwersytet, bez wątpienia. Ale, Kip, czy ty wiesz, że oni oblewają przy egzaminie czterdzieści procent wszystkich zdających?
- Ja nie obleję.
- Oczywiście, że oblejesz, jeśli będziesz się opierał na tym - wskazał palcem listę przedmiotów z mojej szkoły, Byłem zaskoczony.

- Tato, przecież Centerville to fantastyczna buda „...wykorzystująca najnowsze metody nauczania opracowane przez psychologów...” — przypomniało mi się to, co słyszałem, kiedy rozpoczynałem edukację.

- „...stosowane przez naszych znakomitych pedagogów. Program nauczania kładzie szczególny nacisk na praktyczne przygotowanie młodego człowieka do życia w demokratycznym społeczeństwie i pełnego uczestnictwa w kształtowaniu kultury”. Tak, synu, ja też słyszałem pana Hanleya. Oczywiście, „na osiągnięcie tych szczytnych celów wydajemy o wiele więcej niż gdzie indziej...”

- No i co w tym złego?

Tata chyba nie dosłyszał mojego pytania.

- Dlaczego Van Buren przegrał w kolejnych wyborach? Ile wynosi pierwiastek sześcienny z 87?

Van Buren był prezydentem; tyle pamiętałem. Oczywiście na drugie pytanie także znałem odpowiedź:

- Żeby dowiedzieć się, ile wynosi pierwiastek sześcienny z 87, wystarczy spojrzeć na tabelę na końcu książki.

Tata spojrzał na mnie dość dziwnym wzrokiem.

- Kip, czy ty naprawdę myślisz, że ta tabela spadła nam z nieba? — zapytał.

- Tak, w pewnym sensie to moja wina — kontynuował. — Powinienem być zająć się twoją edukacją już jakiś czas temu, Cóż, sądziłem, że skoro chodzisz do szkoły, to czegoś cię tam muszą nauczyć.

- Uważasz mnie za głupka?

- Bez przesady. Centerville to cudowne miejsce, wspaniale wyposażone, świetnie kierowane i znakomicie utrzy-

mane. Wszyscy na pewno uwielbiacie waszą budę. Ale to?! — Tato ze złością podniósł listę przedmiotów. — Puste słowa! Kompletna bzdura! Zawodowa terapia dla kretyków!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Tato usiadł i zatopił się w swoich myślach. W końcu rzekł:

- Według prawa musisz chodzić do szkoły dopóty, dopóki jej nie ukończysz lub nie będziesz pełnoletni.

- Tak, tato.

- Szkoła, w której jesteś, to strata czasu. Nie jesteś w stanie nauczyć się tu czegokolwiek. Może by wysłać cię gdzie indziej...

- Masz tyle pieniędzy?

Zignorował moje pytanie.

- Nie popieram szkół z internatami. Młody człowiek powinien mieszkać z rodziną. Daliby ci tam w kość tak, że mógłbyś się dostać nawet do Stanford czy Yale, ale na temat pieniędzy, polityki i pozycji społecznej nabrałbyś fałszywych przekonań, których ja z trudem się wyzbyłem. Nie chcemy z matką zabierać ci dzieciństwa. Zostaniesz w Centerville.

Odetchnąłem z ulgą.

- Rozumiem, że nadal chcesz iść do szkoły wyższej. Czy masz zamiar poważnie zająć się tam nauką, czy zabawiać się tak jak w Centerville? To twoje życie, Kip, rób, co chcesz, ale jeśli myślisz o porządnym uniwersytecie, nie możesz zmarnować następnych trzech lat.

- Pewnie, że nie.

- Pogadamy, jak to wszystko przemyślisz. Dobranoc, synu.

Myślałem o tym przez tydzień.

I wiecie co? Stwierdziłem, że tata chyba miał rację. Nasza ankieta „Życie rodzinne” to był niewypał. Co ta banda dzieciaków wiedziała o życiu w rodzinie? A pani Finchley, ta stara samotna kobieta?

Na lekcji socjologii klasa ustaliła, że każde dziecko powinno mieć swój pokój i własne pieniądze, by nauczyć się nimi gospodarować. Wspaniale. A co z Quinlanami? Dziewiątka dzieciaków w pięciopokojowym mieszkaniu. Nie bądźmy naiwni.

Lekcje ekonomii nie były głupie, ale to też strata czasu. Zaczęły mnie nudzić po tygodniu.

Tata uważał, że powinienem skupić się na algebrze, hiszpańskim, przedmiotach naukowych i gramatyce języka angielskiego. Nic zrezygnowałem tylko z wychowania fizycznego. Nie powiem, żebym się specjalnie przepracowywał, te przedmioty były także kiepsko prowadzone. Jednak zacząłem uczyć się czegoś konkretnego. Tato zasypywał mnie książkami, mówiąc:

- Weź ją, Cliffordzie. Wiedziałyś już dawno to wszystko, gdybyś chodził do normalnej szkoły, a nie do tego twojego przedszkola. Jak już je wszystkie przeczytasz, pomyślimy o szkole wyższej.

Po czym wychodził. Uważał, że sam dokonałem wyboru. A ja zastanawiałem się, czy naprawdę tego właśnie chcę. Te wszystkie książki miały niewiele wspólnego z papką, którą serwowano mi w szkole. Wierzcie, że samodzielna nauka łaciny to coś więcej niż lekcje socjologii.

Początkowo zniechęciłem się, ale po jakimś czasie dostrzegłem, że łacina ułatwia naukę hiszpańskiego i od-

wrotnie, Kiedy pani Hernandez, nauczycielka hiszpańskiego, dowiedziała się o moich samotnych zmaganiach z językiem starożytnych Rzymian, została moim opiekunem. Nie tylko mogłem czytać Wergiliusza w oryginale, zacząłem też władać hiszpańskim jak rodowity Meksykanin.

Algebra i planimetria były jedynymi przedmiotami w zakresie matematyki, jakie oferowała moja szkoła. Stereometrię przerobiłem sam i właściwie mógłbym poprzestać na poziomie egzaminów do szkoły wyższej, ale matma wciągnęła mnie bardziej, niż solone orzeszki. Geometria analityczna wydaje się płataniną wzorów, dopóki człowiek nie pozna kilku podstawowych zasad. Wtedy, jeśli jesteś dobry z algebry, wszystko staje się fantastycznie proste.

Zająłem się też rachunkiem różniczkowym i całkowym, a kiedy pochłonęła mnie elektronika, zgłębiłem także analizę wektorów. Jedyne przedmiot w mojej szkole mający cokolwiek wspólnego z nauką, reprezentował poziom godny telewizyjnego kursu dla emerytów. Ale jeśli czytasz o chemii czy fizyce, po prostu musisz się tym zająć! Na szczęście miałem mój warsztat w szopie, gdzie urządziłem laboratorium, ciemnię i pracownię pirotechniczną. Mama wpadła w panikę, gdy któregoś dnia wyleciały w domu wszystkie okna, a mój warsztat o mały włos nie spłonął. Ale tata był spokojny. Zwyczajnie zaproponował mi, bym następnym razem zajął się produkcją materiałów wybuchowych gdzieś poza domem.

Bez problemów zdałem egzamin kończący szkołę średnią.

Był początek marca, gdy powiedziałem tacie o moim zamiarze wyjazdu na Księżyc. Wszystko stało się bardziej

realne z chwilą uruchomienia lotów turystycznych, ale ja myślałem o tym jeszcze w czasach, gdy zakładano pierwszą bazę księżycową.

Wtajemniczyłem tatę w swoje plany, bo sądziłem, że jakoś mi pomoże. Widzicie, jemu zawsze wszystko się udało.

Kiedy byłem mały, często się przeprowadzaliśmy. Waszyngton, Nowy Jork, Los Angeles; nie pamiętam już tych wszystkich miejsc. Mieszkaliśmy zwykle w hotelowych pokojach. Taty prawie nigdy nie było w domu. Zjawiał się, by za chwilę znów gdzieś wyjechać. W końcu przeprowadziliśmy się do Centerville i tu wszystko się zmieniło. Prawie nie wychodził z domu, widywałem go zawsze z nosem w książce lub pracującego przy biurku.

Któregoś dnia, kiedy skarbonka była pusta, tata powiedział, że odwiedzi nas król. Miałem wtedy osiem lat i nigdy w życiu nie spotkałem prawdziwego króla, toteż ogromnie się ucieszyłem. Ale człowiek, który złożył nam wizytę, bardzo mnie rozczarował, ponieważ nie miał korony. Następnego dnia w skarbonce pojawiły się pieniądze, wymyśliłem więc, że król pragnął pozostać nierozpoznany (czytałem właśnie Królewicza i żebraka). Wkrótce potem dowiedziałem się, że „królewski dar” to pieniądze za jakiś patent czy książkę taty. Jednakże chociaż tajemniczy gość nie był tym, za kogo go uważałem, zachowywał się, jakby tata był jego poddanym.

- Doktorze Russell, przyznaję, że Waszyngton ma okropny klimat. Ale będzie pan miał biuro z klimatyzacją.

- I z zegarami, sekretarką oraz izolacją akustyczną. Nie wątpię.

- Wszystko, czego pan sobie życzy, doktorze.
- Widzi pan, w tym rzecz, że mnie to nie interesuje. W

moim domu nie ma zegarów ani kalendarza, ani automatycznej sekretarki. Kiedyś bawiłem się w wielkie interesy i cały mój zysk stanowiły wrzody na żołądku. Teraz nie robię dużych pieniędzy, ale przynajmniej pozbyłem się wrzodów. Zostaję tutaj.

- Jest nam pan potrzebny.
- A wy mi nie.

Ponieważ tata nie wybierał się na Księżyc, musiałem radzić sobie sam. Z katalogu wyższych uczelni wynotowałem wszystkie kierunki techniczne. Nie miałem pojęcia, jak zdobyć forszę na czesne, nie mówiąc już o utrzymaniu.

Najważniejszą sprawą pozostawało w dalszym ciągu dostanie się do porządnej szkoły z dobrą opinią.

Gdyby mi się to nie udało, mogłem jeszcze się ubiegać o przyjęcie do wojskowej szkoły lotniczej i zostać specjalistą elektroniki radarowej czy kimś w tym rodzaju.

Tak czy owak musi mi się udać.

Następnego dnia rano przy śniadaniu wszystko miało się zmienić. Siedzieliśmy każdy zasłonięty swoją gazetą: tata czytał „New York Times”, mama „Herald Tribune”, a ja „Głos Centerville”, który był wart tyle, co papier do owijania salami.

Nagle tata uniósł wzrok znad gazety i spojrzał na mnie.

- Cliffordzie, chyba mam tu coś dla ciebie.
- Hmm...
- Nie chrząkaj, to przywilej dorosłych. Tutaj - i podał mi swoją gazetę.

Była to reklama mydła.

Jeden z setek konkursów z nagrodami dla kupujących różne produkty. Tym razem obiecywano sto bezpłatnych dostaw mydła Podniebny Szlak na najbliższy rok.

I nagle talerz z płatkami kukurydzianymi wypadł mi z rąk.

Pierwszą nagrodą była

BEZPŁATNA WYCIECZKA NA KSIĘŻYC!!!

Tak właśnie było wydrukowane: z trzema wykrzyknikami. Ale dla mnie było ich dwanaście. Z wybuchami sztucznych ogni i niebiańską muzyką.

Wystarczyło jedynie dokończyć hasło, dopisując nie więcej niż dwadzieścia pięć słów: „Używam mydła Podniebny Szlak, ponieważ..”, i wysłać je wraz z opakowaniem. Ogłoszenie zawierało także listę nagród pocieszenia i wykaz fundatorów, aleja, podczas gdy mleko ściekało mi po spodniach, widziałem tylko;

„WYCIECZKA NA KSIĘŻYC!!!”

ROZDZIAŁ 2

Najpierw szalałem ze szczęścia. Z czasem radosne podniecenie zaczęło ustępować miejsca pogłębiającej się

depresji. Oczywiście wysłałem swoje hasło, ale informacja o tym, że to właśnie ja wygrałem konkurs, nie nadchodziła. Po prostu miałem pecha. Tak jak wtedy, gdy kupiłem pudełko krakersów Jacka - akurat to, do którego zapomniano włożyć upominek. Nie mogłem znieść myśli, że TAKA nagroda przypadła komuś innemu. Wszystko dlatego, że nie miałem szczęścia.

- Przestań. - Tato miał na ten temat własną teorię. - Coś takiego jak przypadek nie istnieje. Szczęście trzeba sobie wypracować. Czy nadal chcesz wygrać?

- No pewnie.

- Tak myślałem. No, to do roboty.

Łatwo powiedzieć.

Zajęcia w szkole właśnie się zakończyły i wysłałem podanie o przyjęcie mnie do szkoły wyższej. Popołudniami pracowałem w aptece pana Chartona. Pomagałem mu w magazynie, ale przy okazji mogłem dowiedzieć się czegoś o farmacji. Pan Charton, był zbyt rozsądny, aby pozwolić mi robić cokolwiek innego niż pakowanie i przenoszenie kartonów, jednakże po jakimś czasie byłem już niezłe zorientowany, co i kiedy należy aplikować, To pociągnęło mnie ku chemii organicznej i biochemii, a z czasem także ku fizyce atomowej.

Pan Charton był wdowcem, a farmacja stanowiła treść jego życia. Wiedział, że kiedyś będzie musiał przekazać swój interes; najlepiej młodemu chłopakowi z dyplomem farmaceuty i poświęceniem dla zawodu. Często powtarzał, że pomógłby swemu następcy w finansowaniu nauki. Doskonale wiedział o mojej kosmicznej pasji i o tym, że miałem zamiar studiować elektronikę. Jednak kiedy wspo-

mniał, że mógłbym kiedyś otworzyć aptekę w bazie księżycowej, prawic złapałem przynętę, Wcale nie żartował. Wyjaśnił, że wszędzie tam, gdzie pojawia się człowiek — na Marsie, Księżycu czy na najodleglejszej z gwiazd - pojawia się też choroba. Pożyczył mi parę książek o medycynie kosmicznej.

- Też kiedyś miałem takie pomysły. Ale teraz już na to za późno.

Apteka pana Chartona pełniła funkcję sklepu wielobranżowego. Sprzedawaliśmy niemal wszystko: od opon przez dziecięce rowerki po domowe zestawy narzędzi.

Oczywiście było też mydło. Sprzedawaliśmy też cholerny Podniebny Szlak.

W Centerville nowości nie przyjmują się jednak zbyt szybko. Jestem pewien, że w niektórych domach ludzie jeszcze sami produkują mydło.

Kiedy przyszedłem tego dnia do pracy, musiałem powiedzieć o wszystkim panu Chartonowi. Zrozumiał mnie od razu. Natychmiast zadzwonił do swego dostawcy w Springfield, a na ladzie postawił dwa olbrzymie puste pudła.

Odtąd Podniebny Szlak stał się, po obniżonej odpowiednio cenie, najczęściej kupowanym towarem w aptece. Nasza kampania reklamowa nie miała sobie równych. Na ścianach wisiały informacje o tym, jak doskonałej jakości produkt sprzedajemy, jak zmiękcza i wygładza naskórek, jak dokładnie czyści i ile zawiera witamin.

Byłem bezczelny. Przypadki, gdy komuś udało się wymknąć z apteki bez cudownego mydełka, zdarzały się coraz rzadziej.

Opakowanie każdy musiał zostawić w kartonie.

Dorośli robili to z uśmiechem politowania (co za wariat z tego Clifforda!), dzieciakom płaciłem czasem centa za każdy papierek. Dostawały więcej, jeśli przynosiły także opakowania z innych sklepów. Zasady konkursu zezwalały jednej osobie na wysłanie nieograniczonej liczby zgłoszeń. I to było właśnie „wypracowywanie sobie szczęścia”.

Moja pomysłowość w układaniu haseł reklamowych nie miała granic. Nie podejrzewałem siebie o takie zdolności literackie:

„Używam mydła Podniebny Szlak, ponieważ:

- sprawia, że czuję się czysty niczym obłoczek
- usuwa brud z prędkością światła
- jest delikatne niczym księżycowa poświata
- nie ma sobie równych w naszej galaktyce
- dodaje mojej skórze blasku tysiąca słońc”,

słowem:

„Tak czy siak, najlepszy jest Podniebny Szlak”.

I tak bez końca. Mydło śniło mi się po nocach. Do pomocy zgłosiła się cała rodzina: mama, tata, nawet pan Char-ton - wszyscy układali slogany. Założyłem specjalny zeszyt, w którym zapisywałem nowe pomysły, czy to w szkole, w pracy, czy w środku nocy. Wieczorami zbierałem wierszyki od rodziców i zapisywałem je w kolejności alfabetycznej, żeby uniknąć powtórek. Wysyłałem około stu haseł dziennie. Idąc na pocztę, zabierałem z apteki parę mydełek na sprzedaż.

Niewątpliwie nie ja jeden w naszym miasteczku brałem udział w konkursie. Z pewnością nikt jednak nie rozwinął linii produkcyjnej na tak wielką skalę. Pracę kończyłem o dziesiątej wieczorem. Pędziłem do domu z cało-

dzienną porcją wierszyków i opakowań, spisywałem hasła mamy i taty, a potem stemplowałem wszystkie papierki: „Używam mydła Podniebny Szlak, ponieważ”; i dopisywałem kolejne slogany reklamowe. Czasem pomagał mi w tym tata. Wysyłałem wszystko następnego dnia rano po drodze do szkoły.

Byłem bezkonkurencyjny. Właściwie wszyscy w Centerville mi pomagali. Wszyscy oprócz...

Ace Quiggle był typem spod ciemnej gwiazdy. Jestem pewien, że każde miasteczko ma co najmniej jednego takiego Ace'a - początkującego kryminalistę, stałego bywalca posterunków policji i domów poprawczych. Odkąd pamiętam, Ace zawsze włóczył się bez celu po głównej ulicy, zaczepiając dzieciaki. Uważał się przy tym za bardzo dowcipnego faceta.

Wszedł do apteki w chwili, gdy udało mi się namówić panią Jenkins na zakup tuzina mydeł - oczywiście bez papierków. Ace wskazał niedbałym ruchem półkę z Podniebnym Szlakiem i zapytał:

- Ty to sprzedajesz, kosmonauto?
- Tak. Cena obniżona o 30 centów. Taka okazja już się nie powtórzy, Ace.
- Rozumiem, że wybierasz się na Księżyc, kapitanie. Albo raczej komandorze, he, he, he! - Jego śmiech przypawił mnie o dreszcze.
- Staram się - odpowiedziałem uprzejmie. - Może kupisz parę?
- Mówisz, że to naprawdę dobre mydło?
- Najlepsze.
- Dobra, robię to tylko dla ciebie. Daj jedno.

Kretyn. Ale właśnie to mogło być zwycięskie opakowanie.

- Wielkie dzięki, Ace.

Skasowałem pieniądze. Ace włożył mydło do kieszeni i ruszył w stronę wyjścia.

- Chwileczkę, Ace. Dasz mi ten papierek?

Zatrzymał się.

- A, tak.

Wyjął mydło z kieszeni, odwinął i wysunął rękę z opakowaniem.

--- Chcesz?

--- Pewnie.

--- Pokażę ci, co najlepiej z tym zrobić.

Wyjął paczkę papierosów, zapalił jednego, po czym przytknął go do opakowania. Spaliło się prawie całe. Resztę rzucił na podłogę i przydepnął.

Pan Charton obserwował wszystko zza szyby.

Ace wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dobrze, kosmonauto?

Zmroziło mnie. Odpowiedziałem, patrząc mu w oczy:

- Świetnie, Ace. To przecież twoje mydło.

To było jedno z nielicznych opakowań, które straciłem.

Termin nadsyłania zgłoszeń mijał pierwszego maja i dzisiaj był ostatni dzień, kiedy mogłem jeszcze cokolwiek wysłać. Tata wraz z panem Chartonem postanowili pomóc mi w pakowaniu. Skończyliśmy po jedenastej, a pan Charton podwiózł mnie jeszcze do Springfield, żebym mógł nadać wszystko przed północą. Łącznie wysłałem pięć tysięcy siedemset osiemdziesiąt dwa opakowania po mydle Pod-

niebny Szlak. Wątpię, czy mieszkańcy Centerville kiedykolwiek bardziej dbali o higienę.

Wyniki miały być ogłoszone czwartego lipca. Przez te dziewięć tygodni nie mogłem myśleć o niczym innym oprócz mojej kosmicznej wyprawy. Tymczasem odbyła się uroczystość rozdania świadectw. Wiecie: dyplomy, uśmiechy, przemówienia, prezenty. Dostałem od rodziców zegarek. I chociaż nasza stara buda nie miała zbyt wiele wspólnego z porządną edukacją, to było mi czegoś żal. Przedtem urządzono jeszcze Dzień Wagarowicza, Dzień Absolwenta, wycieczkę szkolną i parę innych imprez ku uciechu młodzieży. Pan Charton zwalniał mnie wcześniej, jeśli o to prosiłem, ale teraz nie bardzo chciało mi się spotykać z kumplami.

Po zakończeniu roku szkolnego zacząłem pracować w aptece na pełnym etacie. Ciągłe nie wiedziałem, co z dalszą nauką. Zupełnie o tym nie myślałem. Objadałem się lodami i wstrzymywałem oddech na myśl o Czwartym Lipca.

Rozwiązanie konkursu miało być transmitowane przez telewizję o ósmej wieczorem. Mieliliśmy czarno-biały telewizor (mojej produkcji!), ale nikt go nie włączał w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Odkąd go zmontowałem, przestałem się nim interesować. Odkurzyłem pudło, postawiłem w jadalni i włączyłem, by sprawdzić obraz. Regulacja zajęła mi parę godzin. Z przejęcia nie byłem w stanie zjeść obiadu. O wpół do ósmej siedziałem już przed telewizorem, nerwowo przekładając kartki w notesie z hasłami. Wszedł tata, przyglądał mi się przez chwilę, a potem powiedział:

- Weź oddech, Kip. Pozwól sobie przypomnieć, że prócz ciebie także parę innych osób ma szansę na wygraną.

- Wiem, tato.
- W gruncie rzeczy nie masz się czym przejmować. Człowiek prawie zawsze osiąga to, czego pragnie, jeśli tylko bardzo tego chce. Jestem pewien, że w ten czy inny sposób kiedyś dostaniesz się na Księżyc.

- Wolałbym teraz.
- Zobaczymy. Idziesz, Emmo?
- Zaraz, kochanie - odpowiedziała z sąsiedniego pokoju mama. Po chwili siedziała już obok nas.

- Ta atmosfera przypomina mi wybory prezydenckie. -Głos taty przerwał trwającą od kilku minut ciszę.

- Dzięki Bogu, że już nie bawisz się w politykę.
- Daj spokój, skarbie, przecież pasjonowałaś się każdą kampanią.

Mama westchnęła.

W telewizji nadawano właśnie reklamy. Papierosy tańczyły kankana, po czym podzieliły się na dwie paczki, podczas gdy namiętny, niski głos przekonywał nas, że coronety zawierają najmniej substancji rakotwórczych, są zatem najbezpieczniejsze, najpopularniejsze i najdelikatniejsze na świecie,

Chwilę później na ekranie ukazała się czołówka programu lokalnego. Zacząłem obgryzać paznokcie ze zdenerwowania.

Ekran wypełnił się bańkami mydlanymi, w tle dało się słyszeć piosenkę zapowiadającą „Godzinę z Podniebnym Szlakiem”. Nagle zapadła cisza, a obraz znikł. Serce podeszło mi do gardła. Wreszcie pojawiła się dobrze znana wszystkim plansza:

USTERKI TECHNICZNE.

PROSIMY NIE REGULOWAĆ ODBIORNIKÓW

- O, nie. Nie mogą mi tego zrobić. Nie mogą - wyjąkałem.

- Przestań, Cliffordzie. - Tato zmroził mnie spojrzeniem.

- Kochanie, spróbuj go zrozumieć, to jeszcze dziecko - odezwała się mama starając się rozładować napięcie.

- To już mężczyzna - odparł tata - Kip, jak sobie wyobrażasz prowadzenie rakiety kosmicznej, jeśli to cię denerwuje?

Mruknąłem coś pod nosem: tato nie rozumiał.

- Powtórz głośniej, proszę.

- Nie zamierzam sterować żadną rakieta.

- Kto wie, może będziesz musiał. Przełącz na drugi program.

Przełączyłem, ale tam także nie było obrazu. Wróciłem do programu lokalnego.

- „...nerał Bryce Gilmore reprezentujący Siły Powietrzne USA, nasz dzisiejszy gość, który wyjaśni nam później szczegóły związane z lotami kosmicznymi oraz opowie o swoim ostatnim-osiągnięciu, to jest o Luna City. Bezpośrednio po ogłoszeniu zwycięzców naszego konkursu połączymy się z Bazą Księżycową...”

Wziąłem głęboki oddech i starałem się opanować bicie serca. Potem prezydent przedstawił listę zaproszonych gości oraz przypomniał zasady konkursu. Następnie jakaś śliczna młoda para słodkimi głosikami wyjaśniała sobie nawzajem, dlaczego zawsze używają mydła Podniebny Szlak. Szczerze mówiąc, moje wierszyki były lepsze.

Wreszcie skończyli, a na ekranie pojawiło się pięć dziewczyn. Każda trzymała w ręku wielką planszę.

Prezenter zapowiadał:

- „A teraz, proszę państwa, to, na co wszyscy czekamy. Emocje sięgają zenitu. Za moment okaże się, kto poleci za darmo na Księżyc.”

Dziewczęta, śpiewając „Używam mydła Podniebny Szlak, ponieważ”..., rozbiegły się po scenie, obracając kolejno swoje plansze:

„...jest... delikatne... niczym... księżycowa poświata!”

Pośpiesznie przerzucałem kartki z moimi hasłami. Rozpoznałem je, ale musiałem się upewnić, było ich przecież ponad pięć tysięcy. Wreszcie znalazłem i... ryknąłem:

- Mamo! Tato! Wygrałem! Wygrałem!!!

ROZDZIAŁ 3

- Spokojnie, Kip. - Tata położył mi rękę na ramieniu.

- Niewiarygodne. - Mama była zaszokowana.

Nagle głos prezentera sprowadził mnie na ziemię:

- „Naszym zwycięzcą jest pani Xenia Donahue z Montany, powtarzam, pani Donahue z...”

Zrobiło mi się słabo. Jeszcze raz przeczytałem wierszyk w moim notesie.

- Tato, co się stało? Przecież to MOJE hasło.
- Słuchaj, nic przerywaj.
- Oszukali mnie!
- Uspokój się i słuchaj.
- „...jak wyjaśnialiśmy wcześniej, w wypadku, gdy ten sam slogan prześle nam kilka osób, wygrywa ten, kto zrobił to pierwszy. Nasz zwycięski wierszyk pojawił się tego samego dnia w państwa listach aż jedenaście razy i sponsorzy (tu przymilny uśmiech) postanowili ufundować jedenaście głównych nagród. Dzisiaj jest z nami sześciu szczęśliwców. A oto nagrody: wycieczka na Księżyc, weekend na stacji satelitarnej, przelot odrzutowcem dookoła świata, wycieczka na Antarktykę, wycieczka,..

- Wszystko przez pocztę, przez tę cholerną pocztę...
- „...przykro mi, że nie byliśmy w stanie zaprosić dziś wszystkich zwycięzców. Ale nie martwcie się, proszę, bo oto za chwilę odwiedzą was nasi wysłannicy...”

Ktoś zapukał do drzwi. Nie mogłem się ruszyć z miejsca, więc poszedł otworzyć tato. W progu stali trzej mężczyźni z olbrzymią paczką. Nie wiem, skąd dobywał się dźwięk piosenki reklamującej Podniebny Szlak.

Jeden z nich zapytał:

- Czy to mieszkanie Clifford a Russella?
- Tak - odparł tato.
- Czy może pan potwierdzić odbiór? - Mężczyzna podał tacie jakąś kartkę i długopis.
- Odbiór czego?
- Nagrody. Gdzie ją postawić?

Tata podał mi kwit, który drżącą ręką udało mi się podpisać.

- Proszę postawić paczkę w salonie.

Mężczyźni wykonali polecenie, zabrali kwit i wyszli. Byłem oszołomiony. Pudło wyglądało jak trumna, a ja czułem, że za chwilę będą mnie musieli w niej położyć.

Zacząłem je rozpakowywać, co zajęło mi trochę czasu. Całą podłogę salonu pokrywały papiery, kartony, sznurki, które w pośpiechu i nerwowo rozrywałem.

Wreszcie oczom naszym ukazał się ON. Kombinezon kosmiczny.

No cóż, nie był to najnowszy model, prosto z fabryki. Widocznie któraś ze stacji satelitarnych pozbywała się starego sprzętu i ofiarowała go organizatorom konkursu. Ale był to przecież prawdziwy kombinezon kosmiczny firmy Goodyear z klimatyzacją „York” i dodatkowym wyposażeniem prosto od General Electric. Dołączony był do niego podręcznik z instrukcją użytkowania oraz informacją o tym, że ma za sobą osiemset godzin pracy w przestrzeni kosmicznej.

Poczułem się trochę lepiej. To nie była zabawka. Mój kombinezon był najprawdziwszy na świecie. Któregoś dnia stanę w nim na Księżycu.

- Może zaniesiemy go do twojego warsztatu, co, Kip? - zapytał tata.

- Nie ma pośpiechu. Nie chcesz go przymierzyć, Cliffordzie? - spytała mama.

Oczywiście, że chciałem. Ale najpierw wynieśliśmy z tatą do mojej szopy pozostałości po opakowaniu. Gdy zjawił się z powrotem, w salonie czekali już reporter i fotograf z naszego „Głosu Centerville”. Ciekawe, skąd tak szybko dowiedzieli się o kombinezonie. Chcieli zrobić kilka

zdjęć, co zupełnie mi nie przeszkadzało. Zanim jednak udało mi się założyć moje cudo, upłynęło dobre pół godziny. Wierzcie mi, że geometria euklidesowa to pryszcz w porównaniu z instrukcją obsługi kombinezonu.

W końcu odezwał się fotograf:

- Poczekaj, Kip. Widziałem, jak to robią w telewizji. Mogę ci trochę pomóc?
- Nie... to znaczy tak. Dobrze.
- Spróbuj wślizgnąć się do środka jak do rury, obróć prawe ramię, o, tak...

Teraz szło lepiej, chociaż o mały włos nic zwichnąłem sobie barku. Wewnątrz znajdowały się specjalne paski pozwalające dopasować rozmiar, ale na razie nie było mi to potrzebne. Wreszcie udało się. Miałem na sobie zapięty kombinezon, olbrzymie buty i hełm. Nie doczepiłem tylko butli tlenowych, musiałem więc oddychać tym, co w środku. Teraz dopiero poczułem, że kombinezon był wcześniej używany ~ śmierdział jak brudne skarpetki. Z ulgą zdjąłem hełm. Czułem, że znalazłem się trochę bliżej Księżyca. Reporter i fotograf pożegnali się i wyszli, a my wszyscy położyliśmy się spać. Mieliśmy za sobą naprawdę męczący dzień.

Około północy zszedłem na palcach do salonu i jeszcze raz przymierzyłem kombinezon.

Następnego ranka przed pójściem do pracy wyniosłem go do warsztatu. Pan Charton starał się być bardzo delikatny i wyrozumiały. Zapytał tylko, czy mógłbym pokazać mu kombinezon, jeśli znajdę chwilę czasu. Wszyscy już wiedzieli - moje zdjęcie znajdowało się na pierwszej stronie „Głosu Centerville”- obok artykułu o przykrych

niespodziankach wakacyjnych. Tak. Wycięli mi niezły numer, ale nie martwiło mnie to. Starąłem się wmówić sobie, że przecież nigdy nie myślałem o wygranej. No i miałem kombinezon, a to w końcu więcej, niż mieli moi szkolni koledzy.

Po południu tato przyniósł mi list polecony od kierownictwa firmy produkującej Podniebny Szlak. Zawierał ogólne informacje o kombinezonie, gratulacje i podziękowania za udział w konkursie. Jednakże zwrócił moją uwagę ostatni fragment.

„Zdajemy sobie sprawę z tego, że możesz nie mieć na razie okazji, by wykorzystać swoją nagrodę. Dlatego też, zgodnie z paragrafem 4. regulaminu konkursu, proponujemy ci odsprzedanie nam kombinezonu za sumę 500\$ (pięciuset dolarów). Jeśli jesteś zainteresowany naszą ofertą, powinieneś odesłać kombinezon pod adresem: Korporacja Goodyear. Dział Obsługi Klientów. Akron, Ohio, w terminie do piętnastego września. Mamy nadzieję, że udział w naszym konkursie był dla ciebie taką przyjemnością, jaką dla nas dostarczenie nagrody. Będziesz miał szansę pokazać się w specjalnym programie twojej lokalnej stacji telewizyjnej poświęconym jubileuszowi naszej firmy. Otrzymasz za swój występ honorarium, w wysokości 50\$ (pięćdziesięciu dolarów). Będzie nam bardzo miło cię gościć.

Wszystkiego dobrego życzy ci „Podniebny Szlak - mydło delikatne niczym księżycowa poświata”.

Pokazałem ten fragment tacie.

- Sądzę, że powinienem go zwrócić.
- Dlaczego? Przecież nie jest zniszczony.

- Ojej, nie o to chodzi. Myślę, że naprawdę powinienem go odesłać. Ten kombinezon potrzebny mi jest jak prosiakowi organy, a pieniądze bardzo by się przydały.

W życiu nie miałem pięciuset dolarów.

- Synu, każde zdanie zaczynające się od „naprawdę powinienem” brzmi podejrzenie. Chyba nie przemyślałeś tego dokładnie.

- Ale przecież pięćset dolarów to opłata za jeden semestr nauki.

- To nie ma nic do rzeczy. Zastanów się, czego naprawdę chcesz, a potem zrób to. Nigdy nie zmuszaj się do robienia tego, czego nie chcesz. Do widzenia.

I wyszedł.

Zdecydowałem, że głupio palić most, zanim się na nim nie stanie. Kombinezon mogłem zatrzymać do połowy września. Jeszcze zdążę się nim znudzić.

Ale nie zdążyłem. Kombinezon był dla mnie cudowną maszyną, miniaturą stacji kosmicznej. Wspaniałe, chromowane hełm, silikonowe naramienniki i skafander z włókna szklanego. Cały był sztywny, z wyjątkiem łączeń i miejsc, zginających się przy ruchu. Znajdowały się tam małe dmuchawy, które, gdy ugiąłeś na przykład kolano, pompowały powietrze, powiększając w tym miejscu objętość kombinezonu. Bez tego nie można by się w ogóle poruszać, ciśnienie wewnętrzne dochodzące do kilku ton utrzymywałoby ciało sztywne przez cały czas. Te sprężarki powietrza obudowane były duraluminium i znajdowały się nawet przy zgięciach palców.

Ponadto kombinezon wyposażono w dość ciężki pas z włókna szklanego ze specjalnymi sprzączkami do narzędzi

oraz w regulator masy i wysokości. Na plecach miał pojemnik na butle z tlenem oraz zapinane kieszenie do przechowywania zapasowych baterii.

Przednia część hełmu otwierała się za pomocą uszczelnionego zamka błyskawicznego. Z zamkniętym kaskiem nie można było rozpiąć kombinezonu ze względu na różnicę ciśnień wewnątrz i na zewnątrz. Hełm był naprawdę olbrzymi. Miał wbudowany zbiornik na picie, dwa dozowniki tabletek, mały guziczek po prawej stronie służący do przełączania radia z odbioru na nadawanie, drugi taki sam po lewej, którym zwiększało się lub zmniejszało strumień powietrza. Posiadał też automatyczny polaryzator przednich soczewek, mikrofon, głośniki oraz miejsce na radio. Nad głową umieszczono wygiętą łukowato deskę rozdzielczą. Wszystkie dane i informacje, jakie wyświetlała, odbijały się w specjalnych lusterkach, z których jedno znajdowało się ponad czołem, czternaście centymetrów od oczu.

Obok soczewek, po obu stronach okienka, wmontowano małe lampki. Hełm wieńczyła antena i nadajnik radiowy oraz specjalne urządzenie przypominające pistolet, którym wysyłało się mikrofałe. Wszystko to było oczywiście obudowane.

Pewnie wyobrażacie sobie mój kombinezon jako worek wypełniony urządzeniami, niczym damska torebka kosmetykami. Ale każda rzecz była tu na swoim miejscu, idealnie dopasowana. Głowa o nic nie zahaczała, chociaż można nią było poruszać we wszystkie możliwe strony, po to, by się napić, spojrzeć na tablicę rozdzielczą lub włączyć radio.

Mój kombinezon przypominał luksusowy samochód, a kask przypominał szwajcarski zegarek. Brakowało tylko butli tlenowych i nadajnika radiowego. Nie działał także radio-lokator, opróżniono wszystkie kieszenie i wyjęto narzędzia przy pasie zewnętrznym. Jednym słowem, zebrany samochód.

Stwierdziłem, że muszę to wszystko jakoś uzupełnić.

Najpierw wyszorowałem kombinezon od środka clo-roxem, żeby zabić ten okropny smród. Potem postanowiłem uruchomić system dostarczania powietrza.

Na szczęście miałem instrukcję obsługi tej całej maszyny. Bez niej zupełnie bym sobie nie poradził. Człowiek zużywa około półtora kilograma tlenu na dzień. Pomyślicie pewnie, że skoro w przestrzeni kosmicznej ciało traci masę, można by zabierać dowolną ilość tlenu. Przecież półtora kilograma na Ziemi waży na Księżycu sześć razy mniej. Jest to jednak możliwe tylko w przypadku stacji kosmicznych, raket czy pletwonurków, którzy przepuszczają powietrze przez wapno z sodą, by oczyścić je z dwutlenku węgla i znów nim oddychać, ale nie w kombinezonie kosmicznym.

Nawet jeszcze dzisiaj, mówi się czasem o „lodowatej przestrzeni międzyplanetarnej”. Ale przecież ta przestrzeń jest próżnią, a gdyby próżnia była zimna, to w jaki sposób termos utrzymywałby ciepłą kawę? Próżnia to NIC, nie ma temperatury, po prostu izoluje.

Organizm człowieka zamienia w ciepło trzy czwarte energii spożywanej w posiłkach. To jest bardzo dużo ciepła -każdego dnia można by nim stopić 25 kilogramów lodu.

Brzmi niesamowicie, prawda? Ale trzeba się tego ciepła jakoś pozbyć.

Ciało człowieka musi być regularnie chłodzone, tak jak silnik samochodowy. Oczywiście, jeśli zrobi się to zbyt gwałtownie, powiedzmy w lodowatym wietrze, można zamarznąć. Jednakże jednym z poważniejszych zadań kombinezonu kosmicznego jest uchronienie ciała kosmonauty przed ugotowaniem na miękko. A jest to dość trudne, bo na zewnątrz jest próżnia.

Jeśli na dodatek oświetla cię słońce, ciepła ciągle przybywa. Dlatego właśnie statki kosmiczne muszą mieć powierzchnię gładką jak lustro, żeby odbijać promienie słoneczne.

Więc co można zrobić?

Cóż, nie jest możliwe podróżowanie z 25-kilogramową bryłą lodu. Organizm pozbywa się zatem ciepła tak samo jak na Ziemi poprzez konwekcję i odparowywanie. Zadaniem kombinezonu jest utrzymanie stałego ruchu powietrza dookoła ciała, które chłodzi i umożliwia parowanie potu.

Prawdopodobnie kiedyś kombinezony będą ulepszone i tak jak statki kosmiczne będą odzyskiwać powietrze poprzez oczyszczanie go z dwutlenku węgla. Na razie „zużyte” powietrze wraz z nadmiarem ciepła musi być wydalane na zewnątrz. Proces ten pociąga jednak za sobą utratę dużej ilości tlenu.

Są także inne problemy, z którymi kombinezon kosmiczny musi sobie poradzić — 1000 hektopaskali wokół ciebie obejmuje 200 bektopaskali ciśnienia tlenu. Twoje płuca mogą pracować przy mniej niż połowie tej wartości,

ale tylko Indianie żyjący w górnych partiach Andów dobrze się czują przy ciśnieniu tlenu mniejszym niż 140 hektopaskali. Granicą życia dla człowieka są 62 hektopaskale. Ciśnienie mniejsze od tego nie wprowadzi tlenu do krwi. Jest to sytuacja, jaka panuje na szczycie Mount Everestu.

Większość ludzi już dużo wcześniej zaczyna odczuwać skutki niedotlenienia, więc lepiej zaaranżować dostarczenie tlenu pod ciśnieniem 140 hektopaskali. Poza tym tlen trzeba mieszać z jakimś gazem obojętnym, gdyż podawany w stanie czystym może powodować bóle gardła, zawroty głowy, a nawet okropne skurcze ciała. Nie można jednak używać azotu (którym oddychamy przez całe życie), ponieważ przy spadku ciśnienia otoczenia uwalnia się on z krwi w naczyniach krwionośnych naszego ciała, a powstałe w ten sposób pęcherzyki tego gazu w najlepszym wypadku powodują trwałe kalectwo. Można stosować hel, który nie wywołuje takich skutków ubocznych. Powoduje on, że głos staje się piskliwy, ale któż by się tym przejmował.

Możecie umrzeć z niedotlenienia, być zatruci wskutek nadmiaru tlenu, okaleczeni przez azot, zaczadzeni dwutlenkiem węgla i trawieni zabójczą gorączką.

Gdy skończyłem czytać podręcznik, nic mogłem sobie uzmysłwić, czy czyjeś życie było bardziej zagrożone gdziekolwiek poza skafandrem kosmicznym. Ale tak naprawdę, znajdujący się przede mną kombinezon ochraniał człowieka w przestrzeni kosmicznej przez setki godzin.

Dalej podano, jak pokonać te niebezpieczeństwa. Na plecach należy umieścić stalowe butle. Zawierają one „powietrze” (tlen i hel) pod ciśnieniem 150 atmosfer, czyli ponad 137 880 hPa. Zawór redukcyjny na wylocie z butli

zmniejsza to ciśnienie do 10340 hPa, a inny jeszcze zawór, typu: „na żądanie”, utrzymuje w waszym hełmie ciśnienie 200 do 350 hPa, z czego 140 hPa przypada na tlen. Na szyję trzeba założyć kołnierz z gąbki silikonowej, z małymi otworkami. Przepływ powietrza będzie szybszy, natomiast niższe będzie ciśnienie w pozostałej części kombinezonu. Dzięki temu odparowywanie potu i chłodzenie pozostanie dobre, a mniejszy będzie wysięk przy zginaniu rąk lub nóg. Pomimo tego, by nie utopić się w pocie, przy każdym nadgarstku i łokciu znajdują się zawory upustowe, którymi usuwać można wodę i gazy z kombinezonu.

Butle do oddychania są duże i ciężkie, a każda waży około 27 kilogramów. Jednak w jednej jest tylko 2,27 kg powietrza. Użytkownik może korzystać z nich tylko przez kilka godzin. Mój kombinezon, ze względu na pojemność butli, mógł być używany- tylko przez osiem godzin. Ale jeśli wszystko będzie działało, to w tym czasie będę całkowicie bezpieczny. Ten okres można by trochę wydłużyć, gdyż nie umiera się szybko z przegrzania i można znacznie dłużej wytrzymać dużo większą zawartość dwutlenku węgla, ale jeśli tylko skończy się tlen, to śmierć następuje po siedmiu minutach. Cofa nas to do punktu wyjściowego - bez tlenu nie ma życia.

By uzyskać pewność, że wszystko z tobą jest w porządku (twój nos ci tego nie powie), do ucha przypiąć należy małe fotoogniwo, które kontroluje kolor krwi. Czerwień krwi jest miarą ilości zawartego w niej tlenu. Ogniwo łączy się z czułym miernikiem napięcia. Jeśli jego wskazówka znajdzie się w strefie niebezpieczeństwa, to pozostaje tylko modlitwa.

W wolny dzień pojechałem na zakupy do Springfield, zabierając końcówki węży skafandra. Dostałem tam w sklepie z artykułami spawalniczymi dwie 76-centymetrowe, używane butle i zostałem spławiony, gdy zażądałem świadectwa próby ciśnieniowej. Zabrałem je autobusem do domu, zatrzymując się we warsztatach Pringa celem zakupu powietrza sprężonego do pięćdziesięciu atmosfer. Powietrze pod wyższym ciśnieniem, tlen, lub hel mógłbym dostać na lotnisku w Springfield, ale w tej chwili ich nie potrzebowałem.

Wróciwszy do domu zapiąłem pusty skafander i napompowałem go pompką rowerową do dwóch atmosfer absolutnych, czyli jednej względnej, co dało mi próbne obciążenie prawie cztery do jednego w porównaniu z warunkami kosmicznymi. Następnie wziąłem się za butle. Muszą mieć one lustrzaną powierzchnię, ponieważ nie można sobie pozwolić, by zbyt szybko nagrzewały się od słońca. Dlatego też długo skrobałem je, czyściłem szczotką drucianą, szlifowałem i polerowałem, przygotowując do poniklowania w galwanizerni.

Następnego dnia Mechaniczny Człowiek Oskar był wiotki jak para pończoch. Stwierdziłem, że stary skafander nie jest szczelny, jeśli chodzi o powietrze, ale jeszcze większym zmartwieniem była szczelność w stosunku do helu. Z powietrzem nie jest tak źle, ale cząsteczki helu są takie małe i ruchliwe, że przenikają nawet przez zwykłą gumę. A ja chciałem tak dobrze wykonać naprawę; żeby skafander sprawował się bez zarzutu nie tylko w domu, lecz także w kosmosie. Uszczelki były zużyte, wskutek czego powstało wiele małych nieszczelności.

W jakiś sposób musiałem dostać nowe uszczelki z gumy silikonowej, jak również łątki i klej do nich firmy Goodyear. Sklepy w małym miasteczku nie sprzedają takich rzeczy, dlatego też napisałem do producenta. Wymieniłem, co i dlaczego potrzebuję. Przesłali wszystko, nie żądając nawet pieniędzy. Co więcej, załączyli kilka kartek z powielacza opisujących, jak wszystko wykonać.

Mimo to robota nie była łatwa, ale przyszedł wreszcie dzień, gdy napompowałem całego Oskara czystym hellem do dwóch atmosfer absolutnych.

Tydzień później był on wciąż jeszcze szczelny jak sześciowarstwowa opona. Tego dnia założyłem na siebie Oskara jako samowystarczalne środowisko. Nosilem go bez hełmu przez kilka godzin, pomagając w warsztacie, manipulując narzędziami krępowany przez jego rękawice, ale przekonując się, że regulacja długości i objętości jest dobra. To było trochę jak nauka jazdy na łyżwach, choć po jakimś czasie przyzwyczailem się do niego, a nawet siadłem w nim do kolacji. Ojciec się nie odezwał, a matka zachowała się z dyplomacją godną ambasadora. Odkryłem swój błąd dopiero wtedy, gdy sięgałem po serwetkę.

Teraz wypuściłem hel do atmosfery, zamontowałem butle wypełnione powietrzem i ponownie ubrałem skafander. Zamknąłem hełm i zapiąłem zabezpieczenia.

Powietrze lekko szumiało wlatując do hełmu. Jego ilość regulował zawór sterowany ruchem wdechu i wydechu klatki piersiowej. Mogłem w każdej chwili go przełączyć i zwiększać lub zmniejszać dopływ powietrza sterując zaworem za pomocą brody. Zrobiłem to, obserwując w lusterku wskazania manometru i pozwalając na wzrost ci-

śnienia wewnątrz do wartości 1378 hPa. Było to 378 hPa więcej niż ciśnienie otoczenia i stwarzało mi warunki kosmiczne bez wychodzenia w kosmos.

Czułem, jak skafander spuchł, a przeguby usztywniły się i z trudnością poruszałem kończynami. Utrzymując to nadciśnienie, spróbowałem wykonać jakiś ruch.

Niewiele brakowało, bym upadł. Musiałem chwycić się stołu. Ubrany w kombinezon, z butlami na plecach, ważyłem dwukrotnie więcej niż normalnie. Poza tym, chociaż przeguby zachowywały stałą objętość, to jednak skafander z nadciśnieniem wewnątrz nie dawał takiej swobody jak poprzednio. Wciągnijcie ciężkie buty rybackie, ubierzcie palto i rękawice bokserskie, załóżcie wiadro na głowę, na ramiona niech ktoś wam położy dwa worki cementu, a poznacie uczucie przebywania w kosmicznym kombinezonie w warunkach ziemskiej grawitacji.

Ale dziesięć minut później szło mi już całkiem niezłe, a po pół godzinie czułem się tak, jakbym nosił skafander przez całe swe dotychczasowe życie. Równomiernie rozłożony ciężar okazał się niezbyt wielki (wiedziałem, że na Księżycu będzie znacznie mniejszy), a w przypadku przegubów trzeba się było przyzwyczać do wywierania na nie trochę większego nacisku. Pamiętam, że z nauką pływania miałem kiedyś dużo więcej kłopotów.

Dzień był pogodny. Wyszedłem na zewnątrz i spojrzałem na słońce, Polaryzator likwidował odbłask i dlatego mogłem spokojnie w nie patrzeć. Rozejrzałem się wokół, polaryzator wyłączył się i wszystko widziałem dokładnie.

Robiło mi się zimno. Powietrze schładzane przez adiabacyjne rozprężanie (tak nazwano to w podręczniku) wyziębiało głowę i wpływało do skafandra, odbierając ciepło z ciała, a następnie uchodziło przez zawór wydechowy. W podręczniku podano, że elementy grzejne rzadko się włączają, gdyż zazwyczaj problemem jest pozbycie się nadmiaru ciepła. Jednakże ja zdecydowałem się wychłodzić skafander, by wymusić zadziałanie termostatu i włączenie grzejnika.

Sprawdzałem wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Za naszym podwórkiem płynął strumyk, a dalej rozciągało się pastwisko. Ruszyłem przez ten strumień, ale pośliznąłem się i upadłem. Najgorszą rzeczą przy używaniu skafandra jest to, iż nigdy nie można zobaczyć, gdzie stawia się stopę. Leżałem przez chwilę unoszony nieco przez wodę, ale głównie przykryty błotem. Dzięki skafandrowi nie było mi ani mokro, ani zimno, ani nawet gorąco, a mój oddech był łatwy jak zawsze, chociaż woda pluskała mi nad hełmem.

Spróbowałem wdrapać się na brzeg i ponownie upadłem, uderzając tym razem hełmem o kamień. Żadnego uszkodzenia. Oskar był tak skonstruowany, że przypadkowe uderzenie nie powodowało zniszczenia. Podciągnąłem pod siebie kolana, uniosłem się i ruszyłem przez pastwisko, tupiąc o twardą ziemię, ale nie tracąc równowagi. W pobliżu stał stóg siana, rzuciłem się i zakopałem w nim zupełnie.

Chłodne, świeże powietrze... żadnych kłopotów, żadnego potu. Po trzech godzinach zdjąłem skafander. Co prawda, podobnie jak kombinezon, pilota, posiada on urządze-

nie do awaryjnego otwierania, ale nie założyłem jeszcze wszystkich niezbędnych linek i wolałem wyjść z niego, zanim skończy mi się powietrze. Gdy już powiesiłem go na wcześniej zbudowanym stojaku, poklepałem po naramienniku i szepnąłem: „Oskar, jesteś wspaniały. Będziemy przyjaciółmi. Osiągniemy wszystko, co zaplanowaliśmy!” Nie oddałbym już kombinezonu nawet za pięć tysięcy dolarów.

Gdy Oskar odbywał swą próbę ciśnieniową, zająłem się jego urządzeniami elektrycznymi i elektronicznymi. Nigdy dotychczas nie zwracałem sobie głowy radarem lub radio-latarnią. Pierwsze jest dziecinnie proste, a drugie niezmiernie kosztowne. Ale chciałem mieć radio z pasmem używanym w kosmosie i anteną dostosowaną tylko do tych długości fal. Mogłem zbudować zwyczajno walkie-talkie i zawiesić je na zewnątrz kombinezonu, lecz obawiałem się złego dobrania częstotliwości i tego, czy urządzenie wytrzyma w warunkach próżni. Zmiany ciśnienia, temperatury i wilgotności wywołują wiele zakłóceń w obwodach elektronicznych, dlatego zdecydowałem się na umieszczenie radia wewnątrz hełmu.

W podręczniku znajdowały się schematy, więc zabrałem się do roboty. Obwody fonii i modulacji nie sprawiły mi kłopotu - ot, zwykły układ tranzystorowy zasilany baterią i odpowiednio mały, by zmieścić się w wyznaczonym miejscu. Ale układy wysokiej częstotliwości...

Było to dwugłowe ciele, każda głowa z nadajnikiem i odbiornikiem: fala o długości jednego centymetra dla tuby i trzy oktawy niżej, przy ośmiu centymetrach, dla unipolu, a wszystko ze sobą zgrane i sterowane jednym kwarcem. Dawało to mocniejszy sygnał przy nadawaniu i lepszą

kierunkowość przy wyjściu z tuby, co oznaczało, iż tylko część powielacza trzeba wyłączać przy zmianie anteny. W układzie strojenia odbiornika, do częstotliwości kwarcu zostało dodane wyjście z oscylatora zmiennej częstotliwości.

Jednak układ wysokiej częstotliwości nigdy nie jest łatwy; wymaga on precyzyjnego montażu, a niewielki poślizg narzędzi może zniszczyć oporność pozorną i matematycznie wyliczony rezonans.

Musiałem spróbować.

Syntetyczne kryształy nie są drogie, a tranzystory i parę innych części wyjąłem z domowych urządzeń. No i udało mi się po wielu próbach sprawić, że to wszystko zaczęło działać. Szkopuł w tym, iż urządzenie nie mieściło się w hełmie.

Byłem jednak bardzo z siebie dumny. To było prawdziwe osiągnięcie!

Musiałem niestety kupić gotowy układ, precyzyjnie wykonany i zabezpieczony, od tej samej firmy, która sprzedała mi kryształy. Nie wypadło to zbyt drogo, a do hełmu pasowało idealnie.

Kompletowanie kombinezonu wciągało mnie coraz bardziej. Teraz zrobiłbym wszystko, byle tylko móc go już użyć. Wiedziałem jednak, że każde urządzenie musiało działać bez zarzutu. Człowiek w kombinezonie kosmicznym nie może, gdy coś się zepsuje, iść do warsztatu i naprawić. Wszystko musi pracować perfekcyjnie. To sprawa życia i śmierci. Dlatego każdy mechanizm posiada swojego „zastępcę”. Na przykład do kasku przymocowane są dwa reflektory. Drugi włącza się automatycznie w chwili, gdy pierwszy

się zepsuje. Nawet małe diody w tablicy rozdzielczej są dublowane. Ponieważ chciałem, żeby mój kombinezon był rzeczywiście bezpieczny, musiałem montować wszystkie układy podwójnie.

Pan Charton zajął się gromadzeniem specyfików i lekarstw, które, jego zdaniem, powinienem mieć zawsze przy sobie. Były to: maltoza, dekstroza, tabletki aminowe, antybiotyki, witaminy, deksedryna, dramamina, aspiryna, kodeina, czyli niemal wszystko, co człowiekowi niezbędne do zwalczania choroby i wzmocnienia organizmu. Jakimś cudem udało mu się zdobyć recepty na te leki i mogłem wyposażyć Oskara w medykamenty, nie łamiąc prawa.

Kiedy wreszcie skończyłem, Oskar wyglądał tak, jakby właśnie opuścił fabrykę. Nie macie pojęcia, jaki byłem szczęśliwy.

Lato zbliżało się już ku końcowi, a wraz z nim odchodziła beztraska zabawa w konstruktora kombinezonów kosmicznych. Ciągle jeszcze nie wiedziałem, gdzie i czy w ogóle będę się dalej uczył. Miałem trochę oszczędności, ale było to o wiele za mało. Na wysyłanie haseł konkursowych wydałem niewiele, poza tym wszystko zwróciło się z nawiązką po moim występie w lokalnej telewizji.

Przez ostatnie pół roku byłem też zbyt zajęty, by tracić forszę na randki i dziewczyny. Części do Oskara również nie kosztowały dużo, a naprawiałem go przecież sam. W skarbonce miałem siedem dolarów na każde dziesięć przeze mnie zarobionych, ale to było mało.

Powoli zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że trzeba będzie sprzedać Oskara. To pozwoliłoby mi utrzymać się przez pierwszy semestr. A co z resztą roku? Joe Va-

liant, filmowy idol wszystkich amerykańskich chłopców, zaczynał z pięćdziesięcioma centami w kieszeni, a w ostatnim odcinku ma już własne konto w banku. Aleja nie mam nic z Valianta. Czy jest sens zaczynać naukę, skoro wiadomo, że na Boże Narodzenie będę ją musiał przerwać? Nie rozsądniej byłoby zostać na miejscu i przyzwyczajać się do młotka i łopaty?

Czy miałem jakiś wybór? Jedyłą szkołą, w której poradziłbym sobie bez trudu, był nasz stanowy college. Jednak ze względu na swój niski poziom mógł w każdej chwili zostać zlikwidowany. To byłby szczyt wszystkiego, uczyć się przez ileś lat zupełnie niepotrzebnie, bo twoja szkoła przestaje istnieć. No i poziom przedmiotów technicznych znacznie odbiegał od tego, czego bym sobie życzył. College Rensselaer i Kalifornijski Instytut Techniczny odrzuciły moje podanie o przyjęcie tego samego dnia: ten pierwszy przysłał oficjalne zawiadomienie, ten drugi uprzejmy list informujący, że nie mogą mnie przyjąć ze względu na ograniczoną liczbę miejsc.

To wszystko nie poprawiało mi nastroju. Nic jeszcze nie wiecie o moim występie w telewizji. Jedyłą korzyścią było honorarium w wysokości pięćdziesięciu dolarów. Wiercie mi, że człowiek w kombinezonie kosmicznym wygląda przed kamerą naprawdę idiotycznie, w dodatku prezenter stroił sobie ze mnie żarty. Co chwilę pukał w hełm pytając, czy jeszcze tam jestem. Bardzo śmieszne. Potem chciał wiedzieć, do czego będzie mi potrzebny kombinezon, po czym z miłym uśmiechem wyłączył mój mikrofon i puścił z taśmy opowieść o kosmicznych piratach i „latających talerzach”. Pół miasta myślało, że to mój głos.

Na dodatek do Centerville powrócił Ace Quiggle. Nie było go całe lato, pewnie spędził je w stanowym więzieniu. Pojawił się w dzień po moim telewizyjnym występie. Usiadł naprzeciw saturatora, który pan Charton wystawiał latem przed aptekę, i wpatrywał się we mnie z ironicznym uśmiechem.

- Jak miło popatrzeć na najsłynniejszego pirata i naszą gwiazdę telewizyjną.
- Czego chcesz, Ace? - zapytałem.
- Czy mógłbym prosić o autograf? W życiu nie widziałem prawdziwego kosmicznego pirata!
- Ace, zamów, co chcesz, albo odejdz i pozwól innym kupować - starałem się być opanowany.
- Proszę koktajl czekoladowy i małe mydełko.

Dowcipy Ace'a wyprowadzały mnie z równowagi.

To był piątek przed Świętem Pracy, wyjątkowo upalny dzień. Klimatyzacja w aptece właśnie się zepsuła, punkt naprawczy był zamknięty z powodu urlopu, a ja spędziłem trzy upiorne godziny usiłując coś z tym zrobić, niszcząc sobie przy okazji najlepsze spodnie. Wróciłem właśnie do saturatora. Marzyłem, żeby pójść do domu i wykapać się. Chwilę później podszedł znowu Ace.

- Witam Komandora Kometę, zdobywcę podniebnych szlaków! Gdzie twój laserowy pistolet, Komandorze? Nie boisz się, że Władca Galaktyki każe ci po lekcjach zostać dłużej w szkole?

Kilka dziewczyn przy saturatorze zachichotało.

- Przestań, Ace. W ten upał nie mam ochoty na żarty.
- I pewnie także z powodu upału jesteś bez spodni!

Dziewczyny były coraz bardziej rozbawione. Ace promieniał.

- Masz taki piękny kombinezon. Dlaczego nie nosisz go do pracy? Widziałem tytuł w „Głosie Centerville”: „Zakładaj kombinezon i w drogę”. Mógłbyś się także zatrudnić jako strach na wróble.

Dziewczyny przy saturatorze płakały ze śmiechu. Policzylem do dziesięciu, potem, jeszcze raz po łacinie i hiszpańsku i odezwałem się chłodno:

- Ace, kupujesz coś czy nie?
- To, co zwykle, i pośpiesz się, bo mam randkę na Marsie.

Pan Charton wyszedł z apteki i zamówił lemoniadę, więc obsłużyłem najpierw jego. To zatrzymało potok dowcipów Ace'a i prawdopodobnie ocaliło mu życie. Chwilę później byliśmy z panem Charionem sami. Odezwał się pierwszy:

- Kip, szacunek dla człowieka nie zmusza cię do respektowania oczywistych pomyłek Natury.
- Nie rozumiem.
- Nie musisz więcej obsługiwać Quiggle'a. Zwalniam cię z tego obowiązku.
- Nie ma sprawy. On jest tylko trochę złośliwy.
- Jesteś bardzo wyrozumiały. Aleja nie będę tolerował głupoty. Możesz już iść do domu. Jutro musisz wczesnie wstać.

Jake Bixby z rodzicami zaprosił ranie nad Leśne Jezioro. Mieliśmy tam spędzić wypadające właśnie jutro Święto Pracy. Bardzo chciałem jechać, nie tylko ze względu na upał, który nad wodą jest z pewnością mniej dokuczliwy.

Potrzebna była mi szczerza rozmowa z przyjacielem. Odpowiedziałem jednak:

- Chyba nie pojedę i przyjdę jutro do pracy.
- Miasto i tak będzie puste, nie mam zamiaru otwierać apteki. Jedź, Kip. Niewiele wypoczywałeś w tym roku.

W końcu dałem się przekonać, ale zostałem w pracy jeszcze do wieczora.

Przygnębiające myśli nie dawały mi spokoju. Zabawa skończona, czas zastanowić się, co dalej. Nawet idiota w rodzaju Ace'a wiedział o tym, że kombinezon na nic mi się nie przyda. Nic przejmowałem się tym, co myśli Ace, jednak pożytek z kombinezonu był niewielki, a ja potrzebowałem pieniędzy. Postanowiłem rozpocząć naukę, nawet gdyby nie przyjęli mnie w Stanford, Carnegie czy do MIT. Nasz stanowy college nie był może najlepszy, ale ja też nie jestem przecież geniuszem, a w Centerville nauczyłem się, że więcej zależy od samego ucznia niż od dobrej czy kiepskiej szkoły.

Gdy wróciłem do domu, mama już spała, a tata czytał w swoim gabinecie. Przywitałem się z nim i poszedłem do szopy z zamiarem demontażu i spakowania Oskara, by jutro móc go odesłać z powrotem. Gdy wrócę znad jeziora, już go tu me będzie.

Wisiał na haczyku i przez moment wydawało mi się, że uśmiechnął się do mnie na powitanie. Kompletna bzdura. Podszedłem bliżej i położyłem rękę na jego ramieniu.

- No cóż, bracie, byłeś świetnym kumplem. Nieźle się razem bawiliśmy. Do zobaczenia na Księżycu, mam nadzieję.

Ale Oskar nic wybierał się na Księżyc, tylko do Akron w Ohio. Na złomowisko. Tam zabiorą części, które mogą się jeszcze przydać, a resztę wyrzucą na stertę śmieci.

Wzruszenie ścisnęło mi gardło.

(— W porządku, stary - odpowiedział Oskar.)

Widzicie? Zgłupiałem do reszty! Przecież Oskar nie umiał mówić!

Moja wyobraźnia zagalopowała się zbyt daleko. Poklepałem go po plecach i wyjąłem resztki kartonu, w którym do mnie przybył. Potem odpiąłem od pasa klucz, by odkręcić butle z tlenem.

Coś mnie jednak powstrzymało.

Obie butle były wypełnione: jedna tlenem, druga mieszanką tlenowo-helową. Wydałem na nie kupę forsy tylko dlatego, że przez chwilę chciałem się poczuć prawdziwym kosmonautą.

Kombinezon miał świeże baterie i naładowane akumulatory.

- Oskar — szepnąłem — idziemy na nasz ostatni spacer, dobrze?

(- Świetnie!)

Wszystko było na swoim miejscu: woda do picia w zbiorniku, tabletki w dozowniku, zestaw pierwszej pomocy wewnątrz kombinezonu i drugi taki sam na zewnątrz. Narzędzia przypięte do pasa, by nie odleciały w przestrzeń.

Podgrzałem układ radiolokacyjny, żeby przetwornik częstotliwościowo-prądowy mógł zacząć blokować wszystkie odebrane szумы radiowe. Radiolinia uratowała się, gdy budowałem radio dla Oskara i zmodyfikowana posłużyła teraz jako urządzenie do wypróbowania uszu Oskara,

pozwalając mi sprawdzić poprawność ustawienia anten kierunkowych. Została ona również połączona z obwo-
dem odbioru echa, odzywającym się na dźwięk mojego
głosu. Całość zmontowałem dzięki częściom ze starego
magnetofonu Webcor, rocznik 1950.

Potem założyłem Oskara.

- Szczelny?

(- Szczelny!)

Rzuciłem okiem na odbicia wskaźników, sprawdziłem
czytnik koloru krwi informujący o zawartości tlenu i zre-
dukowałem ciśnienie tak, że Oskar gwałtownie się skur-
czył.

Przy ciśnieniu niemal równym atmosferycznemu nie
istniało zagrożenie niedotlenienia. Pozostawał jedynie
problem, jak uniknąć nadmiaru tlenu.

Mieliśmy już wychodzić, kiedy o czymś sobie przypo-
mniałem.

- Chwileczkę, Oskar.

Zostawiłem rodzicom informację o tym, że jutro wstaję
bardzo wcześnie i jadę pierwszym autobusem nad jezio-
ro. Byłem już na tyle sprawny, że pisanie w kombinezonie
nie sprawiało mi większych trudności. Mógłbym nawet
nawlekać igłę.

Wetknąłem kartkę pod kuchenne drzwi i wyruszyli-
śmy z Oskarem na nasz ostatni spacer.

Przeszliśmy przez strumyk na pastwisko. Chodzenie
także stało się łatwe, czułem się zręczny jak kozica. Posta-
nowiłem sprawdzić nadajnik radiowy. Już wcześniej wymy-
śliłem, że będę to radyjko nazywał Peewee (ze względu na

odgłos, który wydawało przy włączaniu). Sam przyjąłem pseudonim Junebug.

- Junebug wzywa Peewee. Odbiór.

Chwilę później usłyszałem w słuchawce swój głos:

- ...Junebug wzywa Peewee. Odbiór...

Włączyłem antenę na hełmie i odezwałem się jeszcze raz. Potem zabawiałem się, wyobrażając sobie, że jestem na Wenus i muszę utrzymać kontakt z bazą ze względu na niebezpieczny teren i beztlenową atmosferę. Radio spisywało się świetnie (powtarzając jak echo każde moje słowo) i gdybym rzeczywiście znalazł się na Wenus, na pewno bym sobie poradził.

Po południowej stronie nieba przemknęły dwa światełka. Pomyślałem, że to samoloty, a może satelity, w każdym razie jakieś „latające talerze”. Przyglądałem im się przez chwilę, po czym wyminąłem wzniesienie, które mogłoby zakłócić odbiór, i spróbowałem wywołać Peewee. Usłyszałem to samo słowo w odpowiedzi, ale jakoś znudziło mi się rozmawianie z własnym echem.

Nagle usłyszałem:

- Peewee wzywa Junebuga, odbiór!

Przyszło mi do głowy, że to jakieś ostrzeżenie. Może coś nie gra. Albo po prostu ktoś mnie namierzył.

- Tu Junebug. Słyszę cię. Kim jesteś?

W słuchawkach usłyszałem jedynie swój własny głos.

Po chwili znowu ktoś się odezwał:

- Tu Peewee! Zgłoś się!

Zaczęło mnie to irytować!

- Junebug do Peewee! Przełącz się na częstotliwość kierunkową. Odbiór!

Włączyłem wzmacniacz antenowy.

— Junebug, słyszę cię. Spróbuj mnie namierzyć. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem.

— Jesteś jakieś czterdzieści stopni na południe ode mnie. Kim jesteś?

To musiało być jedno z tych światła na niebie. Spojrzałem w górę. I całe szczęście. Statek kosmiczny o mały włos mnie nie zmiażdżył.

ROZDZIAŁ 4

Powiedziałem: statek kosmiczny, a nie rakieta. Nic wydawał żadnego dźwięku poza cichym szumem, nie miał też silników odrzutowych. Odniosłem wrażenie, że poruszał się siłą woli pasażerów.

Byłem zbyt przerażony myślą, że mogę zostać zmiotony, by zauważyć inne szczegóły. Kombinezon kosmiczny, mimo wszystkich swoich zalet, nie jest jednak schronem przeciwlotniczym. Statek wylądował dokładnie w miejscu, gdzie stałem przed chwilą, kładąc na ziemi ogromny czarny cień. Parę sekund później pojawił się drugi „obiekt”, dokładnie w chwili, gdy w pierwszym otworzyły się drzwi, rzucając snop jasnego światła.

Oczom moim ukazały się dwie postacie, które zaczęły biec zaraz po opuszczeniu pojazdu. Jedna z nich poruszała się ze zręcznością kota, druga - ciężko i niezgrabnie. Jej ruchy opóźniał kombinezon kosmiczny. Wierzcie mi, w takim kombinezonie wygląda się naprawdę komicznie. Postać miała mniej niż półtora metra wzrostu i przypominała małego, nieporadnego niedźwiadka.

Dużą wadą kombinezonu jest znaczne ograniczenie pola widzenia. Ponieważ starałem się obserwować obu „uciekierów”, nie mogłem zauważyć, że drzwi drugiego statku także się otworzyły. Tymczasem pierwsza postać przystanąła w oczekiwaniu na tę drugą w kombinezonie. Nagle upadła, wydając okrzyk na tyle donośny, że mogłem go usłyszeć. Musiał być to jęk bólu.

Ruszyłem w kierunku, skąd doszedł mnie ten dźwięk. Trochę to trwało ze względu na mój kombinezon. Pochyliłem się i skierowałem reflektor hełmu na ziemię, żeby zobaczyć, co się stało.

Olbrzymiooki potwór!

To nie w porządku, ale takie było moje pierwsze wrażenie. Nie wierzyłem własnym oczom i chętnie bym się uszczypnął, gdyby nie Oskar.

Jednakże szok wywołany zetknięciem z „obcym” zaczął ustępować i zauważyłem, że ten potwór był całkiem... ładny. Niewielki, może połowy mojego wzrostu, o pięknych, kocich kształtach, które jednak trudno było porównać do jakiegokolwiek znanej mi istoty. To coś było ranne. Drżało jak przerażony zając. I te oczy, olbrzymie, zamglone, bez wyrazu. To, co przypominało usta... niczego więcej nie

udało mi się zanotować. Coś uderzyło mnie w kręgosłup, dokładnie między butlami z powietrzem.

Ocknąłem się, leżąc na podłodze ze wzrokiem utkwionym w sufit. Parę chwil zajęło mi odtworzenie tego, co zaszło, zanim się tu znalazłem. Jakieś nieprawdopodobne bzdury: byłem z Oskarem na spacerze, a potem wylądował statek, i ten olbrzymiooki...

Usiadłem i zdałem sobie sprawę, że Oskar zniknął. Delikatny, radosny głosik zawołał:

- Cześć, ty tam.

Rozejrzałem się dookoła. Niedaleko ode mnie siedziało na podłodze, opierając się o ścianę, dziesięcioletnie dziecko. Chłopiec, jak zauważyłem, chociaż chłopcy nie bawią się zazwyczaj szmacianymi lalkami, Dziecko było w tym wieku, kiedy różnice w wyglądzie dziewcząt i chłopców nie są czasem widoczne. Był ubrany w koszulkę, szorty i brudne tenisówki, miał krótkie włosy i jedyną niepewną rzeczą była ta lalka w jego ręce.

- Cześć - odpowiedziałem. - Co my tu właściwie robimy?

- Ja żyję. A ty... nie wiem.

- Słucham?

- No, żyję. Oddycham, gromadzę energię. Tutaj nie ma nic lepszego do roboty. Zamknęli nas.

Teraz dopiero zacząłem przyglądać się miejscu, do którego trafiłem. Pokój miał może ze trzy metry szerokości i był

podłużny. Oprócz nas nie zauważyłem nikogo więcej. Nie mogłem znaleźć drzwi, mogliśmy być zamknięci albo nie.

- Ale kto nas tu wsadził?
- Oni. Kosmiczni piraci. I ON.
- Kosmiczni piraci? Nie żartuj.

Dziecko wzruszyło ramionami.

- Nie chcesz, to nie wierz. Ale lepiej traktuj ich poważnie, jeśli chcesz przeżyć. To ty jesteś Junebug?

Co? Sam jesteś Junebug, smarkaczu - pomyślałem. Wielkie nieba! Kosmiczni piraci! To dziecko ma chyba gorączkę. No tak. Ale wciąż nie wiedziałem, co się ze mną stało. Gdzie jest Oskar? A gdzie ja jestem?

- Junebug to twój pseudonim radiowy. Widzisz, ja jestem Peewee.

Myślałem: Kip, stary durniu, lepiej odwiedź zaraz najbliższy szpital, bo coś nie jest z tobą najlepiej. Jeśli urządzenie radiowe, które sam sobie zbudowałeś, nagle okazuje się małą dziewczynką ze szmacianą lalką, to nie wróży to niczego dobrego. Chyba nic cię już nie zaskoczy.

- Ty jesteś Peewee?

- Tak na mnie wołają. Widzisz, usłyszałam, jak Junebug wzywa Peewee, i pomyślałam, iż to pewnie tatuś zauważył, że coś jest nie tak, i jakiś jego człowiek usiłuje mi pomóc w lądowaniu. Ale jeśli to nie ty jesteś Junebug, nie możesz wiedzieć o tym wszystkim. Więc jak się nazywasz?

- Chwileczkę . Ja jestem Junebug. To znaczy tego imienia używam przez radio. Ale nazywam się Clifford Russell. Dla przyjaciół - Kip.

- Miło cię poznać, Kip - odpowiedziała uprzejmie.

- Mnie także, Peewee. Zaraz, jesteś w końcu chłopcem czy dziewczynką?

Trochę ją to rozzłościło.

- Jesteś okropny. Wiem, że nie wyglądam na swój wiek, ale mam już jedenaście lat, niedługo skończę dwanaście. Zobaczysz za pięć lat. Będziesz mnie błagał choćby o jeden taniec.

W tej chwili zatańczyłbym nawet z kuchennym stołkiem. Nie było sensu dalej się kłócić.

- Przepraszam, Peewee. Ciągłe nie mogę dojść do siebie. Zaraz, to znaczy, że leciałaś tym pierwszym statkiem?

Oj, chyba znów coś palnąłem.

- Tak, ja byłam jego pilotem.

Chyba powinienem odpocząć. I koniecznie znaleźć sobie dobrego psychoanalityka. W moim wieku!

- Ty byłaś pilotem?

- No, chyba nic myślisz, że Wielka Matka mogłaby prowadzić? Od razu by ją namierzyli. Siedziała skulona za mną i mówiła mi, co mam robić. Nigdy wcześniej nie latałam sama, najwyżej z tatusiem i jeśli myślisz, że to takie proste, to się grubo mylisz! A lądowanie wyszło mi znakomicie, chociaż twoje zamiary nie były zbyt dokładne. Co mogło się stać z Wielką Matką?

- Z kim?

- Nic wiesz? Ojej...

- Chwileczkę, Peewee. Uzgodnijmy parę spraw. Jestem Junebug, podałem ci zamiary do lądowania i jeśli myślisz, że to takie proste namierzyć głos znikąd wołający o pomoc, to też się grubo mylisz! W każdym razie wylądowałaś, a zaraz za tobą pojawił się następny statek. Drzwi twojego pojazdu otworzyły się i wyskoczył z nich jakiś gość w kombinezonie kosmicznym...

- To byłam ja!
- ...i jeszcze jedna osoba...
- Wielka Matka!

- Tak, tylko że ona nie odbiegła zbyt daleko. Jęknęła nagle i upadła. Podeszedłem do niej, żeby sprawdzić, co się stało, i wtedy zostałem uderzony. Następnym, co sobie przypominam, jesteś ty mówiąca mi „cześć”.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć Peewee, że to wszystko wydaje mi się jakimś narkotycznym snem. Na pewno leżę teraz w szpitalu z kręgosłupem w gipsie.

Peewee kiwnęła głową w zamyśleniu,

- Musieli trafić cię z niewielką mocą, bo inaczej nie byłbyś tutaj. Tak... Złapali ciebie, mnie i prawie na pewno złapali też Wielką Matkę. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

- Wyglądała na umierającą.

- Wątpię. Ją byłoby bardzo trudno zabić. Poza tym oni chcą mieć ją żywą.

- Dlaczego? I co to za imię: „Wielka Matka”?

- Wszystko po kolei, Kip. Ona jest Wielka, ponieważ... no... bo jest. Jak ją poznasz, to zrozumiesz. A nie zabiłoby jej, gdyż jest więcej warta jako zakładnik niż jako trup. Z nami mogą zrobić, co chcą, jeśli tylko przestaniemy być im potrzebni. Skoro widziałeś ją żywą, musieli uwięzić także ją. Może siedzi w pokoju obok... I to mnie pociesza!

Mnie to jakoś nie pocieszyło.

- No, dobrze. Ale gdzie my jesteśmy?

Peewee rzuciła okiem na swój zegarek z Myszka Miki, zmarszczyła brwi i powiedziała:

- Myślę, że w połowie drogi na Księżyc.

- Co?!

- Oczywiście nie jestem pewna, ale sędzę, że chcą do-
trzeć do swojej najbliższej bazy. To stamtąd właśnie ucie-
kłyśmy, Wielka Matka i ja.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy na statku?
- Albo na jednym, albo na drugim. A ty myślałeś,
że gdzie?

- W szpitalu psychiatrycznym.

Otworzyła oczy ze zdumienia i szepnęła:

- Kip, biedaku, chyba nie jest z tobą aż tak źle?
- Już niczego nie jestem pewien. Kosmiczni pira-
ci... Wielka Matka...

Peewee westchnęła.

- Przypuszczam, że to musi być męczące. Ale uwierz w
to, co widzisz i słyszysz. Nie martw się, ze mną będziesz
bezpieczny. Jestem geniuszem.

To było po prostu stwierdzenie, nie przechwałka, a ja
jakoś poczułem się lepiej, chociaż były to słowa małej,
drobniutkiej dziewczynki. Tylko że nadal tkwiliśmy tu
uwięzieni.

Peewee mówiła dalej:

- Kosmiczni piraci... mhm... Nazywaj ich tak, jak
chcesz. Ale zachowują się po piracku i działają w kosmosie,
stąd to

określenie. A co do Wielkiej Matki, poczekaj, aż sam ją
poznasz.

- Ale co ona robi w tym całym zamieszaniu?

- To skomplikowane. Ona to ci najlepiej wyjaśni.
Ona jest gliną i właśnie...

- Gliną?

- Obawiam się, że to kolejna nieścisłość znaczeniowa. Wielka Matka wie, co to słowo oznacza i że nie jest specjalnie trafione w jej wypadku, ale jak nazwałbyś kogoś, kto ściga przestępców?

- No... gliną.

- Ja też.

Znów spojrzała na zegarek.

- Teraz lepiej chwycmy się czegoś. Za parę minut powinniśmy zmienić kurs, a manewry z tym związane mogą być nieprzyjemne nawet wtedy, gdy siedzi się przypiętym w fotelu.

Czytałem kiedyś o wyprzedzaniu, obrotach, ale tylko jako o teoretycznych manewrach. Nie sądziłem, że znajdę się w statku, który to wszystko będzie wykonywał. Jeżeli to jest statek. Podłoga przez cały czas nawet nie drgnęła, zupełnie, jakbyśmy stali w miejscu.

- Nic widzę żadnej rzeczy, której mógłbym się chwycić.

- Masz rację. Ale jeśli usiadziemy w najwęższym miejscu, przyciskając się do siebie i do ścian, myślę, że to wystarczy, by uniknąć turlania się po podłodze. Lepiej się pospieszmy, mój zegarek może się spóźniać.

Usiedliśmy twarzami do siebie w miejscu, gdzie odległość między przeciwnymi ścianami była nie większa niż półtora metra. Oparliśmy się o siebie stopami, plecami przylegając jednocześnie do ścian. Zupełnie jak alpiniści w skalnym kominie. Ja miałem na stopach tylko skarpetki, bo przecież buty zostały, o ile wiem, w warsztacie. Zastanawiałem się, czy zostawili mój kombinezon na pastwisku i czy tata go odnajdzie.

- Zaprzyj się mocno i przyciśnij dłonie do podłogi.

Potulnie wykonałem polecenie.

- Skąd wiesz, w którym momencie wykonamy obrót?

- Gdy mnie porwali, nie straciłam przytomności.

Po prostu wrzucili mnie do środka, więc wiem, kiedy wystartowaliśmy. Zakładając, że lecimy na Księżyc, a tak prawdopodobnie jest, oraz pamiętając o grawitacji... jeszcze nie czuję się złejsza, a ty?

Zastanowiłem się.

- Ja też nic.

- Czyli wszystko na razie się zgadza, chociaż mój zmysł równowagi może być trochę niepewny ze względu na pobyt na Księżycu. No więc jeśli te założenia są prawdziwe, to lecimy już prawie trzy i pół godziny, a zatem... - spojrzała na zegarek - przewidywany czas przylotu: dziewięta trzydzieści, czyli zmiana kursu o siódmej czterdzieści pięć. Za chwileczkę.

- Już jest tak późno? - Rzuciłem okiem na mój zegarek. - U mnie dopiero piętnaście po drugiej.

- Jesteś ciągle w twojej strefie czasu. A mój zegarek wskazuje czas księżycowy -- odpowiedziała Peewee. - Oj! To już!

Podłoga zadrżała, przechyliła się i podskoczyła jak deskorolka. Moje jelita zatańczyły sambę. Wszystko uspokoiło się, a ja poczułem ostre zawroty głowy.

- Nic ci się nie stało? - zapytała Peewee.

Udało mi się otworzyć oczy.

- Nie, chyba nie. To było jak skok do pustego basenu.

- Ten pilot robi to szybciej, niż mogłam przypuszczać. Nic ci nie będzie. Już jesteśmy w orbicie Księżyca. Za godzinę i trzy kwadransy będziemy na miejscu.

Ciągle nie mogłam w to uwierzyć.

- Peewee, jaki statek jest w stanie tak szybko przebyć drogę na Księżyc? Czy to sekret tych piratów? No, a co ty robiłaś na Księżycu?

Westchnęła i spojrzała na swoją lalkę.

- Dowcipny facet, prawda, Madame Pompadour? Kip, jak mam odpowiedzieć na trzy pytania naraz? Jesteśmy w „latającym talerzu” i...

- „Latający talerz”! To wiele wyjaśnia.

- Nieładnie tak przerywać. Nazwij go sobie, jak chcesz. Właściwie to ma kształt bardziej zbliżony do kromki pumpernika niż do talerza. Rozumiesz: spłaszczona sferoida. To taki kształt...

- Wiem, jak wygląda sferoida - uciałem.

Byłem zdenerwowany i zmęczony tym nadmiarem przeżyć, począwszy od zepsutego klimatyzatora, który zniszczył mi porządną parę spodni, a skończywszy na ciosie w kręgosłup. Nie wspomnę już o Asie Quiggle'u. Najlepiej byłoby, gdyby małe dziewczynki, które są geniuszami, miały dar nieujawniania się z tym.

- Nie ma powodu, żebyś się tak unosił. Wiem, że ludzie biorą za „latające talerze” balony meteorologiczne i uliczne światła. Moim zdaniem, a także według Occama Razora...

- Kogo?

- Occama Razora. Ostatnie hipotezy. Nic nie wiesz o logice?

- Niewiele.
- No cóż. Sądzę, że co pięćsetny „obiekt” jest takim statkiem, jak ten. A co do mojej obecności na Księżycu... - Przerwała i uśmiechnęła się. - Jestem nieznośna.

Trudno mi było się z tym nie zgodzić.

- Bardzo dawno temu, kiedy mój tatuś był małym chłopcem, planetarium w Hayden przyjmowała rezerwację miejsc na wycieczki na Księżyc. Rozumiesz, głupi chwyt reklamowy, taki jak ostatnio ten konkurs z mydłem, ale tatuś się zapisał. Teraz, wiele lat później, kiedy loty kosmiczne nie są już rzadkością, American Express honoruje listy z Hayden i wysyła tych, którzy się zapisali, na Księżyc.

- Czyli twój tatuś zabrał cię na Księżyc?
- Ojejku, nie! Tatuś wypełnił ten formularz, kiedy był małym chłopcem. Teraz jest grubą rybą w Instytucie Badań Naukowych i nie ma czasu na takie przyjemności. A mama nie wybrałaby się w taką podróż, nawet gdyby jej za to zapłacić. Więc stwierdziłam, że ja polecę. Tatuś powiedział „Nie!”, mama „Wielkie nieba! Nie!”. No i poleciałam. Potrafię być okropnie dokuczliwa, jeśli czegoś bardzo pragnę - powiedziała z dumą w głosie. - Tatuś mówi, że jestem niemoralną małą szelmą.

- I zgadzasz się z nim?
- Całkowicie. On mnie rozumie, podczas gdy mama załamuje ręce i mówi, że nie może tego znieść. Przez dwa tygodnie byłam strasznie nieznośna i uparta. W końcu tatuś powiedział: „Na miłość boską, pozwólmy jej lecieć! Może przynajmniej zarobimy na jej ubezpieczeniu!” W ten sposób znalazłam się na Księżycu.

- Mhmm. Ale to ciągle nie wyjaśnia, skąd się tutaj wzięłaś.

- A, tak. Właziłam wszędzie, gdzie nie wolno, i wtykałam nos tam, gdzie nie powinnam. Zawsze się tak zachowuję. To bardzo twórcze. No i porwali mnie. Woleliby tatusia, ale mają nadzieję, że wymienią mnie za niego. Nie mogłam do tego dopuścić, więc uciekłam.

- Niezła bajka... - mruknąłem.

- Słucham?

- Twoja historia jest tak bzdurna jak reklamy telewizyjne.

- Ale to przecież takie logiczne... Och! Znowu to samo!

Ale nic się nie wydarzyło. Tylko światło z białego zmieniło się na niebieskie. Nie było żadnych lamp, cały sufit promieniował jasnością. Ciągle siedzieliśmy na podłodze. Spróbowałem wstać i... nie mogłem. Poczułem się tak, jakbym właśnie ukończył bieg maratoński, zbyt byłem słaby, by robić cokolwiek poza oddychaniem. Nigdy nie słyszałem, żeby niebieskie światło miało taki wpływ na ludzki organizm.

Faktem jest, że to, co zaaplikowali nam razem z niebieskim światłem, zrobiło z nas kompletne flaki.

Zauważyłem, że Peewee stara się coś powiedzieć:

- Jeśli... przyjdą po nas... nie opieraj im się... i... przede wszystkim...

Światło z powrotem zmieniło się na mlecznobiałe. Jedna ze ścian zaczęła się wolno odsuwać.

Na twarzy Peewee malowało się przerażenie. Wielkim wysiłkiem zdołała dokończyć:

~ ...przede wszystkim... nie drażnij Jego.

Do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Odepchnęli Pee-wee na bok i zrozumiałem, że to ja jestem obiektem ich zainteresowania.

Zaczęli obwiązywać mnie sznurem, który jeden z nich przyniósł ze sobą. Skrępowali mi nadgarstki, kostki i ramiona. Spróbowałem się uwolnić, ale to okropne niebieskie światło uczyniło mnie niezdolnym do zdecydowanych ruchów. Chciałem dać im po głowach, ale miałem tyle siły, ile motyl usiłujący podnieść żelazną sztabę.

Zaczęli wywlekać mnie z pokoju. Usiłowałem protestować:

- Gdzie mnie ciągniecie?! Co wy sobie myślicie? Zostawcie mnie w spokoju, bo każę was aresztować!

- Przymknij się - powiedział jeden z nich.

Był to chudy, niewysoki facet po pięćdziesiątce. Na jego twarzy chyba nigdy nie gościł uśmiech. Ten drugi był znacznie młodszy, gruby, miał dołek w brodzie i wydatne usta skłonne do częstych grymasów. Na jego twarzy malowało się zmartwienie.

- Tim, ten chłopak wpakuje nas w kłopoty. Powinniśmy go wypuścić w przestrzeń. Właściwie najlepiej byłoby się pozbyć obojga. A Jemu powiemy, że to wypadek. Ze próbowali uciekać i sami otworzyli wąż statku. On się nie zorientuje...

- Przymknij się. - To było chyba ulubione powiedzenie tego starszego. - Chcesz mieć nieprzyjemności? Chcesz pofruwać bez skafandra?

- Ale...

- Przymknij się.

Powlekli mnie korytarzem i wrzucili do jakiegoś pomieszczenia. Byłem przytomny, ale upłynęła długa chwila, zanim się zorientowałem, że to pokój kontrolny. Z pewnością nie mógł go zaprojektować człowiek. Wtedy zobaczyłem Jego.

Peewee niepotrzebnie mnie ostrzegała. Nie miałem najmniejszej ochoty Go drażnić.

Mały i chudy facet był szorstki i niebezpieczny, ten drugi, gruby, bezlitosny i okrutny, ale obaj byli aniołami w porównaniu z Nim. Gdyby nie niebieskie światło, miałbym jakieś szanse w walce z tamtymi dwoma. Nie jestem tchórzem, walczę, jeżeli istnieje najmniejsza nadzieja na zwycięstwo.

Ale nie z Nim.

Nie był człowiekiem, ale nie to było najbardziej przerażające. Słonie także nie są ludźmi, a jakie potrafią być miłe. On przypominał bardziej człowieka niż słonia, to znaczy stał na nogach, a ciało wieńczyła głowa. Miał około półtora metra wzrostu, co wcale nic ujmowało mu grozy. Panował nade mną tak, jak jeździec panuje nad koniem. Jego tułów był normalnych rozmiarów, to nogi, krótkie i pękate, zdecydowały o małym wzroście. Zakończone były stopami (myślę, że tak właśnie nazwalibyście tę część jego ciała), płaskimi, owalnymi, jakby przyssanymi do podłoża, które podczas poruszania wydawały odgłos plaskania. Kiedy stawał, wysuwał z tyłu coś na kształt ogona lub trzeciej nogi, która podpierала. Go, pozwalając Mu przysiąść.

Krótkie kończyny wcale nie spowalniały jego ruchów, lecz sprawiały, że kiedy się poruszał, przypominał wijącego

się węża. Oznaczać to mogło sprawniejszy system nerwowy bądź większą siłę grawitacji na Jego ojczystej planecie.

Kończyny górne miały znacznie więcej stawów niż ludzkie. No i dwie pary rąk: jedna w pasie, a druga tuż poniżej głowy. Bez ramion. Nie byłem w stanie policzyć Jego palców, które podobne były do wąsów. Nie był ubrany, z wyjątkiem pasa poniżej i powyżej dolnej pary rąk.

Skórę miał lepłą, koloru purpurowosinego. Kimkolwiek był, nie miał nic wspólnego z Wielką Matką.

Wydzielał duszny, słodkawy zapach. Muszę przyznać, że każdy zatłoczony pokój pachnie w upalny dzień trzy razy gorzej, ale ten odór już zawsze będzie przyprawiał mnie o mdłości i drzenie rąk.

Oczywiście, nie zarejestrowałem tych wszystkich szczegółów natychmiast. Najpierw przyjrzałem się twarzy. Chociaż nie wiem, czy „twarz” to właściwe słowo. Nie mogłem jej dotąd opisać, bo to wspomnienie nadal mrozi mi krew w żyłach. Ale zrobię to, by was ostrzec, gdybyście Go kiedykolwiek spotkali.

Bez nosa. Oddychał tlenem, ale w jaki sposób, tego nie jestem pewien. Częściowo ustami, kiedy mówił. Usta były drugą najobrzydliwszą częścią Jego ciała. W miejscu żuchwy i brody miał kości szczękowe poruszające się zarówno do góry i w dół, jak i na boki. Wewnątrz otworu gębowego znajdowały się dwa rzędy zębów, nie było języka, natomiast wargi okalały drobne rzęski, jak u niektórych gatunków ryb.

Powiedziałem, że usta były drugą najokropniejszą częścią Jego ciała. Ustępowały jedynie oczom. Ogromnym, wylupiastym, otoczonym zrogowaciałymi naroślami. Te

oczy były w nieustannym ruchu - przesuwały się z góry na dół i na boki, jak dwa radary. Niby nie zatrzymywał na tobie wzroku, a jednak stale cię obserwował. Kiedy się obrócił, zauważyłem z tyłu trzecie oko. Musiał zatem przez cały czas wszystko kontrolować.

Ale który mózg jest w stanie odebrać i przetworzyć tak ogromną ilość informacji? Z pewnością nie ludzki. Jego głowa nie była przesadnie duża, co mogłoby sugerować ogromnych rozmiarów mózg. Myśląc o tym dłużej, doszedłem do wniosku, że może głowa wcale nie jest najlepszym miejscem, może On ma swój mózg gdzie indziej.

Gdzieś go w każdym razie miał. Odczułem to na własnej skórze. Przygwoździł mnie jak muchę i wycisnął to, co chciało. To nie było wcale jakieś pranie mózgu. Po prostu zadawał mi pytania, a ja odpowiadałem. Mówił kiepsko po angielsku, ale zrozumiale. Niektóre słowa wymawiał trochę śmiesznie, jakby sepleniąc.

Głos miał szorstki. Jeśli czegoś nie rozumiałem, nie groził mi ani nie karał, tylko powtarzał jeszcze raz. Nie nadawał temu, co mówi, żadnego wyrazu. Wyrzucał słowa taśmowo.

Dowiedział się wszystkiego, co Go interesowało. Kim jestem, skąd się wzięłem tam, gdzie wylądowali, i dlaczego miałem na sobie kosmiczny kombinezon. Nie mogłem wy czuć cienia reakcji na to, co mówię.

Nie bardzo rozumiał, na czym polegał konkurs, w którym brałem udział. Okazało się też, że nie mam pojęcia o wielu podstawowych rzeczach, jak na przykład ilu ludzi mieszka na Ziemi czy ile ton białka produkujemy rocznie.

Zdawało mi się, że „przesłuchanie” trwało wieki. W końcu wyciągnął ze mnie wszystko, co chciał. Dwaj ochroniarze, którzy mnie tu przywlekli, czekali na rozkazy. Ten grubszy zapytał:

— Wyrzucić go w przestrzeń?

On zawahał się przez moment, tak jakby to nie o mnie chodziło, lecz o starą gazetę.

— Nie. To nie wyćwiczony ignorant, ale może jeszcze nam się przyda. Zaprowadźcie go z powrotem.

— Tak, szefie.

Wyciągnęli mnie z pokoju. Na korytarzu grubas odezwał się:

— Może rozwiążemy mu nogi? Niech sam się przespaceruje.

— Przymknij się - uciął chudy.

Peewee leżała tak jak wtedy, gdy opuszczałem nasze wspólne więzienie. Chyba wciąż była pod wpływem tego niebieskiego światła. Upuścili mnie obok niej i rozwiązali, po czym dostałem cios w głowę i straciłem na chwilę przytomność. Gdy się ocknąłem, już ich nie było, a obok siedziała Peewee. Zapytała nieśmiało:

— Bardzo źle?

— No, dosyć - poczułem, jak po plecach przechodzi zimny dreszcz. — Czuję się o pięćdziesiąt lat starszy.

— Trochę pomaga, jeśli się na Niego nie patrzy, a szczególnie w Jego oczy. Odpocznij sobie, za chwilę poczujesz się lepiej. Spojrzała na zegarek. — Powinniśmy lądować za około czterdzieści pięć minut. Do tego czasu wszystko będzie z tobą w porządku.

— Co? - usiadłem. - Więc spędziłem tam tylko godzinę?

— Mniej więcej. Wydawało ci się, że to wieczność? Wiem.

— Czuję się jak wyciśnięta cytryna - westchnąłem na wspomnienie o Nim. - Peewee, tych dwóch, co po mnie przyszli, wcale się nie bałem, Koniecznie chciałem się dowiedzieć, co ze mną zrobią, dlaczego mnie tu trzymają. Ale Jego... Jemu nie miałem odwagi zadać żadnego pytania.

- Rozumiem. Też to przeżyłam. Paraliż woli, zupełnie jak królik naprzeciw węża.

- Tak.

- Kip, teraz widzisz, dlaczego próbowałam uciekać. Chyba nie wierzyłeś w to, co opowiadałam. Czy teraz wierzysz?

- Oczywiście...

- Dzięki. Zawsze mówię, że jestem zbyt dumna, żeby przejmować się opinią innych ludzi. Ale tak nie jest. Muszę wrócić do tatusia... On jest jedynym człowiekiem, który uwierzy mi bez względu na to, jak bardzo nieprawdopodobne będzie to, co powiem.

- Rozumiem, chyba rozumiem. A dlaczego chciałaś wylądować w Centerville?

- Centerville?

- Tam, gdzie mieszkam. Tam, gdzie „Junebug wzywał Peewee”.

- Och! Zamierzałam lądować w New Jersey, w Princeton, jeśli byłoby to możliwe, żeby dostać się do tatusia.

- No to chyba zgubiłaś kurs.

- A ty byś nie zgubił? Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie mój skręcony nadgarstek. Tc „talerze” nie są trudne do prowadzenia, po prostu podajesz cel i włączasz silniki. Poza tym pomagała mi Wielka Matka. Ale musiałam trochę zwolnić przy wchodzeniu w atmosferę i nie wiedziałam jak. Odbiłam za bardzo na zachód, oni mnie ścigali, nie miałam pojęcia, co robić. Wtedy usłyszałam ciebie i pomyślałam, że wszystko w porządku. Tak znalazłam się w Centerville. Przepraszam. - Rozłożyła rękę.

- Ważne, że szczęśliwie wylądowałaś. Mówią, że każde lądowanie, z którego wychodzisz cało, jest dobre.

- Przykro mi, że cię w to wszystko wplątałam.

- No cóż. Widocznie tak musiało się stać. Peewee, czego On chce?

- Czego Oni chcą...

- Co? Ci dwaj są chyba niegroźni,

- Nie mam na myśli Tima i Jocka. To tylko zwykli gangsterzy. Chodzi mi o Niego i Jemu podobnych.

W zasadzie nic już nie powinno mnie było zaskoczyć. Jednak nie przypuszczałem, że mogło być Ich więcej. Skoro był jeden, mogło być Ich tysiące, miliony, biliony... Czułem, że robi mi się niedobrze ze strachu.

- Widziałaś tych pozostałych?

- Nie, tylko Jego, Ale Wielka Matka mi powiedziała.

- Kurczę, Peewee, czego Oni chcą?

- Jeszcze się nie domyśliłeś? Chcą nas zgładzić.

Zrobiło mi się gorąco.

- Jak?

- Nie wiem.

- To znaczy, że wybiją całą ludzkość i zajmą Ziemię?

Zawahała się.

- Gorzej.
- Zrobią z nas niewolników?
- Coraz cieplej. Kip, myślę, że oni jedzą... mięso.
- Masz niezłe pomysły, jak na małą dziewczynkę.
- Ja sobie tego nie wymyśliłam. Muszę powiedzieć o tym tatusiowi.

Nie wiedziałem, co mam myśleć. Odwieczny lęk ludzkości. Tata opowiadał mi o tym, jak kiedyś, gdy był małym chłopcom, radio podało wiadomość o inwazji Marsjan. Czy sta fikcja, ale przerażyła miliony. Teraz ludzkość tak łatwo nie uwierzy. Odkąd stanęliśmy na Księżycu i okrążyli Marsa i Wenus, większość uważa, że życie na innych planetach nie istnieje. Jak bardzo się mylą...

- Peewee, czy to Marsjanie? A może pochodzą z Wenus?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Oni są z bardzo daleka. Wielka Matka starała się mi to wytłumaczyć, ale miałyśmy kłopoty z porozumieniem.

- Gdzieś spoza Układu Słonecznego?
- To jest właśnie ta trudność. I tak, i nie.
- Nie może być „i tak, i nie”.
- Sam ją o to zapytasz.
- Chciałbym. - Zawahałem się i krzyknąłem: - Nieważne, skąd pochodzą. Możemy Ich wszystkich zabić... jeśli na Nich nie patrzymy!
- Mam nadzieję.
- Pomyśl. Mają „latające talerze”. Prawdziwe. Nie żadne balony meteorologiczne. To znaczy, że obserwują nas

od dawna. Widać nie są pewni swojej mocy, nawet jeśli tak okropnie wyglądają. Inaczej zaatakowaliby nas, kiedy jeszcze żyliśmy w jaskiniach. A przecież tego nie zrobili. To znaczy, że nie są niepokonani, jeśli dobrze rozumię.

Peewee westchnęła.

- Sądzę, że tatuś znajdzie jakiś sposób. Niewiele o Nich wiemy. Tatuś zawsze mnie ostrzegał, żeby nie być pewnym, jeśli dane są niekompletne. „Nie rób zbyt dużo szumu wokół sprawy, której jeszcze nie zbadałaś”, mówił.

- Kim jest twój tatuś? Jak ty się właściwie nazywasz?

- Mój tatuś to profesor Reinfeld. A ja nazywam się Patricia Wynant Reinfeld. Czy to nie brzmi okropnie? Lepiej mów do mnie Peewee.

- Profesor Reinfeld? Czego on uczy?

- Co takiego? Nie wiesz? Nie wiesz nic o Nagrodzie Nobla dla tatusia?

- Pochodzę z małego miasteczka... Przykro mi.

- No tak. Tatuś niczego nie uczy. On myśli. Myśli lepiej niż ktokolwiek... może oprócz mnie. Jest syntetykiem. Wszyscy inni specjalizują się w wąskich dziedzinach nauki. On wie wszystko i układa te kawałki w jedną całość.

- Całkiem możliwe, ale nigdy nie słyszałem o tym faciecie. Mnie nauka zajmowała mnóstwo czasu. Profesor Reinfeld musi mieć trzy głowy. Albo pięć.

~ Poczekaj, aż go poznasz — dodała, patrząc na zegarek. -Kip, myślę, że trzeba znów przycisnąć się do ścian. Za kilka minut lądowanie... a Jemu nie zależy na wygodzie pasażerów.

Tak jak poprzednio, usiedliśmy w największym miejscu, przyciśnięci do ścian i zetknięci stopami. Czekaliśmy. Po

chwili statkiem zatrzęsło, a podłoga się przechyliła. Poczulem lekkie uderzenie i zaraz wszystko się uspokoiło. Nagle stałem się bardzo lekki. Peewee podniosła się zwinnym ruchem.

- Zatem jesteśmy na Księżycu.

ROZDZIAŁ 5

Będąc dzieckiem, uwielbiałem bawić się w pierwsze lądowanie na Księżycu. Z czasem odrzuciłem romantyczne mrzonki i zdałem sobie sprawę, że trzeba się zająć czymś realnym. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że znajdę się kiedyś na Księżycu, zamknięty jak mysz w pudełku po butach, nie mogąc rozejrzeć się nawet dokoła.

Jedynym, co świadczyło o tym, iż rzeczywiście wylądowałem na Księżycu, było ciążenie. Zwiększoną grawitację można sztucznie wytworzyć, wykorzystując umiejętnie siłę odśrodkową. Natomiast zmniejszenie grawitacji to zupełnie inna para kaloszy. Na Ziemi największym osiągnięciem jest kilka sekund bez ciążenia podczas skoku ze spadochronem albo w czasie akrobacji samolotowych.

Jeżeli mniejsza grawitacja utrzymuje się dłużej, to można mieć pewność, iż Ziemia została daleko z tyłu. Z

pewnością nie wylądowałem na Marsie, pozostawał zatem Księżyc.

Powiniennem tutaj ważyć nieco ponad dwadzieścia pięć funtów. I tak też się czułem - wystarczająco lekko, aby chodzić po trawniku i nie podeptać trawy.

Przez kilka minut sprawdzałem nowe możliwości, zapominając o Nim i o naszych kłopotach. Fruwałem po pokoju, biłem głową o sufit i powoli, bardzo powoli opadałem na podłogę. Peewee usiadła, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się nieznacznie w ten swój nieznośnie protekcyjny sposób.

Mała grawitacja płała idiotyczne figle. Stopy nie znajdują oparcia i uciekają spod tułowia. Musiałem doświadczyć na własnej skórze czegoś, co znałem jedynie z teorii: mimo ubytku wagi masa i bezwładność pozostają niezmiennie. Aby zmienić kierunek ruchu, nawet zwyczajnie chodząc na dwóch nogach, trzeba najpierw przechylić się w zamierzoną stronę. Jednak i wówczas, jeżeli brakuje tarcia (jak w moim wypadku, w skarpetkach na gładkiej podłodze), stopy zaczynają wymykać się spod tułowia.

Przy jednej szóstej ziemskiej grawitacji upadek nie jest bolesny, ale Peewee chichotała. Usiadłem.

- Śmieję się, śmieję, mądralo. Stać cię na to, bo masz tenisówki z gumową podeszwą.

- Przepraszam, ale wyglądałeś okropnie głupio, krocząc jak na zwolnionym filmie i próbując chwycić się powietrza.

- To rzeczywiście bardzo śmieszne.

- Powiedziałaś „przepraszam”. Jeżeli chcesz, mogę ci pożyczyć swoje tenisówki.

Spojrzałem najpierw na jej stopy, potem na swoje i parsknąłem.

- O matko! Dzięki.
- No... mógłbyś na przykład obciąć pięty. Mnie by to nie przeszkadzało. A przy okazji, co zrobiłeś z butami, Kip?
- Zostały mniej więcej 250 000 mil za nami. Chyba że wysiedliśmy na innym przystanku, niż sądzimy.
- I tak nie będą ci tutaj zbytnio potrzebne.
- ~ Właśnie.

Przygryzłem wargi, myśląc, co znaczy „tutaj”, i nie miałem już ochoty na zabawę z grawitacją.

- Peewee, co zrobimy?
- Z czym?
- Z Nim.
- Nic, a co możemy zrobić?
- W takim razie co teraz?
- Śpimy.
- Co?
- Śpimy. „Sen, który tka opończę błogostanu”. „Rajski nektar ukojenia, słodki sen”. „Błogosławiony niech będzie ten, kto wymyślił sen, tkaninę, która okrywa wszystkie ludzkie myśli”.
- Przestań się wygłupiać i powiedz wreszcie coś z sensem.
- Wcale się nie wygłupiam. Jesteśmy bezradni jak nowo narodzone kocięta. Usiłujemy przeżyć, a pierwszą zasadą w takich warunkach jest nie martwić się sprawami, które są od nas niezależne i poświęcić uwagę tym, na które mamy wpływ. Jestem głodna, spragniona i bardzo, bardzo

zmęczona... W tych warunkach nie pozostaje mi więc nic innego, jak położyć się spać. Więc jeśli byłbyś tak miły, to proszę, zachowuj się cicho, a gdy zamkniesz jadaczkę, niezwłocznie zrobię to, co powiedziałam.

- Zrozumiałem. Nie musisz od razu tak warczeć.

- Przepraszam, ale wściekam się jak diabli, kiedy jestem głodna i zmęczona. Tatuś mówi, że przed śniadaniem robię się po prostu niemożliwa do zniesienia. — Zwinęła się w kłębek, wsuwając pod głowę tę swoją brudną, szmacyaną lalkę. - Dobranoc, Kip.

- Dobranoc, Peewee.

Przyszła mi do głowy pewna myśl i zacząłem nawet coś mówić, lecz dziewczynka już spała. Oddychała lekko, jej twarz wygładziła się, tracąc wyraz czujności i pewnego zarozumiałstwa. Wyglądała jak cherubinek z brudną buzią. Na policzkach dostrzegłem smugi od łez, których nie wytarła. Nie widziałem jeszcze, żeby płakała.

Kip, powiedziałem sobie w duchu, wpakowałeś się w niezłą kabałę. To jest o niebo poważniejsze, niż sprawowanie opieki nad bezpańskim szczeniakiem.

Musiałem zająć się tą smarkulą... albo zginąć na posterunku.

Może mi się uda. Zginąć na posterunku, oczywiście. Nie byłem jednak pewien, czy potrafię należycie zadbać choćby o własny nos.

Ziewnąłem. Ziewnąłem jeszcze raz. W krewetce byłoby pewnie więcej energii. Czułem się piekielnie zmęczony, głodny i spragniony, doskwierały mi wszelkie możliwe niewygody. Pomyślałem, że można by załomotać w drzwi i ściągnąć tutaj grubasa oraz tego drugiego chudzielca.

Mógłbym jednak przy okazji obudzić Peewee, a co gorsza rozzłościć Jego.

Wobec tego wyciągnąłem się na plecach, jak to zwykłem robić u siebie w salonie na dywanie. Zauważyłem, że na Księżycu twarda podłoga nie wymaga specjalnej pozycji do spania. Jedna szósta grawitacji zapewnia pełniejszy komfort niż najdelikatniejszy materac piankowy. Nawet kapryśna księżniczka z bajki Andersena byłaby w pełni usatysfakcjonowana.

Zasnąłem natychmiast.

To była najbardziej zwariowana space opera, jaką widziałem w życiu. Dookoła pałętało się mnóstwo smoków, księżniczek z epoki arturiańskiej, rycerzy w kosmicznych zbrojach, którzy krążyli między dworem króla Artura a dnem Morza Martwego. Sceneria mi nie przeszkadzała, natomiast irytował mnie komentator. Mówił głosem Ace'a Quiggle'a, ale miał Jego twarz. Raz po raz wychylał się z ekranu, złośliwie uśmiechał i mrugał tymi robakowatymi ślepiami. „Czy Beowulf zwycięży smoka? Czy Tristan powróci do Izoldy? Czy Peewee odnajdzie laleczkę? Nie zapomnij włączyć naszego kanału jutro wieczorem. Teraz obudź się i pobiegnij kupić środek marki Skyway Kwikbrite, używany przez najlepszych rycerzy do polerowania zbroi. Pobudka!” Wysunął swoją węzową mackę i klepnął mnie po ramieniu.

Obudziłem się.

- Pobudka! - mówiła Peewee, szarpiąc mnie za ramię.
- Pobudka, Kip.
- Zostaw mnie!
- Miałeś zły sen.

- Nie poznałem zakończenia. Po co mnie budzisz? Myślałem, że mieliśmy spać.

- Spałeś ładnych parę godzin, a teraz nadeszła pora, aby wreszcie coś zrobić.

- Może śniadanko?

Puściła to mimo uszu.

- Myślę, że musimy jakoś stąd uciec.

Usiadłem gwałtownie, odbiłem się od podłogi i powoli opadłem na miejsce.

- Co ty mówisz? W jaki sposób?

- Nie mam jeszcze sprecyzowanego planu. Myślę jednak, że oni wyszli i zostaliśmy sami. Podobna okazja może się już nie powtórzyć.

- Naprawdę wyszli? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Posłuchaj. Posłuchaj uważnie.

Zacząłem nasłuchiwać. Słyszałem bicie własnego serca. Słyszałem oddech Peewee, a chwilę później usłyszałem też bicie jej serca. Panowała absolutna cisza. Wyjąłem z kieszeni nóż, włożyłem ostrze między zęby, a drugi koniec przyłożyłem do ściany, aby wyczuć wibracje fal dźwiękowych. Głucho. Spróbowałem przy innych ścianach i przy podłodze. Nadal nic. Statek był pogrążony w ciszy. Żadnych stuków, zgrzytów, najmniejszych wyczuwalnych drgań.

- Masz rację, Peewee.

- Zauważyłam, co się święci, kiedy ustała cyrkulacja powietrza.

Pociągnąłem nosem.

- Czyli kończy nam się powietrze?

- Niezupełnie. Ale powietrze przestało po prostu krążyć. Normalnie wlatuje przez te małe otworki, tam w

górze. Nie zwróciłeś na to uwagi, ale mnie zaczęło czegoś brakować, kiedy ustała cyrkulacja.

Myślałem intensywnie.

- Nie widzę związku. W dalszym ciągu siedzimy zamknięci.

- Nie byłabym tego taka pewna.

Uderzyłem nożem w ścianę. Nie była z metalu ani z tworzywa sztucznego, ale nóż nie zostawił najmniejszego śladu. Może hrabia Monte Christo wydłubałby w tym czymś dziurę, lecz on miał więcej czasu.

- Co masz na myśli?

- Za każdym razem, gdy otwierali albo zamykali drzwi, słyszałam trzask zamka. Więc kiedy ciebie zabrali, wetknęłam kawałek gumy do żucia we framugę.

- Masz gumę do żucia?

- Tak. Bardzo pomaga, kiedy nie ma nic do picia.

- Został ci jeszcze kawałek? - zapytałem z nadzieją. W ogóle czułem się okropnie, ale pragnienie doskwierało najdotkliwiej.

Peewee zrobiła smutną minę.

- Biedaczysko! Skończył mi się zapas. Został tylko taki wyzutny kawałek pod paskiem od spodni, na czarną godzinę. - Zmarszczyła brwi. - Ale możesz go wziąć. Śmiało!

- Wielkie dzięki, Peewee, ale nie skorzystam.

Chyba poczuła się dotknięta.

- Zapewniam pana, panie Russell, że nie cierpię na żadną zakaźną chorobę. Usiłowałam po prostu...

- Tak, tak - powiedziałem pośpiesznie - wiem o tym, ale...

- Pomyślałam, że znaleźliśmy się w wyjątkowej sytuacji, co usprawiedliwia taką propozycję. W każdym razie nie byłoby to bardziej niehigieniczne niż pocałunek, ale nic sędzę, żebyś ty się kiedykolwiek całował.

- Ostatnio nie miałem okazji - wyznałem. - Teraz zaś marzę tylko o łyku czystej, zimnej wody... zresztą może być nawet mętna i ciepła. A zatem przykleiłaś gumę do drzwi. I co z tego?

- Wspomniałam o szczękaniu zamka. Tatusz mówił, że mając problem, dobrze jest zmienić jakąkolwiek zmienną, a później od nowa przeanalizować całą sprawę. Moja guma miała wprowadzić zmianę w równaniu.

- I?

- Kiedy przynieśli cię z powrotem i zamknęli drzwi, nie słyszałam trzasku zamka.

- Co?! A więc już dawno ich wykiwałaś i nie pisnęłaś mi o tym nawet słówka?

- Właśnie.

- Dlaczego? Powinienem cię stłuc na kwaśne jabłko!

- Nie radzę - stwierdziła lodowato. - Gryzę.

Uwierzyłem na słowo. Na pewno potrafiła jeszcze drapać i robić inne nieprzyjemne rzeczy. Wróciłem do pytania.

- Dlaczego mi o niczym nie powiedziałaś, Peewee?

- Bałam się, że będziesz usiłował uciec.

- Oczywiście!

- No właśnie. A ja chciałam, żeby te drzwi pozostały zamknięte, dopóki On był po drugiej stronie.

Możliwe, że w porównaniu ze mną była geniuszem.

- Kapuję. Teraz zobaczymy, czy da się jakoś rozsunąć te wrota.

Obejrzałem drzwi. Jak na możliwości wspinaczkowe Peewee guma tkwiła dość wysoko. Chyba rzeczywiście zablokowała zamek, ale szczelina była bardzo wąska. Spróbowałem podważyć grodz nożem. Ustąpiła na jakąś jedną ósmą cala i wtedy ostrze pękło mi w rękach. Złożyłem scyzoryk.

- Masz jakiś nowy pomysł?
- Może przyłożymy dłonie płasko do powierzchni i spróbujemy popchnąć?

- Dobrze.

Wytarłem ręce o koszulkę.

- Raz, dwa, trzy...

Całe szczęście, że chociaż tarcie nie zaniknęło. Rozsuwane drzwi ustąpiły niemal o cal i stanowczo stanęły. Pojawiła się jednak wyraźna szczelina, biegnąca od podłogi aż do sufitu.

Ponownie użyłem scyzoryka i znów mi się złamał (tym razem wielkie ostrze), a szpara pozostała bez zmian.

- Do licha! - powiedziała ze złością Peewee.
- Musi być jakiś sposób.

Odszedłem i z rozbiegu skoczyłem na drzwi. Pośliznąłem się jednak i wylądowałem na brzuchu. Tym razem Peewee miała grobową minę.

Pozbierałem się jakoś, podszedłem do przeciwległej ściany, oparłem o nią jedną stopę i skoczyłem w kierunku drzwi. Udało mi się uderzyć w nie z ukosa, zanim straciłem cały impet. Uderzenie nie było zbyt silne, ale poczułem, że grodz znów trochę ustąpiła.

- Poczekaaj, Kip, ściągnij najpierw skarpetki. Stanę za tobą i popchnę cię. Moje tenisówki dają lepsze oparcie.

Miała rację. Na Księżycu, jeśli nie ma się butów na gumowej podeszwie, lepiej już chodzić na bosaka. Cofnęliśmy się pod ścianę. Peewee stanęła za mną i chwyciła mnie za biodra.

- Raz, dwa, trzy i już!

Wystartowaliśmy z gracją hipopotama. Skaleczyłem się w ramię, ale drzwi wyskoczyły z prowadnicy. U dołu powstała szpara szerokości czterech cali, zwężając się ku górze.

Na futrynie zostawiłem trochę własnej skóry i kawałek koszuli, jednak skrępowany obecnością dziewczyny nie mogłem nawet zakląć. Ale mieliśmy już dość spory otwór. Uklęknąłem i wyjrzałem na zewnątrz. W zasięgu wzroku nie dostrzegłem nikogo, ale może bawili się z nami w ciuciu-babkę. Tego nie można było wykluczyć, zwłaszcza że On był wśród nich.

Peewee próbowała precyzyjnie się na zewnątrz. Wciągnąłem ją z powrotem.

- Wstręciuch! Wstręciuch! Ja chcę wyjść pierwsza!

Jeszcze dwa pchnięcia i szczelina była wystarczająco szeroka, abym się w niej zmieścił. Wyciągnąłem najmniejsze ostrze scyzoryka i podałem nóż Peewee.

- Z tarczą albo na tarczy, żołnierzu.

- Nie, ty to weź.

- Ja nie potrzebuję. W ciemnych zaułkach nazywają mnie Śmiercią o Dwóch Pięściach.

Propaganda, ale po co martwić dziewczynkę. Wypełniłem na zewnątrz i rozejrzałem się dookoła.

- Wychodź - powiedziałem cicho.

W połowie drogi Peewee zawróciła. Po chwili pojawiła się znów, ściskając tę obrzydliwą lalkę.

- O mały włos zapomniałabym o Madame Pompadour — wydusiła zdyszana.

Nawet się nie uśmiechnąłem.

- No wiesz... - zaczęła tonem wyjaśnienia - muszę ją mieć przy boku, żeby zasnąć wieczorem. To taki nawyk, ale tatuś mówi, że z niego wyrosnę.

- Na pewno.

- Nie bądź taki ważniak! To nie żaden fetyszym ani pierwotny animizm, tylko zwyczajny odruch warunkowy. Wiem doskonale, że to tylko lalka.

- Peewee, naprawdę nieważne, w jaki sposób zasy-piasz. Jeśli chodzi o mnie, to walę się młotkiem po główne. Ale koniec zwierzeń. Znasz rozkład pomieszczeń?

Rozejrzała się.

- Myślę, że jesteśmy na statku, który mnie ścigał. Wygląda identycznie jak ten, który pilotowałam.

- W porządku. Poszukajmy teraz sterowni.

- Słucham?

- Skoro sterowałaś tamtym statkiem, to chyba potrafisz także tym?

- No cóż... chyba tak.

- Więc chodźmy.

Ruszyłem, lecz Peewee zatrzymała mnie w pół kroku.

- Wtedy jednak Wielka Matka mówiła mi, co mam robić. Musimy ją znaleźć.

- Potrafisz wystartować?

- Chyba tak.

- W takim razie poszukamy Wielkiej Matki, kiedy będziemy już w powietrzu, to znaczy w przestrzeni. Jeżeli jest na pokładzie, znajdziemy ją w końcu, a jeśli jej nie ma, to i tak nic nie poradzimy.

- Jasne, rozumiem. Ale wcale nie musi mi się to podobać. Kip, jaką grawitację potrafisz wytrzymać?

- Nie mam zielonego pojęcia. A dlaczego pytasz?

- Ponieważ te zabawki mogą latać znacznie szybciej, niż myślałam. To był mój błąd.

- Błędem było kierować się na New Jersey.

- Aleja musiałam odnaleźć tatusia!

- Oczywiście, ale to mogło poczekać. Najpierw trzeba było przelecieć parę razy nad Bazą Księżycową i wezwać na pomoc Federalny Korpus Kosmiczny. To sprawa dla profesjonalistów. Potrzebujemy fachowej pomocy. Może wiesz, gdzie się teraz znajdujemy?

- Chyba tak. Jeżeli On zabrał nas do swojej bazy, to wszystko będzie jasne, kiedy zobaczę niebo.

- Znakomicie. Jeśli zdołasz zlokalizować Bazę Księżycową, to tam właśnie polecimy. W przeciwnym razie spróbujemy dotrzeć do New Jersey.

Drzwi od sterówki były zamknięte. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób można je otworzyć. Peewee zrobiła coś, co, jej zdaniem, powinno poskutkować. Wcisnęła mianowicie najmniejszy palec do otworu na wysokości zamka. Po tej dziwnej i bezowocnej próbie potwierdziła jednak tylko, że drzwi są zamknięte. Zacząłem się rozglądać.

Zauważyłem gruby metalowy pręt leżący na korytarzu. Miał chyba z pięć stóp długości, jeden koniec był zaostroszony, a na drugim dostrzegłem cztery uchwyty z brązu.

Nie miałem pojęcia, do czego ten przedmiot służy, ale idealnie nadawał się na łom.

W ciągu trzech minut rozwalilem drzwi w drobny mak. Weszliśmy do środka.

W pierwszej chwili poczułem na ciele gęszą skórę, bo właśnie w tym pomieszczeniu przesłuchiwał mnie ten straszny stwór. Próbowałem ukryć swoje uczucia. Gdyby On się nagle pojawił, wpakowałbym mu ten mój łom między oczy.

Właściwie po raz pierwszy mogłem dokładnie obejrzeć to pomieszczenie. Na środku stało coś w rodzaju gniazda, a wokół znajdowały się jakieś urządzenia przypominające wymyślny ekspres do kawy albo rower dla ośmiornicy. Dobrze, że Peewee wiedziała, jak obsługiwać tę maszynę.

- W jaki sposób zamierzasz zobaczyć niebo?

- Dokładnie tak. - Włożyła palec w otwór, którego wcześniej nie zauważyłem.

Sufit był półkolisty jak w planetarium. Nagle rozjarzył się jaskrawym światłem. Zaparło mi dech w piersiach. Nie staliśmy już bowiem na podłodze, lecz na platformie zawieszanej najwyraźniej w otwartej przestrzeni na wysokości trzydziestu stóp. Sufit wyobrażał konstelacje gwiazdne, tysiące punkcików na tle czarnego nieba. Pośrodku zaś, wielka niby tuzin księżyców, wisiała zielona, ukochana, najpiękniejsza Ziemia!

Peewee szturchnęła mnie łokciem.

- Przestań się tak gapić, Kip.

- Peewee, czy twoja dusza jest doszczętnie wyprana ze zdolności do lirycznych uniesień? - spytałem zdławionym głosem.

- Pewno, że nie. Ale nie mamy czasu. Już wiem, gdzie jesteście, Kip. Tam, skąd uciekłam. W ich bazie. Widzisz te skały i długie poszczerbione cienie? Niektóre z nich to zamaskowane statki. A tam na lewo, ten wysoki szczyt z siodłem... trochę bardziej na lewo, prawie dokładnie w kierunku zachodnim znajduje się stacja Tombaugh. Jakies czterdzieści mil stąd. Dwieście mil dalej leży Baza Księżycowa, a za nią Luna City.

- Ile czasu potrzebujemy, aby tam dotrzeć?

- Dwieście, a właściwie prawie dwieście pięćdziesiąt mil... Nigdy nie trenowałam księżycowych lotów na orientację, ale nic powinno nam to zająć więcej niż kilka minut.

- No to ruszajmy. Mogą wrócić w każdej chwili.

- Okay! - Wpełzła do gniazda i wybrała sektor. Po chwili uniosła głowę. Jej twarz była bardzo blada i przerażona. -

Kip, przykro mi, ale nigdzie nie polecimy.

Jęknąłem.

- Co się stało? Zapomniałaś, jak uruchamia się tę maszynę?

- Nie. Ale brakuje „mózgu”.

- Czego?

- „Mózgu”. Małego, czarnego urządzenia wielkości orzecha, które normalnie tkwi w tym otworze. Poprzednim razem udało nam się wystartować, bo Wielka Matka zdołała ukraść jeden „mózg”. Byłyśmy zamknięte w pustym stat-

ku, tak samo jak my teraz, ale ona miała ten „mózg” i uciekłyśmy. — Peewee sprawiała wrażenie zrezygnowanej. - Powinnam była się domyślić, że On nie zostawi „mózgu” w sterowni. Właściwie to spodziewałam się tego, ale wolałam nie zapeszać i milczałam. Przepraszam.

- Peewee, nie możemy tak łatwo dać za wygraną. Może uda mi się coś wetknąć do tego gniazdka.

- Masz na myśli coś jakby zwarcie przewodów w samochodowej stacyjce? - Pokręciła głową. - To nie takie proste, Kip. Czy uruchomisz samochód, jeśli w miejsce rozrusznika włożysz drewnianą atrapę? Nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie działa to urządzenie, ale nazwałam je „mózgiem”, bo jest bardzo skomplikowane.

- Ale przecież... - zacząłem i natychmiast umilkłem. Gdyby dzikus z Borneo dostał zupełnie nowy samochód bez świec zapłonowych, czy potrafiłby odpalić silnik? Echo odpowiedziało posępnym tonem. - Peewee, co teraz zrobimy? Masz jakiś pomysł? Bo jeśli nie, to pokaż mi włącz wejściowy. Wezmę to - potrząsnąłem moim łomem - i rozwalę wszystko, co wejdzie mi w drogę.

- Jestem zupełnie zbита z tropu. Powinnam odnaleźć Wielką Matkę. Ona wiedziałaby, co robić.

- Dobrze, ale najpierw pokaż mi włącz. Będziesz jej szukać, kiedy ja obejmę wartę przy wejściu.

Byłem zdeterminowany. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób zdołamy uciec, właściwie traciłem nadzieję, że nam się to kiedykolwiek uda. Wciąż jednak chciałem uregulować rachunki. On musiał pojąć, że to niebezpieczne manipulować ludźmi. Byłem przekonany, że zdołam Go rąbnąć,

zanim mój kręgosłup zmieni się w galaretę. Rozwalić ten obrzydliwy łeb. Tylko te oczy...

- Jest jeszcze jedna możliwość - powiedziała Peewee powoli.

- Tak?

- Głupio mi to proponować. Możesz pomyśleć, że chcę ratować własną skórę.

- Nie bądź głupia. Jeśli masz jakiś pomysł, to wal śmiało.

- Jakieś czterdzieści mil stąd leży stacja Tombaugh i jeżeli mój kombinezon wciąż gdzieś tu jest...

Poczułem się jak Bowie pod Alamo. Może mecz jeszcze jest nie rozstrzygnięty i jest szansa na dogrywkę...

- Możemy uciec na piechotę!

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, Kip. Właśnie dlatego się wahałam, czy powiedzieć ci o tym pomysle. Ja mogę uciec na piechotę, ale ty, choćbyś nie wiem jak się skurczył, nie wejdiesz w mój kombinezon.

- Nie potrzebuję twojego kombinezonu - odpowiedziałem pośpiesznie.

- Kip, Kip, jesteśmy na Księżycu, pamiętasz? Tutaj nie ma powietrza!

- Przecież wiem, masz mnie za idiotę? Ale jeśli mają twój kombinezon, to dlaczego nie mój...

~ Masz kombinezon? - spytała z wielkim niedowierzaniem.

Kolejne uwagi, które czyniliśmy pod swoim adresem, nienadają się do powtórzenia. W końcu jednak Peewee

uwierzyła, że naprawdę mam kombinezon, który zresztą uratował mi życie w trakcie porwania.

- Przeszukajmy tę górę złomu! Nie, najpierw pokaż mi wejście. Później ty pozagładasz w różne kąty.

- Zgoda.

Pokazała mi komorę wejściową, pomieszczenie bardzo podobne do tego, w którym byliśmy więzieni. Było tylko trochę mniejsze i miało zamykane pneumatycznie wewnętrzne drzwi. Nie były zaryglowane i dały się otworzyć. Zewnętrzne drzwi były jednak zamknięte. Zresztą w przeciwnym razie nie bylibyśmy w stanie dostać się do komory. Gdyby Robakowaty miał trochę oleju w głowie i zostawił je otwarte na oścież, wówczas... Ale zaraz!

- Czy można jakoś zablokować te drzwi od wewnątrz?

- Nie mam pojęcia

- Zaraz zobaczymy.

Było tam coś w rodzaju zwykłej, mocnej zasuwki. Jeszcze musiałem się upewnić, że drzwi nie można otworzyć z zewnątrz, zaklinowałem więc zasuwę moim nożem.

- Jesteś przekonana, że to jedyna komora powietrzna?

- Ten drugi statek miał tylko jedną komorę, a dałabym niemal głowę, że oba są identyczne.

- Będziemy mieć się na baczności. Tędy nikt się do nas nie dostanie. Nawet ten Robakowaty musi używać komory powietrznej.

- A gdyby w jakiś sposób udało mu się jednak otworzyć zewnętrzne drzwi? - spytała z niepokojem Peewee. - Rozerwie nas jak baloniki.

Spojrzałem na nią z uśmiechem.

- Kto tu jest geniuszem? Oczywiście, masz rację... pod warunkiem, że to zrobi. Ale nie zrobi, ponieważ na drzwi napiera powietrze pod ciśnieniem 20 do 25 atmosfer. Jesteśmy na Księżycu. Na zewnątrz nie ma powietrza, pamiętasz?

- Rzeczywiście - Peewee wyglądała na trochę zakłopotaną.

Zaczęliśmy poszukiwania. Spodobało mi się wyłamywanie drzwi. Nie dawałem Robakowatemu zbyt wielu powodów, żeby mnie polubił. Jedną z pierwszych rzeczy, którą odkryliśmy, była śmierdząca nora. Mieszkali w niej Chudy i Gruby. Rozczarowałem się trochę, bo drzwi były otwarte. Pokój wiele mówił o tych dwóch typach. Ich zwyczaje były najwyraźniej tak samo paskudne jak charaktery. Najwidoczniej też nie byli przypadkowymi więźniami, bo pokój został dostosowany do ludzkich potrzeb. Ich związek z Robakowatym, na czymkolwiek polegał, musiał trwać już od dłuższego czasu. Znaleźliśmy tam dwa puste schowki na skafandry, kilka tuzinów wojskowych konserw, ale przede wszystkim wodę pitną i umywalkę. Natrafiliśmy też na coś, co byłoby dla nas cenniejsze od złota, pod warunkiem, że odnaleźlibyśmy nasze skafandry: dwie pełne butle tlenowe.

Napiłem się trochę wody, otworzyłem puszkę za pomocą specjalnego uchwyty na wieczku; nie mieliśmy na szczęście takich kłopotów, jak bohaterowie Trzech panów w łódce z otwarciem kompotu ananasowego. Kazałem Peewee trochę zjeść, a później przeszukać dokładnie pokój. Sam ruszyłem dalej, dzierżąc w dłoni łom. Znalezienie butli tlenowych dodało mi siły; chciałem koniecznie odnaleźć

nasze kombinezony - i uciec! Przed powrotem Robakowatego.

Wyłamałem dziesiątki drzwi i znalazłem za nimi mnóstwo dziwnych rzeczy, między innymi coś, co musiało być sypialnią robakowatych. Nie zaprzestałem jednak poszukiwań, bo chciałem mieć pewność, że skafandry stąd naprawdę zniknęły.

W końcu jednak znalazłem nasz skarb. Był w kabinie naprzeciwko tej, w której byliśmy więzieni.

Tak się ucieszyłem na widok Oskara, że o mało go nie ucałowałem.

- Cześć, bracie! - krzyknąłem i pobiegłem po Pee-wee. Moje stopy znów uciekały spode mnie, ale mało mnie to obchodziło.

Kiedy wpadłem do pokoju, Peewee posłała mi karzące spojrzenie.

- Właśnie miałam zamiar iść cię szukać.
- Znalazłem! Znalazłem!
- Znalazłeś Wielką Matkę? — spytała z nadzieją.
- Hę? Nie, nie! Nasze skafandry. Twój i mój! Dalej, idziemy

- Ach! - Wyglądała na rozczarowaną i poczułem się nieswojo. - To dobrze... ale najpierw musimy znaleźć Wielką Matkę.

Myślałem, że dłużej tego nie wytrzymam. Mieliśmy szansę, niewielką, ale realną, na ucieczkę przed losem-gorszym-niż-sama-śmierć (to nie jest tylko metafora), a ona chciała zostać, żeby szukać jakiegoś wielkookiego stwora. Gdyby chodziło o człowieka, choćby nieznanego, które-

mu w dodatku cuchnie z gęby, nie wahałbym się ani chwili. Gdyby to był pies czy kot, też bym został, choć niechętnie.

Ale co mnie obchodził jakiś tam żabiooki potwór? To właśnie przez niego wpakowałem się w największe bagno w moim życiu.

Zacząłem rozważać możliwość ogłuszenia Peewee i wepchnięcia jej w skafander na siłę. Ale zamiast tego powiedziałem tylko:

- Czyś ty zwariowała? Zmywamy się stąd, i to natychmiast!

- Nie możemy stąd odejść, dopóki jej nie znajdziemy.

- Teraz już jestem pewien, że zwariowałaś. Nawet nie wiemy, czy ona tu jest... a nawet jeśli ją znajdziemy, to nie będziemy w stanie jej ze sobą zabrać.

- A czemu nie?

- Jesteśmy na Księżycu, pamiętasz? Tutaj nie ma powietrza. Masz może dla niej zapasowy skafander?

- Ale... - Zatkało ją na chwilę. Lecz nie na długo. Siedziała na podłodze, trzymając puszkę konserw między kolanami. Nagle wstała podskakując leciutko. — Rób, co chcesz. Ja zamierzam ją znaleźć. Masz - powiedziała, podając mi puszkę.

Powinienem był użyć siły. Ale niestety, jestem pod tym względem upośledzony, bo od wczesnego dzieciństwa uczono mnie, że nie wolno bić kobiet, nawet gdyby nie wiadomo jak bardzo na to zasługiwały. W ten oto sposób umknęła mi niepowtarzalna okazja, a ja wciąż siedziałem rozdarty, nie wiedząc, czy kierować się zdrowym rozsądkiem, czy postąpić zgodnie z wychowaniem. Jęknąłem bezradnie.

Potem zdałem sobie sprawę, że do moich nozdrzy dochodzi niezmiernie apetyczna woń. W ręku wciąż trzymałem puszkę. Zawierała coś, co wyglądało jak gotowana podszwa w szarej mazi symulującej sos. Pachniało to wszystko jednak niesłychanie zachęcająco.

Peewee zjadła połowę, ja dojadłem resztę, oglądając jednocześnie jej znaleziska. Był tam zwój nylonowej linki, który z radością położyłem obok butli tlenowych; Oskar miał wprawdzie przytroczony do pasa sznur od bielizny długości pięćdziesięciu stóp, ale sądząc po cenie, chyba nie najlepszej jakości. Był też kilof i dwie baterie, które mogły się przydać do lamp.

Z pozostałych rzeczy moje zainteresowanie wzbudziły jedynie: publikacja Rządowej Oficyny Wydawniczej zatytułowana Wstępny raport selenologiczny, broszura o poszukiwaniu złóż uranu i nieważne już prawo jazdy z Utah, wystawione na Timothy'go Johnsona. Na zdjęciu rozpoznałem twarz starszego z mężczyzn. Te papiery interesowały mnie wprawdzie, ale nie była to właściwa pora na powiększanie bagażu.

Praktycznie jedyne umeblowanie pokoju stanowiły dwa łukowato wygięte i głęboko wgniecione łóżka. Najwyraźniej Chudy i Gruby latali na statku przy dużym przyspieszeniu.

Kiedy już wygarnąłem palcem resztkę sosu z puszki, napiłem się i umyłem ręce, obchodząc się z wodą raczej rozrzutnie, bo nie bardzo obchodziło mnie, czy ci dwaj umrą z pragnienia, czy nie. Zgarnąłem swój łup i skierowałem się do pokoju, gdzie leżały skafandry.

Idąc, wpadłem na Peewee. Niosła metalowy drąg i promieniowała radością.

- Znalazłam ją!
- Gdzie?
- Chodź! Nie mogę otworzyć drzwi, jestem za słaba.

Położyłem niesione rzeczy obok skafandrów i poszedłem za nią. Zatrzymała się przed drzwiami w części korytarza, do której skutki mojego wandalizmu nie zdążyły dotrzeć.

- Tutaj!
- Patrzyłem i usiłowałem coś usłyszeć.
- Dlaczego myślisz, że to tutaj?
 - Po prostu wiem! Otwórz!

Wzruszyłem ramionami i zabrałem się do roboty. Zamek puścił i było po wszystkim.

Na środku podłogi, zwinięty w kłębek, leżał jakiś stwór.

Mówiąc szczerze, nie byłem pewien, czy mam przed sobą to samo stworzenie, które widziałem poprzedniej nocy. Światło było słabe, a moje oględziny zostały dość gwałtownie przerwane. Ale Peewee nie miała żadnych wątpliwości. Podskoczyła, piszcząc z radości, i po chwili obie turlały się po podłodze jak rozbrykane kociaki.

Peewee wyrzucała z siebie radosny potok słów, mniej więcej angielskich. Wielka Matka robiła to samo, tyle że nie mówiła po angielsku. Wcale bym się zresztą specjalnie nie dziwił, gdyby było inaczej. Przecież nawet Robakowaty posługiwał się angielskim, a Peewee wspominała mi o rzeczach, które słyszała od Wielkiej Matki.

Czy słyszeliście kiedykolwiek skowronka wyśpiewującego melodie, a czasem po prostu wydającego radosne dźwięki? Nieskończona różnorodność piosenek skowronka jest tym, do czego można by porównać język Wielkiej Matki.

- Och! Wielka Matko, taka jestem szczęśliwa - powiedziała Peewee, kiedy zapanował względny spokój.

Stworzenie zaśpiewało.

- Ojej, chyba zapomniałam o dobrym wychowaniu - odpowiedziała Peewee. - Wielka Matko, to jest mój dobry przyjaciel, Kip.

Wielka Matka zaśpiewała

i zrozumiałem!

(- Bardzo miło cię poznać, Kip.)

Nie mogłem odróżnić poszczególnych słów, ale nie musiałem się też niczego domyślać, jak było choćby w wypad



ku moich rozmów z Oskarem, czy rozmów Peewee z Madame Pompadour. Kiedy rozmawiam z Oskarem, to jestem dwiema stronami dialogu; po prostu moja świadomość rozmawia z moją podświadomością lub coś w tym rodzaju. Tym razem było zupełnie inaczej. Wielka Matka zaśpiewała do mnie, a ja zrozumiałem. Byłem zaskoczony, ale w pełni wierzyłem własnym uszom. Jeśli widzicie tęczę

na niebie, to nie nachodzi was ochota na dyskusje nad prawami optyki. Ona po prostu tam jest, i koniec.

Musiałbym być idiotą, żeby nic wiedzieć, kiedy Wielka Matka mówiła do mnie. Jeśli coś było przeznaczone wyłącznie dla uszu Peewee, to wtedy słyszałem tylko trel, nic więcej.

Nazwijcie to telepatią, jeśli chcecie, ale prawda jest inna. Nigdy nie czytałem w jej myślach, ani ona w moich. Po prostu rozmawialiśmy.

W końcu otrząsnąłem się z zaskoczenia i przypomniałem sobie o dobrym wychowaniu. Poczułem się jak wtedy, gdy mama przedstawiała mnie którejś ze swoich przyjaciółek. Skinąłem głową.

— Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że cię znaleźliśmy, Wielka Matko.

Była to czysta prawda. Teraz już wiedziałem, co sprawiło, że Peewee była tak zdecydowana w swych poszukiwaniach. Była to właściwość, która czyniła to stworzenie Wielką Matką. Peewee ma zwyczaj nadawania wszystkiemu imion i jak na mój gust, jej pomysły nie zawsze są celne. Ale nigdy nie będę miał wątpliwości co do tego jednego. Wielka Matka była Wielką Matką, bo nią była - i koniec. Przy niej człowiek czuł się szczęśliwy, bezpieczny i otoczony ciepłem. Wiedziałaś, że gdybyś skaleczył się w nogę i z krzykiem wrócił do domu, pocałowałaby cię mocno, przykleiła plaster i wszystko byłoby w porządku. To jest to coś, co mają w sobie niektóre pielęgniarki albo nauczycielki i czego, niestety, nie mają niektóre matki. Wielka Matka emanowała tym czymś tak mocno, że przestałem nawet przejmować się Robakowatym. Ona była z nami, więc

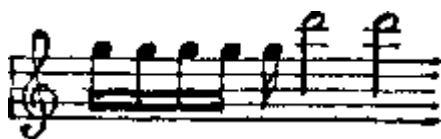
wszystko było w porządku. Racjonalnie rozumując, wiedziałem, że była tak samo bezbronna jak my. Co więcej, była o wiele mniejsza i słabsza ode mnie i nawet nie potrafiła pilotować statku jak Peewee, ale to nie było ważne. Miałem wielką ochotę usiąść jej na kolanach. Ale ponieważ była za mała i nie miała kolan, chętnie trzymałbym ją na swoich.

Więcej dotąd mówiłem o swoim ojcu, ale to nie znaczy, że mama jest mniej ważna; po prostu jest inna. Tata to aktywność, mama - bierność; tata rządzi, mama nie. Ale gdyby ona umarła, tata usechłby jak podcięte drzewo. To ona tworzy cały nasz świat.

Wielka Matka miała na mnie taki sam wpływ jak mama, tyle że do mamy jestem przyzwyczajony. Teraz zupełnie nieoczekiwanie doznałem ciepła, będąc daleko od domu.

- Możemy już iść, Kip. Nie ma czasu do stracenia! - zaczęła ponaglać Peewee.

Wielka Matka zaśpiewała:



(— Dokąd idziemy, dzieci?)

- Do stacji Tombaugh, Wielka Matko. Tam nam pomogą.

Wielka Matka zamrugła i popatrzyła smutno. Jej wielkie, łagodne, współczujące oczy przypominały raczej lemurę niż cokolwiek innego. Poza wspaniałymi oczami miała też delikatne, bezbronne usta, z których wydobywała

się muzyka. Była mniejsza od Peewee i dłonie też miała jeszcze drobniejsze, a u każdej z nich sześć palców, przeciwnych tak, jak nasze kciuki. Jej ciało, no cóż, wciąż zmieniało kształt, więc trudno byłoby je opisać, ale po prostu pasowało do niej.

Nie nosiła ubrania, ale nie była też naga, miała miękkie kremowe futro, lśniące i delikatne jak futerko szynszyli. Na początku myślałem, że nic poza tym na sobie nie ma, ale później zauważyłem coś w rodzaju biżuterii. Był to lśniący trójkąt z podwójną spiralą w każdym narożniku. Nie mam pojęcia, na czym wisiał.

Nie zauważyłem tego wszystkiego w tamtej chwili. Wtedy bowiem oczy Wielkiej Matki wyrażały troskę.

Jej odpowiedź uświadomiła mi, że jeszcze nie wie nic o cudzie:



(- W jaki sposób uruchomimy statek? Tym razem pilnowali mnie bardzo uważnie.)

Peewee zaczęła opowiadać o skafandrach, a ja stałem tam jak idiota z wielką kulą lodu w żołądku. To, co było wcześniej powodem nieznośnego zachowania Peewee, stało się teraz moim wielkim dylematem. Nie mogłem już opuścić Wielkiej Matki, tak jak nie mogłem opuścić Peewee... a były tylko dwa skafandry.

Gdyby chociaż mogła założyć jeden z naszych kombinizonów... Niestety, było to tak nierealne jak wąż na wrotkach.

Wielka Matka delikatnie przypomniała (przestane przytaczać wszystkie jej piosenki, zresztą i tak już ich dokładnie nie pamiętam), że jej własna kapsuła próżniowa uległa zniszczeniu.

I wtedy rozpoczęła się kłótnia. To była dziwna kłótnia. Wielka Matka -- łagodna, kochająca, rozsądna, i Peewee - dająca pokaz płacznego wybuchu złości w stylu małej-złej-dziewczynki. A ja stałem bezradnie z boku i nie próbowałem nawet interweniować.

Wielka Matka, gdy zrozumiała sytuację, doszła do jedyne go, nieuniknionego wniosku. Ponieważ nie miała jak uciec (i prawdopodobnie nie uszłaby zbyt daleko, nawet gdyby miała swoją kapsułę), jedynym wyjściem była natychmiastowa ucieczka nas dwojga. Gdybyśmy szczęśliwie dotarli na miejsce, moglibyśmy spróbować przekonać naszych ludzi o niebezpieczeństwie grożącym ze strony Robakowate-go i spółki, a w takiej sytuacji Wielka Matka też zostałaby uratowana... co było możliwe, acz niepewne.

Peewee kategorycznie i jednoznacznie odmówiła wysłuchiwania jakiegokolwiek planu ucieczki, który wymagałby porzucenia Wielkiej Matki. Jeżeli Ona nie może iść, to i Peewee też nie ruszy się stąd ani na krok.

- Kip! Ty musisz iść po pomoc! Szybko! Ja zostanę tutaj!

Spojrzałem na nią.

- Peewee, dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić.
- Musisz. Musisz tak zrobić. Jeżeli nie, to, to... już nigdy się do ciebie nie odezwę!

- Gdybym tak zrobił, to nigdy bym się do siebie nie odezwał. Posłuchaj, Peewee, nic z tego nie będzie. Ty musisz iść...

- Nie!

- Zamknij się może na chwilę, dobra? Ty pójdziesz, a ja zostanę i będę pilnował drzwi. Będę ich powstrzymywać, dopóki nie sprowadzisz pomocy. Tylko każ jej się pośpieszyć!

- Ja... - Urwała. Była śmiertelnie poważna i zbita z tropu. Potem z płaczem rzuciła się na Wielką Matkę. - Już mnie nie kochasz!

Sami widzicie, jak nielogicznie wtedy rozumowała. Wielka Matka śpiewała jej coś miękko, podczas gdy mnie zaczynała przerażać myśl, że być może tracimy naszą ostatnią szansę, stojąc tak i kłócąc się bez sensu. Robakowaty mógł wrócić w każdej chwili, a ja stałem tylko z metalowym drągiem w ręku, co nie dawało mi zbyt wielkich szans. W każdym razie zdawałem sobie sprawę, że za chwilę może już być za późno.

W końcu powiedziałem:

- Słuchajcie, pójdziemy wszyscy.

Peewee przestała szlochać i spojrzała na mnie zaskoczona.

- Wiesz, że nie możemy.

Wielka Matka zaśpiewała:

(- Jak, Kip?)

- Hm, będę musiał wam pokazać. Wstawaj, Peewee.

Poszliśmy do pomieszczenia, w którym leżały nasze skafandry. Peewee niosła Madame Pompadour i pomagała iść Wielkiej Matce. Mechanik Lars Eklund, który, jak wyni-

kało z dokumentacji, uprzednio używał Oskara, musiał ważyć chyba z dwieście funtów. Chcąc nosić ten skafander, musiałem związać go mocno w pasie, aby się za bardzo nie wybrzuszał. Nigdy nie myślałem o przerobieniu go, bo bałem się, że nie byłby już tak szczelny. Rękawy i nogawki były w porządku, tylko w pasie skafander był na mnie o dwa rozmiary za duży. Teraz jednak wpadłem na pewien pomysł: doszedłem do wniosku, że jest tam wystarczająco dużo miejsca dla mnie i Wielkiej Matki.

Peewee patrzyła na mnie ze zdumieniem, gdy wyjaśniałem plan. Wielka Matka wyśpiewywała nuty zdziwienia i aprobaty. Oczywiście, może mi siedzieć na barana i nie spadnie, gdy zostaniemy zapięci, a paski będą zaciągnięte.

— W porządku. Peewee, wskakuj w swój skafander.

Pobiegłem po skarpetki, a Peewee zaczęła się ubierać.

Wróciwszy, sprawdziłem wskaźniki na jej hełmie.

— Powinniśmy dać ci trochę więcej tlenu. Masz tylko połowę objętości.

I tutaj zaczął się problem. Zapasowe butle, które doprowadziłem tym potworom, miały łączniki gwintowane tak jak moje, podczas gdy butle Peewee miały złącza za-trzaskowe. Niezłe dla bojaźliwych turystów, wpadających w panikę w czasie wymiany butli, jeżeli nie było to zrobione naprawdę szybko, ale niezbyt dobre przy poważnej robocie. W moim warsztacie zamontowałbym nasadkę w ciągu dwudziestu minut, ale tutaj, bez narzędzi... No cóż, jeśli chodzi o korzyść dla Peewee, to zapasowe powietrze mogłoby równie dobrze być na Ziemi.

Po raz pierwszy poważnie pomyślałem o pozostawieniu ich na statku, podczas gdy ja poszedłbym po pomoc. Ale

nawet o tym nie wspomniałem. Wiedziałem, że Peewee wolałaby raczej umrzeć po drodze, niż znów dostać się w Jego łapy, i byłem skłonny się z nią zgodzić.

— Mała — powiedziałem powoli — tu nie ma zbyt dużo tlenu. W każdym razie nie na czterdzieści mil marszu.

Jej wskaźnik powietrza był wyskalowany na godziny. Wskazywał trochę poniżej pięciu godzin. Czy Peewee będzie w stanie poruszać się wystarczająco szybko? Nawet biorąc pod uwagę tutejsze ciążenie? Niezbyt prawdopodobne. Spojrzała na mnie poważnie.

- To jest obliczone na dorosłych. Ja jestem mała, nie zużywam tyle powietrza.

- W każdym razie nie zużywaj go szybciej, niż naprawdę musisz.

- Nie będę. Chodźmy już.

Zacząłem zamykać jej uszczelki.

- Ej!- zaprotestowała.

- Co się stało?

- Madame Pompadour! Podaj mi ją... proszę. Na podłodze, koło moich nóg.

Podniosłem tę idiotyczną lalkę i podałem jej.

- A ile powietrza ona zużywa? - zapytałem.

Nieoczekiwanie uśmiechnęła się.

- Powiem jej, żeby wstrzymała oddech.

Włożyła lalkę pod koszulkę, a ja uszczelniłem jej skafander. Potem usiadłem w rozpiętym kombinezonie, a Wielka Matka wspierała się na moje plecy, śpiewając uspokajająco, i mocno się przytuliła. Było jej dobrze, a ja czułem, że mógłbym przejść nawet setki mil, byleby tylko one dwie były bezpieczne.

Mieliśmy trochę problemów z zapięciem mnie, bo paski musiały być mocno zaciągnięte ze względu na Wielką Matkę, a ani ja, ani Peewee nie mieliśmy wolnych rąk. Ale jakoś nam się udało.

Z mojego sznura zrobiłem uchwyty do zapasowych butli i powiesiłem je sobie na szyi. Z nimi, Wielką Matką na plecach i Oscarem ważyłem w księżycowej atmosferze około pięćdziesięciu funtów. Po raz pierwszy poczułem, że stoję pewnie na podłodze.

Wyjąłem mój nóż z drzwi i wsunąłem go za pasek Oskara, obok nylonowej linki i siekierki. Potem weszliśmy do komory po wietrznej i zamknęliśmy wewnętrzne drzwi. Nie wiedziałem, w jaki sposób wypuścić powietrze na zewnątrz, Peewee mnie wyręczyła. Zaczęło świszczec.

- Wszystko w porządku, Wielka Matko?

(— Tak, Kip) - zaświergotała i przytuliła się uspokajająco.

- Peewee do Chrząszcza - usłyszałem w słuchawkach - próba radia. Alfa, Bravo, Coca, Delta, Echo, Fokstrot...

- Chrząszcz do Peewee: słyszę cię. Golf, Hotel, India, Juliette, Kilo...

- Słyszę cię, Kip.

- Roger.

- Uważaj na ciśnienie. Zbyt szybko się nadymasz.

Poprawiłem zawór przy brodzie, jednocześnie wyrzucając sobie, że zachowałem się jak żółtodziób. Ale przecież Peewee używała już naprawdę skafandra, podczas gdy ja tylko trenowałem.

Nie była to jednak najlepsza chwila, by unosić się ambicją.

- Peewee? Udzielaj mi wskazówek. Jestem w tym zupełnie zielony.

- Dobra, Kip.

Zewnętrzne drzwi rozsunęły się cichutko i wyjrzałem na jasną, niegościnną powierzchnię Księżyca. Przez moment stanęła mi w pamięci gra w księżyc, w którą bawiłem się jako dziecko, i zapragnąłem znaleźć się z powrotem w Centerville. Później Peewee przytknęła swój hełm do mojego i zapytała:

- Widzisz kogoś?

- Nie.

- Mamy szczęście, statek stoi tyłem do innych. Posłuchaj mnie uważnie. Nie użyjemy radia, dopóki nie znajdziemy się za horyzontem, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Oni podsłuchują na naszych falach. Jestem tego pewna. Widzisz tę górę z przełęczą? Kip, słuchaj mnie!

Tak, wpatrywałem się w Ziemię. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z tego, jaka była piękna. Wisiała tak blisko, że prawie mogłem jej dotknąć... i tak daleko, że mogliśmy już nigdy nie wrócić do domu. Nie uwierzysz, jak piękną mamy planetę, dopóki nie zobaczysz jej z zewnątrz... z chmurami opasującymi ją w talii i białą czapeczką bieguna północnego.

- Tak, widzę przełęcz.

- Skierujemy się na lewo, tam gdzie widać przejście. Tim i Jock przewieźli mnie tamtędy łązikiem. Trzeba tylko znaleźć jego ślady, a potem już będzie łatwo. Ale najpierw pójdziemy w kierunku tych wzgórz po lewej. W ten sposób statek powinien nas uchronić przed dostrzeżeniem z innych statków. Mam nadzieję.

Byliśmy jakieś dwadzieścia stóp nad gruntem i chciałem po prostu zeskoczyć na dół, bo przy tej grawitacji to była żadna wysokość. Peewee jednak wymogła, abym opuścił się na linie.

- Stracisz równowagę. Słuchaj Kip, uwierz cioci Peewee. Jeszcze się nie przyzwyczaiłeś do chodzenia po Księżycu. To będzie jak twoja pierwsza jazda na rowerze.

Pozwoliłem jej więc opuścić mnie i Wielką Matkę. Potem Peewee sama zeskoczyła, bez żadnego problemu. Chciałem odwiązać linę, ale powstrzymała mnie i przywiązała drugi koniec do swojego paska. Potem przytknęła swój hełm do mojego.

- Ja poprowadzę. Gdybym szła za szybko albo gdybyś mnie potrzebował, szarpnij linę. Nie będę cię widzieć.

- Jasne, kapitanie!
- Nie naśmiewaj się ze mnie, Kip. To poważna sprawa.
- Nic naśmiewam się, Peewee. Przecież jesteś szefem.
- Schodzimy. Nie spoglądaj za siebie, to nic nie da, a możesz spaść. Kierujmy się na te wzgórza.

ROZDZIAŁ 6

Powinienem był delectować się romantyzmem sytuacji, ale nie miałem na to czasu. Chciałem spojrzeć za sie-

bie, lecz wysiłki związane z utrzymaniem się na nogach pochłaniały całą moją uwagę. Nie widziałem własnych stóp, bo musiałem patrzeć przed siebie, by znaleźć odpowiednią drogę. To zajęcie zaprzętało mnie całkowicie. Nie traciłem przyczepności, gdyż podłoże było dość nierówne i chropowate. Kurz lub miazgi piach na skale oraz ciężar 50 funtów pozwalały utrzymać się w pionie. Było to jednak bardzo trudne. Zupełnie inaczej poruszałem się, trenując na Ziemi z masą 300 funtów przy nie zmniejszonym ciężarze. Teraz przy najmniejszym zwrocie musiałem się mocno zapierać, odchyłać do tyłu, gdy zwalniałem, rozpaczliwie podawać do przodu, by przyspieszyć.

Potrafiłbym narysować teoretyczny rozkład tych sił, ale z praktyką było krucho. Ile czasu zajmuje dziecku nauka chodzenia? Księżycowe dziecko, będąc w dodatku jeszcze półślepe, musiało zdobywać wiedzę podczas forsownego marszu.

Tak więc nie miałem czasu podziwiać piękna krajobrazu.

Peewee narzuciła ostre tempo. Moja linka co chwila napinała się, więc tym usilniej próbowałem nadażyć i nie upaść.

Wielka Matka zaszczebiotała mi nad uchem:

(- Wszystko w porządku, Kip? Chyba jesteś zmartwiony.)

- Czuję się... świetnie! A... co... z tobą?

(— Jest mi bardzo wygodnie, nie przejmuj się, kochanie.)

— To dobrze.

Oskar działał bez zarzutu. Zaczynałem się pocić z wysiłku i gorąca, ale nie popchnąłem zaworu przy brodzie dopóty, dopóki nie zobaczyłem na wskaźniku koloru krwi, że brakuje mi powietrza. Wszystkie systemy pracowały znakomicie, a złącze pod czterofuntowym ciśnieniem działało sprawnie; godziny ćwiczeń na pastwisku dawały teraz rezultaty. Obecnie musiałem jedynie uważać na skały i inne przeszkody. Dotarliśmy do podnóża wzgórz może dwadzieścia minut po godzinie zero.

Pierwszy manewr Peewee po dotarciu do bardziej wyboistego terenu zaskoczył mnie tak, że omal nie upadłem. Zwolniła i podczołgała się do wzgórza. Chwilę potem znów stała. Dołączyłem do niej, zetknęliśmy kaski.

- Jak się masz? - spytała.
- Nie najgorzej.
- Wielka Matko, słyszysz mnie?

(- Tak, moja droga.)

- Wygodnie ci, możesz swobodnie oddychać?

(- Tak, Kip wspaniale się mną opiekuje.)

- Sprawuj się grzecznie, słyszysz?

(- Będę, kochanie.) - Jej śmiech przerodził się w śpiew ptaków.

- Jeżeli mówimy o oddychaniu - powiedziałem do Peewee — to sprawdźmy, jak z twoim powietrzem.

Usiłowałem zajrzeć do jej kasku. Odchyliła głowę.

- U mnie wszystko w porządku - powiedziała.

- To ty tak twierdzisz. - Uchwyciłem jej kask obie-
ma rękami, ale nie byłem w stanie dojrzeć wskaźnika. W
takim słońcu zaglądać do środka, to jak wpatrywać się w
studnię. - Jaki tam jest odczyt? Tylko nie oszukuj.

- Nie bądź wścibski!

Odwróciłem ją i sprawdziłem, ile jest powietrza w każdej butli. Jedna była pusta, druga prawie pełna. Zetknąłem kaski.

- Peewee - powiedziałem powoli - ile mil już przeszliśmy?

- Myślę, że mniej więcej trzy. Dlaczego?

- Więc mamy jeszcze trzydzieści do przejścia?

- Najmniej trzydzieści pięć. Kip, przestań się denerwować. Wiem, że mam jedną butlę pustą, podłączyłam tę pełną, zanim się zatrzymaliśmy.

- Jedna butla nie wystarczy ci na 35 mil.

- Wystarczy... bo musi.

- Posłuchaj, mamy przecież masę powietrza. Znajdę sposób, by ci je dostarczyć.

Kręciło mi się w głowic, myślałem o tym, jakie narzędzia mam przytroczone do pasa.

- Kip, dobrze wiesz, że nie możesz zamontować zapasowej butli do mojego kombinezonu, więc się zamknij!

(- Co się stało, kochanie? Dlaczego się kłócicie?)

- Nie kłócimy się, Wielka Matko. Kip tylko niepotrzebnie się przejmuję.

(— A więc dzieci...)

- Peewee - powiedziałem - przyznaję, że nic mogę podłączyć zapasowych butli do twojego kombinezonu... ale znajdę sposób, żeby ponownie napełnić twoje butle.

- Ale jak, Kip?

- Zostaw to mnie. Wezmę tylko tę pustą. Jeżeli to się nie uda, nie poniesiemy żadnej straty. Jeśli szczęście mi dopisze, to sprawę będziemy mieli z głowy.

- Ile czasu to zabierze?
- Dziesięć minut, o ile wszystko pójdzie gładko; jeśli nie, trzydzieści.

- Nie - oświadczyła.
- Hej! Peewee, nie bądź niemądra.
- Nie jestem! Nie będziemy bezpieczni, dopóki nie do-
trzymamy do gór. Tyle jeszcze mogę przejść. Wtedy, gdy
już nie będziemy widoczni jak muchy na talerzu, możemy
odpocząć i napełnić moją pustą butlę.

To miało sens.

- Dobrze, niech i tak będzie.
- Możesz iść szybciej? Jeśli dotrzemy do gór, zanim
odkryją, że uciekliśmy, nie sądzę, żeby kiedykolwiek nas
znaleźli. Jeśli nie...

- Mogę iść szybciej. Tylko te cholerne butle.
- Och - zawahała się - chciałbyś zostawić jedną?
- Co? Nie, nie, Ale utrudniają mi utrzymanie równo-
wagi, Wiele razy byłem bliski wywrotki. Peewee, umiesz
je tak przywiązać, by się nie kołysały?

- No pewnie.

Miałem je uwiązane na karku i z przodu. Niezbyt mą-
drze, ale musiałem się śpieszyć. Teraz Peewee przymoco-
wała je solidnie, również te z tyłu. Ponieważ na plecach
wisiały moje butle, Wielka Matka niewątpliwie musiała się
czuć jak sardynka w puszcze. Peewee przywiązała linkę pod
moim paskiem i wokół ładunku. Przytknęła swój hełm do
mojego.

- Mam nadzieję, że tak jest dobrze.
- Zawiązałaś węzeł płaski?

Odsunęła hełm. Minutę później przytknęła go ponownie.

- Było na pętelkę, ale teraz jest już węzeł płaski.
- Znakomicie. Zatknij końce za pasek, żebym się nie potknął, potem musimy się śpieszyć. Dobrze się czujesz?

- Tak - odpowiedziała - żałuję, że nie zachowałam mojej gumy. Jaka była, taka była, stara i zużyta, ale teraz mam strasznie sucho w gardle.

- Wypij trochę wody. Nie za dużo.

- Kip, to nie jest śmieszne.

Zamarłem.

- Peewee, czy twój kombinezon nie ma w ogóle wody?

- Co? Nie bądź głupi.

Mina mi zrzędała.

- Ależ, dziecino — powiedziałem łagodnie — dlaczego nie napełniłaś pojemnika, zanim wyruszyliśmy?

- O czym ty mówisz? Twój kombinezon ma pojemnik na wodę?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Kombinezon Peewee był przeznaczony dla turystów, do tych „przechadzek wśród niezrównanych wspaniałości pradawnej powierzchni Księżycy”, jak obiecywały ogłoszenia.

Przechadzek, oczywiście, z przewodnikiem, nie trwających dłużej niż pół godziny. Bidony na wodę w tej sytuacji były zbędne; turyści mogliby się zakrztusić lub odgryźć ustnik i nawet utopić we własnym kasku. Poza tym taki skafander był tańszy.

Zaczynałem się niepokoić, że w oszczędnościowym sprzęcie Peewee brakuje innych ważnych rzeczy, od których zależało jej życie.

- Przepraszam - powiedziałem pokornie - postaram się znaleźć jakiś sposób na dostarczenie ci wody.

- Wątpię, czy jesteś w stanie. Nie umrę z pragnienia, zanim dotrzemy na miejsce, więc przestań się przejmować. Czuję się znakomicie. Tylko chciałabym mieć swoją gumę do żucia. Gotowy?

- ...Gotowy.

Wzgórza przypominały olbrzymie fałdy pokryte lawą. Szybko je pokonaliśmy, mimo iż musieliśmy bardzo uważać, bo droga była straszliwie nierówna. Za wzgórzami powierzchnia wyglądała bardziej płasko. Rozciągała się do bliskiego horyzontu, na którym widniały góry, jaśniejące w słońcu, zarysowane na tle czarnego nieba.

Próbowałem obliczyć, jak daleko jest horyzont, zakładając, że promień wynosi tysiąc mil i że oczy znajdują się na wysokości sześciu stóp.

Nie potrafiłem tego obliczyć w pamięci, myślałem tylko o położeniu się spać. Ale to było bardzo blisko, mniej niż mila.

Peewee stanęła, zetknęliśmy kaski.

- W porządku, Kip? Wielka Matko?

- Pewnie.

(- W porządku, kochanie.)

- Kip, kiedy mnie tu przyprowadzili, od przełęczyny kurs był wschodni, 8 stopni na północ. Słyszałam, jak się kłócili, i ukradkiem zerknęłam na ich mapę. Musimy zatem iść z powrotem na zachód, 8 stopni na południe. Miniemy te

wzgórza, ale to już dostatecznie blisko, by odnaleźć przełęcz. Dobrze?

- Brzmi nieźle - odezwałem się, będąc pod wrażeniem tego, co usłyszałem. - Peewee, byłaś kiedyś indiańskim zwiadowcą? A może nawet Dawidem Crockettem?

- Phi! Każdy umie czytać mapę - odparła zadowolona.

- Chcę sprawdzić kompasy. Jakie ty masz położenie? Do licha! Oskarze, zawiodłeś mnie. Właśnie ganiłem tamten kombinezon za to, że nie ma wody, a ty nie masz kompasu - powiedziałem spokojnie.

Oskar zaprotestował:

(- Hej, kolego! To niesprawiedliwe! Po co miałbym mieć kompas w stacji kosmicznej?! Nikt mi nie mówił, że wybieramy się na Księżyc!)

- Peewee, ten kombinezon jest przeznaczony do pracy w stacji kosmicznej. Na co kompas w kosmosie? Nikt mi nie mówił, że wybieramy się na Księżyc.

- Przestań tyle gadać. Możesz zdobyć namiary przez Ziemię.

- Dlaczego nie mogę skorzystać z twojego kompasu?

~ Coś ty? Jest wbudowany w mój hełm!

- Chwileczkę. - Zwróciła się w kierunku Ziemi, ruszyła hełmem tam i z powrotem. Potem znowu przytknęła go do mojego kasku.

- Ziemia jest najwyraźniej na północnym-wschodzie... to znaczy, że kurs stamtąd wynosi 55 stopni na lewo. Spróbuj go odnaleźć. Szerokość Ziemi wynosi 2 stopnie, gdybyś nie wiedział.

- Nie ucz księdza pacierza.

- Jasne. Niektórym przydałyby się korepetycje.

- Strasznie śmieszne.
- Sam zacząłeś.
- Ale przepraszam, Peewee. Odłóżmy te kłótnie na później. Przypomnę ci dwie pierwsze odzywki.
 - Nie będą mi potrzebne. Nawet nie wiesz, jaka potrafię być paskudna...
 - Domyślam się.
- (— Dzieci! Dzieci!)
- Przepraszam, Peewee.
- Ja też. Jestem rozdrażniona. Chciałabym być już na miejscu.
 - Też bym chciał. Spróbuję odnaleźć kierunek.

Policzyłem stopnie, traktując Ziemię jako punkt odniesienia. Ocenilem miejsce na oko i spróbowałem ponownie, szacując 53 stopnie przez proporcję do dziewięćdziesięciu. Wyniki nie zgadzały się, więc spróbowałem znaleźć parę gwiazd „do pomocy”.

Mówi się, że z Księżyca można dostrzec gwiazdy nawet wtedy, gdy Słońce jest na niebie. Owszem, można, ale nie jest to łatwe. Słońce świeciło mi w plecy, byłem zwrócony do Ziemi widocznej w trzech czwartych, błyszcząca planeta oślepiła mnie.

Polaryzator złagodził rażące światło Ziemi, ale sprawił, że gwiazdy stały się niewidoczne. Porzuciłem więc moje domysły i wycelowałem w jeden punkcik.

- Peewee? Widzisz ten spiczasty wierzchołek z czymś w rodzaju bródki na lewym stoku? To powinien być ten kurs, całkiem blisko.

- Niech sprawdzę. - Pogrzebała przy kompasie i zeknęliśmy kaski. - Nieźle, Kip. 3 stopnie na prawo i jesteśmy w domu!

Byłem z siebie dumny.

— Ruszamy?

— Jasne. Idziemy przez przełęcz, a potem na zachód powinna być stacja Tombaugh.

Od gór dzieliło nas prawie dziesięć mil, nie przemęczailiśmy się zbyt. Na Księżycu można uzyskać niezły czas, jeśli jest płasko i zdołasz utrzymać równowagę.

Peewee nieustannie przyśpieszała, tak że omal lataliśmy. Robiąc długie, zamaszyste kroki, przemierzaliśmy przestrzeń niczym strusie. I wiecie, co się okazało? Że lepiej szybko niż wolno. Jedynym ryzykiem, jak sobie później zdałem sprawę, było wylądowanie na jakiejś skale czy w dziurze albo w czymś podobnym i przeokożowanie. Było to dość prawdopodobne, gdyż przy takiej prędkości trudno mi było znaleźć właściwą drogę. Lecz gdybym upadł na plecy? Pewnie przygniótłbym boleśnie Wielką Matkę.

Martwiłem się także o Peewee. Ten wybrakowany turystyczny kombinezon nie był tak gruby jak Oskar. Czytałem o eksplozji w wyniku dekompresji. Nigdy nie chciałbym tego zobaczyć na własne oczy, a już szczególnie z udziałem małej dziewczynki. Ale nie odważyłem się użyć radia, aby ją ostrzec, choć - być może - byliśmy osłonięci przed Robakowatym. Z kolei gdybym pociągnął za linkę, mógłbym ją przewrócić.

Równina zaczęła się wznosić i Peewee zwolniła. Niebawem zaczęliśmy się wspinać się na spadziste osypisko. Potknąłem się, ale wylądowałem na rękach i wstałem; jed-

na szósta ziemskiej grawitacji ma również swoje dobre strony. Dotarliśmy na szczyt i Peewee doprowadziła nas do wnętrza w skale. Zatrzymała się.

- Jest tam kto? Wszystko u was w porządku?

(- W porządku, moja droga.)

- Pewnie - przytaknąłem.

Może byłem nieco zmęczony, mówiąc delikatnie, ale jeśli Peewee to zniosła, mogłem i ja.

- Możemy odpocząć — rzekła - i odtąd nieco zwolnić. Chciałam jak najszybciej przebyć tę otwartą przestrzeń. Tutaj nigdy nas nie znajdą.

Miała rację. Statki robakowatych mogłyby nas zauważyć, jeśli byłyby w stanie obserwować dół tak dobrze jak górę; prawdopodobnie zresztą to tylko kwestia odpowiedniej regulacji. Nasze szanse wzrosły.

- Najlepiej teraz wymienić twoją pustą butlę.

- Dobrze.

Wcale nie było na to za wcześnie. Butla, na początku prawie pełna, została wykorzystana w dwóch trzecich. Nie wystarczyłoby tlenu do stacji Tombaugh. Zakasałem rękawy i zabrałem się do pracy.

- Partnerze, rozwiążesz tę kocią kołyskę?

Podczas gdy Peewee zmagiała się z pętlami, zacząłem pić, ale szybko przestałem, zawstydzony. Peewee musiała teraz ssać język, żeby uzyskać ślinę, a ja nie byłem w stanie znaleźć żadnego sposobu dostarczenia jej wody. Zbiornik znajdował się wewnątrz mojego kasku i niemożliwe było dotarcie do niego bez uśmiercenia przy tym mnie i Wielkiej Matki. Jeśli kiedykolwiek zdarzyłoby mi się zostać inżynierem, poprawiłbym to!

Pojałem jednak, że idiotyzmem byłoby nie pić dlatego, że Peewee nie mogła zrobić tego samego. Życie nas wszystkich mogło zależeć od mojej kondycji. Tak więc napiłem się, zjadłem trzy tabletki słodzonego mleka i tabletkę soli. Znacznie mi to pomogło, ale miałem nadzieję, że nie zostało zauważone.

Moja przewodniczka była zajęta rozplątywaniem linki, a poza tym trudno zajrzeć do wnętrza kasku.

Zdjąłem z Peewee pustą butlę, sprawdzając przy tym, czy zamknąłem jej zewnętrzny zawór odcinający. W miejscu, gdzie rurka powietrzna łączy się z hełmem, powinien być wprowadzić zawór jednokierunkowy, ale już nie ufałem jej kombinezonowi. Mógł przecież mieć więcej oszczędnościowych „ulepszeń”. Położyłem pustą butlę na ziemi obok pełnej, popatrzyłem na nie, ułożyłem prosto i zetknęliśmy kaski.

- Peewee, odłącz moją lewą tylną butlę.
- Dlaczego?
- Kto tu nad tym pracuje? - Bałem się, że na to nie przystanie, bo i były ku temu powody. Moja lewa butla zawierała czysty tlen, pozostałe - tlen z helem. Była pełna, nie licząc tych paru minut użytkowania zeszłej nocy w Centerville. Nie miałem w tych warunkach możliwości dostarczenia Peewee całkowicie wypełnionej butli, lecz tylko w połowie. Skoro tak, to najkorzystniej było wypełnić tę połowę czystym tlenem.

Zamilkła i zrobiła to, o co ją prosiłem.

Zabrałem się do wyrównywania ciśnienia między butlami, których złącza nie pasowały do siebie. Nie było możliwości zrobienia tego właściwie bez odpowiednich narzę-

dzi. Te zostały w warsztacie 250 tysięcy mil stąd. Ale miałem taśmę klejącą.

Podręcznik dołączony do Oskara wspominał o dwóch kompletach pierwszej pomocy. Nie wiedziałem nawet, co powinny zawierać. Teraz sprawdziłem. Były tam: bandaż, opatrunki i szpulka taśmy chirurgicznej. Wybrałem taśmę.

Zetknąłem niedopasowane rurki łączące, oderwałem kawałek bandaża i owinąłem go wokół złącza. Nie chciałem, aby dostało się tutaj jakieś lepkie paskudztwo, bo mogłoby to udaremnić całą operację. Potem owinąłem zawór ciasno taśmą na szerokość trzech cali z każdej strony. Miałem nadzieję, że taśma wytrzyma chociaż kilka chwil. Nie chciałem, żeby wszystko puściło przy pierwszej próbie. Zużyłem całą rolkę.

Dałem znak Peewee, by przytknęła kask do mojego.

- Zamierzam otworzyć pełną butlę. Zawór tej pustej jest już otwarty. Gdy zobaczysz, że zaczynam zamykać zawór pełnej butli, zamkniesz szybko drugi. Rozumiesz?

- Zamknąć zawór wtedy, kiedy ty będziesz zamykał.
- Stań z boku. Ujmij zawór.

Chwyciłem jedną dłonią obandażowane złącze, ścisnąłem najmocniej, jak potrafiłem, a drugą rękę położyłem na zaworze. Oby złącze wytrzymało i żeby moja ręka w tym pomogła. Jeśli sztuka się nie uda, mała Peewee długo nie pożyje. Tak więc trzymałem naprawdę mocno. Obserwując oba wskaźniki, omal nie zgmiotłem zaworu. Rurka zadrżała, igła wskaźnika, pokazującego do tej pory brak powietrza, drgnęła. Otworzyłem szybko zawór.

Jedna wskazówka przechyliła się w lewo, druga w prawo. Szybko wskazały poziom połowicznego wypełnienia.

- Teraz! - wrzasnąłem niepotrzebnie i zacząłem zamykać zawór czując, że moja ręczna robótka wokół złącza zaczyna pękać. Rurki wysliznęły mi się z dłoni, ale straciliśmy tylko trochę tlenu. Zorientowałem się, że usiłuję zamknąć zawór, który już był porządnie zakręcony. Peewee również zakręciła swój. Każdy wskaźnik pokazywał, że butle są prawie w połowie wypełnione. Peewee miała czym oddychać.

Odetchnąłem i złapałem się na tym, że do tej pory wstrzymywałem oddech. Peewee przyłożyła swój kask do mojego.

- Dzięki, Kip - powiedziała bardzo powściągliwie.
- Charton Drugs poleca swe usługi, madame, napiwki zbędne. Posprzątam tylko ten bałagan, ty możesz mnie powiązać i idziemy.
- Teraz już będę nosić tylko jedną butlę.
- Błąd, Peewee. Być może będziemy musieli powtórzyć tę sztuczkę kilka razy, dopóki zawartość butli się nie wyczerpie.

Lub dopóki taśma się nie zużyje - dodałem w duchu. Pierwszą rzeczą, jaką musiałem zrobić, było przewinięcie taśmy z powrotem na szpulę. I jeśli myślicie, że to łatwe w rękawicach, gdy klej wysycha niezwykle szybko, to sami spróbujcie. Lepka maź zapaprała złącza, gdy rozdzierałem rurki. Po wyschnięciu zrobiła się taka twarda, że z łatwością ją odłupałem. Nie przejmowałem się zresztą złączem, bo i tak nie spodziewałem się go użyć. Zamontowali-

śmy nową butlę Peewee i ostrzegłem ją, że jest to czysty tlen.

- Zredukuj ciśnienie i korzystaj z obydwu butli. Jaki jest odczyt na wskaźniku koloru krwi?

- Specjalnie utrzymywałam go na niskim poziomie.

- Idiotka! Chcesz się wykończyć? Włącz zawór przy brodzie i dojdź do normalnego poziomu.

Jedną butlę zarzuciłem sobie na plecy, drugą oraz tę z tlenem przytroczyłem z przodu i ruszyliśmy w drogę.

Można przewidzieć kształt ziemskiej rzeźby terenu, księżycowej jednak nie. Nigdy bowiem nie była kształtowana przez wodę. Doszliśmy do urwiska zbyt stromego, by z niego zejść bez liny, a w dodatku nie byłem pewien, czy jesteśmy w stanie wspiąć się na przeciwległą ścianę. Z odpowiednim ekwipunkiem, bez kombinezonów kosmicznych nie byłoby to trudne, nawet w Górach Skalistych, lecz nie w takich okolicznościach, w jakich my się znajdowaliśmy. Peewee niechętnie poprowadziła nas z powrotem. Spadziste zbocze okazało się jeszcze bardziej uciążliwe w odwrocie. Wracałem na czworakach z Peewee uczeponą łączącej nas linki nade mną. Chciałem być dla niej bohaterem i podporą. Wywołało to tylko burzliwą sprzeczkę.

- Och, przestań zgrywać wspaniałego szarmanckiego głupka, Kip. Niesiesz cztery butle i Wielką Matkę. Jesteś skrajnie obciążony, a ja sobie skaczę jak koza.

Zamknąłem się.

Na dole zetknęliśmy kaski.

- Kip - powiedziała zaniepokojona - nie wiem, co robić.

- A jaki masz problem?

- Utrzymałam kurs na południe od miejsca, gdzie przejeżdżał łązik. Chciałam uniknąć przechodzenia bezpośrednio przez jego ślady, ale coś mi się wydaje, że nie mamy innego wyjścia.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego wcześniej.

- Tak... W każdym razie nie chciałam, żeby nas znaleźli! Szlak łązika to pierwsze miejsce, gdzie będą szukać.

- Hhm... tak - spojrzałem w górę na pasmo skał, które nas zablokowały. Góry Księżyca wydają się ostre i urwiste, upstrzone odblaskami kosmicznych barw, wyglądają po prostu nieprawdopodobnie.

Ponownie złączyliśmy kaski.

- Moglibyśmy znaleźć inną drogę, jeśli byśmy mieli czas i środki, jakimi dysponuje prawdziwa ekspedycja! Musimy jednak ruszyć śladem ślizgacza. Więc którą?

- Myślę, że tą małą dróżką na północ.

Próbowaliśmy posuwać się na północ u podnóża skał, ale szło nam bardzo wolno i nie było to łatwe. W końcu zawróciliśmy na skraj równiny. Nie podobało nam się to rozwiązanie, ale była to możliwość, której nie mogliśmy zmarnować. Szliśmy dość zwawo, lecz nie biegliśmy, bojąc się zgubić ślady łązika. Liczyłem kroki i kiedy doszedłem do tysiąca, pociągnąłem za linkę. Peewee zatrzymała się i mogliśmy zetknąć kaski.

- Przebyliśmy już pół mili. Jak myślisz, daleko jeszcze? Czy to możliwe, że minęliśmy to miejsce?

Peewee spojrzała do góry.

- Nie wiem, wszystko wygląda inaczej.

- Zgubiliśmy się?

- Hhm... to powinno być gdzieś przed nami, ale już doszliśmy tak daleko. Chcesz, żebyśmy się tu trochę pokręcili?

- Peewee, ja nawet u siebie nie wiem, jak trafić na pocztę.

- Co zatem powinniśmy zrobić?

- Myślę, że należy iść tym kursem, dopóki nie będziesz absolutnie pewna, że przełęcz nie może być dalej. Ty rozglądaj się za przełęczą, a ja będę uważał na ślady łązika. Potem, gdy będziesz pewna, że zaszliśmy za daleko, zawrócimy. Nie możemy sobie pozwolić na krótkie wypadki, niczym psy próbujące złapać trop królika.

- Zgoda.

Naliczyłem jeszcze dwa tysiące kroków, kolejną milę, kiedy Peewee stanęła.

- Kip, to nie może być przed nami. Góry są tu wyższe i masywniejsze niż te, które pamiętam.

- Jesteś pewna? Pomyśl dobrze. Lepiej iść następnych pięć mil, niż zatrzymać się za wcześnie.

Zawahała się. Twarz miała blisko osłony, więc kiedy zbliżaliśmy kaski, mogłem zobaczyć jej niezdecydowaną minę.

W końcu odezwała się:

- To nie jest przed nami, Kip.

- W takim razie sprawa załatwiona. W tył zwrot, na przód marsz! „Ruszamy, Macduff, i niech przeklęty będzie ten, kto pierwszy krzyknie »stój«”

- Król Lear.

- Makbet. Chcesz się założyć?

Tamte ślady były tylko pół mili za nami, nie zauważyłem ich. Pozostały na nagiej skale, nieco pokryte kurzem.

Odcisk gąsienicy był ledwo widoczny, tak że omal go nie przegapiliśmy cofając się. Prowadził prosto z równiny pomiędzy góry.

W żaden sposób nie mogliśmy przejść przez góry, nie podążając śladem łązika. Peewee zachowywała się beztroško jak dziecko. To właściwie nie była droga, tylko coś, po czym mógł się poruszać łązik na gąsienicach. Widzieliśmy miejsca, przez które nawet on nie był w stanie przebrnąć, zanim jakiś pionier nie przetaił szlaku, wysadzając w powietrze kawał skały tarasującej przejście. Wątpię, czy Gruby z Chudym wyrzeźbili tę ścieżynę, nie wyglądali pa. amatorów ciężkiej roboty. Pewnie zrobiła to któraś z ekspedycji badawczych. Gdybyśmy z Peewee próbowali wytyczyć nową trasę, jeszcze byśmy tam tkwili - „ku pamięci” dla przyszłych pokoleń.

Ale tam, gdzie mógł dojść kroczący wehikuł, mógł wspiąć się i człowiek. Nie była to niewątpliwie zabawa: wspinaczka, wspinaczka, wspinaczka, wciąż pod górę. Do tego trzeba było uważać na obluźnione skały i patrzeć, gdzie stawiać nogi. Czasami związywaliśmy się linką dla bezpieczeństwa. Przede wszystkim było to po prostu męczące.

Gdy Peewee wykorzystała połowę zapasu powietrza, zatrzymaliśmy się i ponownie wyrównałem ciśnienie; tym razem mogłem dać jej tylko ćwiartkę pierwotnego zapasu (jak w paradoksie z Achillesem i żółwiem). Mógłbym tak bez końca wydawać jej po połowie tego, co zostało, jeśli tylko taśma by wytrzymała. Nie była już w dobrym stanie, ale i ciśnienie było tylko w połowie tak wysokie jak za

pierwszym razem. Udało mi się utrzymać rurki razem, dopóki nie zamknęliśmy zaworów.

Muszę powiedzieć, że było to bardzo proste. Miałem wodę, pożywienie, pigułki, dekstrynę. To ostatnie było szczególnie pomocne. Kiedy tylko poczułem się słabo, wzmacniałem się pigułką. Biedna Peewee nie miała niczego prócz powietrza i odwagi.

Nie miała nawet chłodzenia, z którego ja korzystałem. Od kiedy korzystała z bogatszej mieszanki, mając jedną butlę czystego tlenu, nie mieliśmy większych problemów z utrzymaniem na właściwym poziomie jej wskaźnika koloru krwi. Przestrzegałem ją przed używaniem gazu w większej mierze, niż to było konieczne. Nie mogła sobie pozwolić na wykorzystanie go do chłodzenia, trzeba było oszczędzać tlen do oddychania.

- Wiem, Kip - odpowiedziała rozdrażniona - wskazówka już nie podskoczyła do czerwonej strefy. Myślisz, że jestem taka głupia?

- Po prostu chcę cię utrzymać przy życiu.
- W porządku, ale przestań traktować mnie jak dziecko. Ruszajmy. Dam sobie radę.
- Pewnie, dasz sobie radę.

Wielka Matka niezmiennie mówiła, że czuje się świetnie i oddychała moim powietrzem (zużywała odrobinę). Nie wiedziałem jednak naprawdę, jak znosiła trudy takiej podróży. Wiszenie w ten sposób zabiłoby każdego. Pozycja do góry nogami to dla nietoperza błogi odpoczynek. Ale cóż, w końcu nietoperze to nasi krewniacy.

Rozmawiałem z nią, gdy się wspinaliśmy. Nieważne o czym, śpiew działał na mnie kojąco. Biedna Peewee nie

miała nawet tej przyjemności, poza chwilami, gdy stykaliśmy kaski. Choć byliśmy w górach, nadal nie używaliśmy radia; baliśmy się, by nie zwróciło czyjejś uwagi.

Znowu stanęliśmy i dałem Peewee jedną ósmą początkowego zapasu tlenu. Po tym wszystkim taśma była w bardzo złym stanie. Pomyślałem, że już się nam więcej nie przyda.

- Peewee, może zużyj do końca resztę mieszanki tlenowo-helowej, a ja tymczasem poniosę tę butlę. Zaoszczędzisz w ten sposób trochę sił.

- Czuję się całkiem dobrze.

- No tak, ale z lżejszym ładunkiem nie zużyjesz tak szybko tlenu.

- A ty musisz mieć puste ręce. Przypuśćmy, że się poślizniesz, co wtedy?

- Peewee, nie będę tego niósł w rękach. Moja prawa tylna butla jest pusta, wyrzucę ją. Pomóż mi w zamian, nadal poniosę tylko cztery i będę tak samo obciążony.

-- Oczywiście, że pomogę. Ale będę niosła dwie butle. Prawdę mówiąc, Kip, to żaden ciężar. Jeśli zaś idzie o butlę tlenowo-helową, to czym będę oddychała podczas następnego uzupełniania tlenu?

Nie chciałem jej mówić o moich obawach co do następnego ładowania butli, nie mówiąc już o tym, że porcje przetwarzanego tlenu były coraz mniejsze.

- Dobrze, Peewee.

Wymieniła butlę, pustą wrzuciliśmy do czarnej dziury i ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie wiem, jak daleko uszliśmy i jak długo to trwało, w każdym razie miałem wrażenie, jakby mijały dni, choć przeczyło temu zużycie powietrza. Mila

po mili wspięliśmy się na wysokość ośmiu tysięcy stóp. Widziałem góry, których wysokości znałem. Chciałem sprawdzić pierwsze pasmo na wschód od stacji Tom-baugh,

Wspinaczka nie jest sprawą łatwą, nawet przy jednej szóstej ziemskiej grawitacji. Wydawało się, że droga nie ma końca, bo nie wiedziałem, jak daleko i jak długo mamy iść. Co prawda oboje mieliśmy zegarki, lecz pod kombinezonami. Dlaczego nie zamontowano ich w hełmach?

Próbowałem odczytać czas Greenwich z położenia Ziemi, ale nie miałem doświadczenia, a poza tym przeważnie przeszkadzały nam góry. Zresztą i tak nie wiedziałem, która była godzina, gdy opuszczaliśmy statek.

Kolejną rzeczą, którą powinien mieć kombinezon kosmiczny, jest lusterko wsteczne. A skoro już o tym mowa, dodajmy jeszcze szybkę przy brodzie, tak by można widzieć, gdzie stawiać nogi. Ale z tych dwóch wybrałbym lusterko wsteczne. Bez niego nie można spojrzeć za siebie, trzeba obrócić całe ciało. Co chwilę chciałem się obejrzyć, żeby sprawdzić, czy nas nie ścigają, i nie mogłem się na to zdobyć. Przez całą tę koszmarną drogę wyobrażałem sobie ich depczących nam po piętach, oczekując, że ktoś złapie mnie za ramię. Nasłuchiwałem kroków, które w próżni i tak nie mogły być słyszalne.

Gdy więc kupujesz kombinezon kosmiczny, każ sobie zamontować lusterko wsteczne. Robakowaty da ci spokój, ale nawet najlepszy przyjaciel myszkujący za plecami może wyprowadzić z równowagi. A jeśli się wybierasz na Księżyc, nie zapomnij o parasolu przeciwsłonecznym. Oskar starał się, jak mógł, a i York uczciwie pracował nad właściwą wentylacją, ale nieubłagane słońce jest gorętsze,

niż to sobie możesz wyobrazić. Nie śmiałem jednak użyć powietrza do chłodzenia, przynajmniej dopóki nie mogła tego uczynić Peewee.

Zrobiło się gorąco i tak już zostało. Pot spływał mi po plecach, wszystko zaczęło mnie swędzić, a nie mogłem się podrapać. Na dodatek pot dostał się do oczu, tak że zaczęły mnie strasznie piec. Peewee musiała być poparzona. Nawet gdy szlak wiódł przez głębokie wąwozy, rozjaśnione jedynie przez światło odbite od dalekiej ściany skalnej, tak ciemne, że włączyliśmy lampki na kaskach, wciąż było mi gorąco. Kiedy ponownie wyszliśmy na słońce, zrobiło się niemal nie do wytrzymania. Pokusa, by popchnąć zawór na brodzie, którym wpuściłbym powietrze, aby mnie ochłodziło, prawie mnie pokonała. Pragnienie ochłodzenia ciała wydało się ważniejsze niż potrzeba oddychania jeszcze przez godzinę.

Gdybym był sam, mógłbym to zrobić i umrzeć. Peewee była w jeszcze gorszej sytuacji. Jeśli ona mogła, to ja też musiałem wytrzymać.

Zastanawiałem się, jak to możliwe, że będąc tak blisko ludzkich osad, mogliśmy tak łatwo się zgubić. Jak te robakowate potwory mogły ukryć swe bazy tylko czterdzieści mil od stacji Tombaugh. Miałem wiele czasu na rozmyślanie i mogłem wszystko zrozumieć, widząc księżycowy krajobraz.

W porównaniu z Księżycem, Arktyka wprost roi się od ludzi. Księżyc przypomina rejony Azji, gdzie ludzi jest mniej niż w Centerville. Mógł minąć wiek, zanim ktokolwiek zbadałby tę równinę, gdzie znajdowała się baza Ro-

bakowatego. Z przelatującej nad nią rakiety niczego by nie zauważono, tym bardziej przy stosownym maskowaniu.

Człowiek w kombinezonie nigdy by tam nie poszedł. Człowiek w łaziku mógł znaleźć ich bazę tylko przez przypadek, nawet gdyby trafił do przełęczy i spenetrował tę równinę. Księżycowy satelita filmujący teren mógłby ją fotografować parokrotnie, potem technik w Londynie mógł dostrzec maleńką różnicę w kolejnych filmach. Może. Może po latach ktoś by to sprawdził, gdyby nie było nic pilniejszego do roboty w placówce badawczej, gdzie na dobrą sprawę wszystko jest nowe i pilne.

A jeśli chodzi o radarowe namiary, to napotymano takie nie wyjaśnione obozowiska, kiedy mnie jeszcze nie było na ś wiecie.

Robakowaty mógł sobie siedzieć tak blisko stacji Tom-
baugh jak z Dallas do Fort West i nie wzbudzać podejrzeń. Mógł gnieździć się niczym żmija pod domem. Zbyt wiele mil kwadratowych i zbyt mało ludzi.

Nieprawdopodobnie dużo mil kwadratowych... Nasz cały świat był mieszaniną jasnych, stromych urwisk, ciemnych cieni i czarnego nieba; wędrówka po nim nie miała końca.

Ale ostatecznie zaczęliśmy częściej schodzić w dół zbocza, niż piąć się pod górę. Na koniec znużeni dotarliśmy do zakrętu, gdzie naszym oczom ukazała się gorąca, jasna równina. Góry były bardzo daleko, znajdowały się prawie za horyzontem. Spoglądałem ponad równinę zbyt zmordowany, by tryumfować. Potem zerknąłem na Ziemię i próbowałem ocenić, gdzie powinien być zachód.

Peewee dotknęła mojego kasku.

- To tam, Kip.
- Gdzie?

Wskazała ręką i dostrzegłem błysk na srebrnej kopule. Wielka Matka zaświergotała mi nad uchem:

(- Co tam widzicie dzieci?)

- Przed nami stacja Tombaugh, Wielka Matko.

Jej odpowiedzią było pozbawione słów zapewnienie, że jesteśmy wspaniałymi dziećmi, że wiedziała, iż umiemy tego dokonać.

Stacja mogła być oddalona o dziesięć mil. Odległość trudno było ocenić przy tym śmiesznym horyzoncie i braku punktów odniesienia. Nie wiedziałem nawet, jak wielka była ta kopuła.

- Peewee, możemy skorzystać z radionadajnika. Obróciła się, a ja uczyniłem to samo. Nie mogliśmy być bardziej samotni.

- Zaryzykujmy.

- Jaka częstotliwość?

- Ta sama co wcześniej. Kanał operacji kosmicznych. Spróbowałem.

- Stacja Tombaugh. Odezwijcie się, stacja Tombaugh. Słyszycie mnie?

Potem spróbowała Peewee. Nasłuchiwałem odzewu na całym paśmie. Bez powodzenia.

Przełączyłem nasłuch na antenę kierunkową, którą wycelowałem w stronę kopuły. Żadnej odpowiedzi.

- Tracimy czas, Peewee, lepiej już chodźmy.

Odwróciła się powoli. Czuję, że była zawiedziona. Ja również drżałem z emocji. Podszedłem do niej i zetknąłem nasze hełmy.

- Peewee, nie przejmuj się. Nie mogą nasłuchiwać całej dzień. Widzimy ich, a teraz do nich pójdziemy.

- Wiem - powiedziała smętnie.

Gdy zaczęliśmy schodzić w dół, stacja zniknęła nam z oczu.

Nie tylko z powodu falistego terenu, ale dlatego, że teraz leżała poniżej linii horyzontu. Nie przestawałem ich wzywać, dopóki istniała jakakolwiek nadzieja złapania łączności. Potem się wyłączyłem, by zaoszczędzić powietrza i baterii.

Byliśmy mniej więcej w połowie zbocza, gdy Peewee zwolniła i stanęła. Raptem osunęła się na ziemię i zneruchomiała.

Podbiegłem do niej.

- Peewee!

- Kip — powiedziała niewyraźnie - pójdziesz dalej sam? Proszę! Znasz drogę. Ja tutaj poczekam. Proszę, Kip?

- Peewee — rzuciłem ostro - wstawaj, nie wolno ci się zatrzymywać.

- Już nie mogę! - rozplakała się - chce mi się pić... a moje nogi... - zamilkła.

- Peewee! — potrząsnąłem nią - nie możesz teraz zrezygnować. Wielka Matko, wytłumacz jej.



Zamrugła.

- Mów do niej, Wielka Matko, mów!

Przewróciłem Peewee na brzuch i zabrałem się do roboty. Niedotlenienie działa jak piorun. Nie musiałem sprawdzać wykresów koloru krwi, aby wiedzieć, że będą wskazywały ZAGROŻENIE. Wystarczyło spojrzeć na wskaźniki na butlach, by się o tym przekonać. Butla z tlenem była pusta, w drugiej zostały marne resztki. Zamknąłem bezużyteczne zawory, połączyłem wentyl przy brodzie z zewnętrznym i wpuściłem resztę tego, co zostało w poprzedniej butli. Dopiero wtedy zamknąłem wentyle i usunąłem pustą butlę.

Zostałem jednak załatwiony przez jedną głupią rzecz. Peewee solidnie przywiązała butle, ale teraz musiałem dosięgnąć węzła. Czułem go lewą ręką, lecz prawą nie mogłem do niego sięgnąć. Przeszkadzała mi moja przednia butla. Nie mogłem przecież rozplątać węzła jedną ręką.

Całą siłą woli starałem się zachować spokój. Mój nóż, no pewnie, mój nóż! Stary skautowski nóż z kółkiem, by można go było zawiesić przy spodniach. Kombinezon nie miał odpowiedniej sprzączki, więc musiałem wepchnąć scyzoryk bezpośrednio za pasek. Trochę czasu minęło, zanim go wydobyłem.

Później nie mogłem wyjąć małego ostrza. Rękawice kombinezonu nie mają bowiem czegoś takiego jak paznokcie.

Powiedziałem do siebie w duchu: Kip, przestań biegać w kółko. To proste. Musisz tylko otworzyć nóż. Musisz... bo Peewee się dusi.

Poszukałem wzrokiem ostrego odłamka skały, cokolwiek, co mogłoby zastąpić paznokiec. W końcu sięgnąłem do pasa.

Kilof okazał się narzędziem uniwersalnym; końcówka w kształcie dłuta była wystarczająco ostra, by wyjąć ostrze. Odciąłem linkę.

Nadal byłem w kropce. Musiałem się dostać do butli wiszącej na plecach. Kiedy wyrzuciłem pustą butlę i podłączyłem ostatnią świeżą, zachowałem prawie połowę poprzedniej. Zamierzałem ją trzymać na czarną godzinę i podzielić się jej zawartością z Peewee. Czarna godzina nadeszła - butla Peewee była pusta, moja praktycznie też, ale miałem tę do połowy wypełnioną oraz około jednej ósmej butli z czystym tlenem. Zamierzałem zrobić Peewee niespodziankę w postaci porcji mieszaniny tlenowo-helowej, która by wystarczyła na dłużej i przyniosła nieco zbawienego chłodu.

Plan godny błędnego rycerza, pomyślałem. Nie zmarnowałem nawet dwóch sekund, aby go rozpatrywać.

Nie mogłem się dostać do tylnej butli!

Może gdybym nie przestawił tylnego ładunku dla tych nadprogramowych butli, byłbym w stanie to zrobić. Podręcznik mówi: „Sięgnij ręką za przeciwne ramię, zamknij ryglujące wentyle na butli i kasku, rozłącz klamry”. Mój ładunek nie miał klamer, lecz uchwyty. Wciąż jednak nie jestem przekonany, czy można sięgnąć za siebie w nadmuchiwanym kombinezonie. Podejrzewam, że ten fragment pisał jakiś mądry urzędnik. Może widział, jak to się robi w bardziej sprzyjających warunkach. Może nawet sam próbował, ale w takim razie musiał to być jeden z tych dziwolągów, którzy potrafią wystawiać ramiona ze stawów. Założyłem się o cały zapas tlenu, że zaopatrzeniowcy ze stacji ko-

smicznej tego nie potrafią. Muszą sobie pomagać tak jak my z Peewee, albo wchodzą do komory i spuszczaają powietrze.

Jeśli kiedykolwiek będę miał okazję, zmienię to. Wszystko, co służy do obsługi kombinezonu kosmicznego, powinno być zamocowane z przodu - wentyle, klamry, wszystko. Nawet jeśli ma oddziaływać na jakąś część z tyłu. Nie jesteśmy jak robakowaci, z oczami dookoła i rękami wykręcającymi się na wszystkie strony. Jesteśmy stworzeni do pracy przed sobą, a już szczególnie w kombinezonie kosmicznym. Coś może wyglądać nieźle na papierze i być całkowicie nieprzydatne w praktyce.

Ale nie traciłem czasu na marudzenie. Dysponowałem jedną ósmą zapasu tlenu! Chwyciłem butlę.

Taśma klejąca była w stanie godnym pożałowania. Nie zawracałem sobie głowy bandażem. Skakałbym z radości pod niebo, gdyby taśma chciała się choć trochę kleić. Obchodziłem się z nią jak z jajkiem, próbując wszystko szczelnie obwiązać. Przerwałem operację w połowie, gdy kombinezon Peewee zaczął się zapadać, bo omyłkowo odciąłem dopływ powietrza. Kiedy skończyłem, ręce mi drżały.

Peewee nie była w stanie sama zamknąć zaworu. Chwyciłem więc to cholerne złącze, drugą ręką otworzyłem zawór na jej pustej butli, a następnie błyskawicznie otworzyłem butlę z tlenem. Krzyżując ręce, złapałem zawór butli Peewee, obserwując jednocześnie wskaźniki.

Obie igły wyrównały położenie. Wówczas zacząłem zamykać jej butlę i... prowizoryczne złącze puściło. Musiałem zakręcić zawór w pośpiechu, aby nie stracić zbyt wiele gazu z butli Peewee. Jednak resztki z butli zapasowej ulot-

niły się bezpowrotnie. Nie było czasu się martwić. Zdrapałem resztki kleju, upewniłem się, że złącze zatraskowe było czyste, założyłem butlę na kombinezon Peewee i otworzyłem zawory. Jej kombinezon zaczął się wypełniać. Zetknąłem nasze kaski.

- Peewee! Peewee! Słyszysz mnie? Obudź się, kochanie! Wielka Matko! Obudź ją!

- Tak, Kip?

- Obudź się! Na nogi! Wstawaj! Wstań, maleńka, proszę cię.

- Hmmmm? Pomóż mi zdjąć kask... Nie mogę oddychać.

- Możesz. Rusz zawór przy brodzie! Czujesz świeże powietrze?

Spróbowała, bezskutecznie. Nie było czasu do stracenia. Uderzyłem mocno jej kask, pomagając od zewnątrz otworzyć zawór przy brodzie.

- Och!

- Widzisz? Masz powietrze. Masz dużo powietrza. Teraz wstawaj.

- Nie!

- Jesteś nieznośnym, zepsutym dzieciakiem i jeśli nie wstaniesz, nikt nie będzie cię kochał. Wielka Matka nie będzie cię kochała. Wielka Matko, powiedz jej!

(- Wstań, córko.)

Peewee spróbowała. Pomogłem jej. Zachwiała się i przyłgnęła do mnie, uchroniłem ją przed upadkiem.

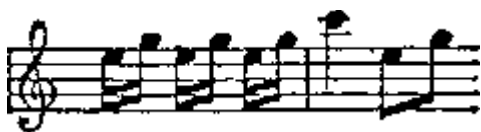
- Wielka Matko — powiedziała cicho — wstałam. Wciąż... mnie kochasz?

(— Tak, córko.)

- Kręci mi się w głowie... i nie sędzę, żebym mogła iść.
- Nie musisz, maleńka - powiedziałem łagodnie i wziąłem ją na ręce. - Nie musisz już dalej iść.

Była lekka jak piórko.

Szlak się urwał, gdy zeszliśmy z podgórze, ale potem ślady łazika były wyraźnie odbite w kurzu i wiodły prosto na zachód. Miałem ograniczony dopływ powietrza, aż igła wskaźnika koloru krwi opadła do granicy bezpieczeństwa.



Peewee!

Utrzymałem ją na tym poziomie, włączając zawór przy brodzie tylko wtedy, gdy opadła poniżej tej granicy. Zauważyłem, że konstruktor musiał zostawić pewną rezerwę, tak jak to robią ze wskaźnikami benzyny. Przekonałem się o tym, kiedy ostrzegłem Peewee, by nie spuszczała oczu ze swych wskaźników i utrzymywała je na granicy bezpieczeństwa. Przyrzekła, że będzie tak robić, a ja jej o tym stale przypominałem. Naciskałem jej kask, gdy chciałem z nią rozmawiać.

Liczyłem kroki i co pół mili kazałem Peewee wzywać stację Tombaugh. Leżała poza horyzontem, ale przecież mogli mieć wysoki maszt, który „widział” daleko.

Wielka Matka też do niej mówiła. Robiliśmy wszystko, by nie zasnęła ponownie. Gdy Wielka Matka mówiła, ja oszczędzałem siły, poza tym jej słowa robiły dobrze nam wszystkim.

Po jakimś czasie spostrzegłem, że moja wskazówka znowu opadła poniżej czerwonej kreski. Szturchnąłem zawór i czekałem. Nic nie nastąpiło. Szturchnąłem go znowu i igła powoli uniosła się do góry.

- Jak sobie radzisz z powietrzem?
- W porządku, Kip, w porządku.

Oskar wydzierał się na mnie. Zmrużyłem oczy i zauważyłem, że mój cień zniknął. Był poprzednio rozpostarty pod pewnym kątem do śladów. Siady, owszem, nadal były, ale cienia już nie widziałem. To mnie zaniepokoiło, więc obejrzałem się, by go poszukać. Był za mną. Głupi cień ukrył się przede mną.

- Te zabawy!

(— Teraz lepiej! - powiedział Oskar.)

- Oskar, tu w środku jest strasznie gorąco.

(— A ty myślisz, że na zewnątrz jest chłodno? Pilnuj cienia i patrz na te ślady.)

- Dobra, dobra! Przestań nudzić. - Przyrzekłem sobie, że już nie zgubię więcej tego cienia.

Gra, w którą chciał się bawić, co?

- Tu jest strasznie mało powietrza, Oskar.

(- Oddychaj płytko, a wszystko będzie dobrze.)

- Oddycham do skarpetek.

(- To oddychaj do koszuli!)

- Widziałeś statek przelatujący nad nami?

(- Skąd ja mam to wiedzieć? To ty jesteś ten z okularami.)

- Nie bądź taki bystry. Nie jestem w nastroju do żartów.

Siedziałem na ziemi z Peewee na kolanach, a Oskar się naprawdę wydzierał, tak jak i Wielka Matka.

(- Wstawaj ty małpoludzie! Wstawaj i próbuj.)

(- Wstań, Kip, mój drogi! Już niedaleko.)

- Chcę tylko złapać oddech.

(-No dobra, to ci wolno. Wzywaj stację.)

- Peewee - powiedziałem — wzywaj stację.

Nie odpowiedziała. Wystraszyłem się i zacząłem krzy-
czeć:

- Stacja Tombaugh, zgłoś się! Zgłoś się - wykrzykną-
łem, po czym wstałem. - Stacja Tombaugh, słyszycie
mnie? Ratunku! Ratunku!

Głos odpowiedział:

- Słyszemy cię.

- Ratunku! May Day. Jest ze mną umierająca dziew-
czynka! Ratunku! - Nagle moim oczom ukazały się błysz-
czące kopuły, wysokie wieże, radioteleskopy, gigantyczne
kamery Schmidta. Ruszyłem chwiejnym krokiem w
ich kierunku. — SOS!

Ogromny zamek się otworzył i w moim kierunku wyje-
chał łązik na gąsienicach. Głos w moich słuchawkach po-
wiedział:

- Jedziemy do ciebie, zostań, gdzie jesteś. Bez odbioru.

Łazik stanął koło mnie. Wsiadł z niego człowiek i ze-
tknął ze mną kask. Wyjąkałem:

- Pomóż mi ją wnieść do środka.

W odpowiedzi usłyszałem:

- Przysparzasz nam kłopotów, stary. Nie lubię lu-
dzi, którzy przysparzają nam kłopotów.

Z tyłu stał większy, grubszy mężczyzna. Mniejszy uniósł coś w rodzaju kamery i wycelował we mnie. To była ostatnia rzecz, którą zapamiętałem.

ROZDZIAŁ 7

Nie wiem, czy całą tę nużącą drogę przebyliśmy już w łaziku, czy może Robakowaty przysłał statek. Obudzono mnie biciem po twarzy, byłem na statku i leżałem na podłodze. Bił mnie ten chudy; grubas zwracał się do niego Tim. Próbowałem mu oddać, ale okazało się, że nie mogę. Byłem w jakimś kaftanie, wyglądałem jak mumia.

Wrzasnąłem.

Chudy chwycił mnie za włosy, przechylił głowę i usiłował wepchnąć mi do ust dużą kapsułkę. Spróbowałem go ugryźć.

Uderzył mnie mocniej i ponowił próbę z kapsułką. Jego wyraz twarzy się nie zmienił. Wciąż wyglądał paskudnie.

- Połknij to, chłopcze - dobiegł mnie głos i odwróciłem głowę. Gruby stał po drugiej stronie.

- Lepiej to połknij - powiedział - masz przed sobą pięć ciężkich dni.

Połknąłem. Nie z powodu rady, ale ze względu na jedną rękę trzymającą mój nos i drugą wpychającą pigułkę do ust,

gdy próbowałem zaczerpnąć tchu. Grubas trzymał dla mnie filiżankę wody do popicia; nie zamierzałem z niej zrezygnować, była mi potrzebna.

Chudzielec wbił w moje ramię igłę wystarczająco wielką, aby przestraszyć konia. Nie omieszkałem powiedzieć mu, co o nim myślę, używając słów, które zazwyczaj z trudem przechodzą mi przez gardło. Chudy udął głuchego, a grubas zachichotał. Zwróciłem oczy w jego stronę.

- Ty też - dodałem słabo - nie jesteś lepszy.

Grubas zagadał z wyrzutem.

- Powinieneś się cieszyć, że ocaliliśmy ci życie, choć to nie był mój pomysł - dodał. - Wzięłeś nas za ekipę ratunkową. On chciał cię mieć żywego.

- Przymknij się - przerwał mu Chudy - i przywiąż mu głowę.

- Niech skręci sobie kark, lepiej zadbajmy o własną skórę. On nie będzie czekać - powiedział, ale zaczął wykonywać polecenie.

Chudzielec zerknął na zegarek.

- Cztery minuty.

Gruby pośpiesznie zaciągnął pas na moim czole, po czym zostawili mnie, aby połknąć jakieś kapsułki i zaaplikować sobie nawzajem zastrzyki. Obserwowałem wszystko uważnie.

Znajdowałem się w tylnej części statku. Sufit jarzył się w znany sposób, ściany wyglądały identycznie. To była sypialnia tych zbirów, ich łóżka rozstawiono po obu stronach pomieszczenia, a ja byłem przywiązany do miękkiej kanapy stojącej pośrodku.

Obaj wkrótce weszli do swoich łóżek i zapięli na sobie ciasną otulinę, coś w rodzaju śpiwora. W końcu każdy unieruchomił swoją głowę za pomocą specjalnej taśmy. Nie interesowały mnie ich przygotowania.

- Hej, co zrobiliście z Peewee?

Gruby zachichotał.

- Słyszałeś, Tim? Niezły kawał.

- Przymknij się

- Ty... - Chciałem w jakiś sposób podsumować charakter Grubego, ale nie mogłem zebrać myśli, język skołowa-
ciał. Poza tym chciałem także spytać o Wielką Matkę.

Nie wydobyłem z siebie ani słowa. Nagle poczułem się potwornie ciężki, a kanapa stała się twarda jak kamień.

Przez długi, długi czas znajdowałem się w dziwnym stanie. Nie był to sen, nie była to też jawa. Z początku nie doznawałem niczego poza ogromnym ciężarem, później czułem ból w całym ciele, tak że chciałem krzyczeć. Nie miałem na to siły.

Powoli ból ustąpił i przestałem czuć cokolwiek. Nie byłem ciałem, po prostu sobą, nie czułem żadnych więzi ze światem materialnym. Miałem wiele snów i wszystkie bez sensu. Zdawało mi się, że utknąłem w jakimś zwariowanym komiksie.

W pewnym momencie kanapa zawirowała i nagle znowu odzyskałem ciało, choć bardzo wiotkie. Wiedziałem w przeblyskach świadomości, że zmierzałem gdzieś bardzo szybko, przy dużym przyspieszeniu. Stwierdziłem, że musimy być w połowie drogi i próbowałem dojść, jak długa jest wieczność pomnożona przez dwa. Cały czas wychodziło

85 centów plus podatek obrotowy. Kasa sklepowa wydzwaniała „zamykamy” i zaczynałem od nowa.

Gruby odwiązywał pasy na mojej głowie. Przyłgnęły i zdarły mi skórę.

- Wstań i zaświeć, słoneczko. Czas leci!

Z moich ust dobył się bezsensowny bełkot. Chudy rozpinał otulinę. Nogi zwisały mi bezwładnie, a do tego bolały.

- Wstawaj.

Próbowałem, ale nie udało mi się. Chudy chwycił mnie za nogę i zaczął ją masować.

Wrzasnąłem.

- Daj, ja to zrobię - powiedział Gruby - byłem trenerem.

Gruby rzeczywiście wiedział coś na ten temat. Syknąłem, gdy jego kciuki wpiły się w moje łydki; przerwał masaż.

- Za ostro?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Masował dalej i powiedział niemal jowialnie:

- Pięć dni przy ośmiu g* to nie spacerek. Ale nic ci nie będzie. Masz strzykawkę, Tim?

Gruby dźgnął mnie w lewą nogę. Prawie tego nie poczułem. Drugi pomógł mi usiąść i podał filizankę. Myślałem, że to woda, ale to było coś innego. Zakrztusiłem się i wyplułem wszystko. Zaczekał i podał mi znowu.

- Tym razem wypij trochę.

Wypiłem.

- Dobra, wstawaj. Koniec wakacji.

Podłoga zakołysała się i dla złapania równowagi musiałem oprzeć się o grubasa.

- Gdzie jesteśmy? - spytałem ochrypłym głosem.

Gruby wyszczerzył zęby, jak gdyby usłyszał jakiś niesłychanie zabawny kawał.

- Pluton, oczywiście. Cudowne miejsce, Pluton. Kurort.

- Przymknij się. Pomóż mu wstać.

- Ruszaj się, mały. Chyba nie chcesz kazać Mu czekać? Pluton! To niemożliwe, nikt nie mógł dotrzeć tak daleko.

Człowiek nie dotarł jeszcze nawet do księżyców Jowisza, Pluton był znacznie dalej...

** Przyspieszenie ziemskie: $g = 9,81 \text{ m/s}^2$. Tu mowa o ośmiokrotnie większym przyspieszeniu.*

Mój mózg nie działał. Ostatnie przeżycia wstrząsnęły mną do tego stopnia, że nie byłem w stanie zaakceptować faktów.

Ale Pluton!

Nie dano mi czasu do namysłu, założyliśmy kombinezony kosmiczne. Znalazłem Oskara i tak się z tego cieszyłem, że zapomniałem o wszystkim innym.

Nie był zniszczony, tylko ciśnięty na podłogę. Schyliłem się (czując każdy mięsień) i dokładnie go obejrzałem. Nie zauważyłem żadnych uszkodzeń.

- Wskakuj do środka - rozkazał Gruby - koniec z głupstwami.

- W porządku — odpowiedziałem niemal radośnie. Potem zawahałem się. - Nie mam w ogóle powietrza.

- Dobrze się przypatrz - rzucił Gruby.

Spojrzałem. Na plecach Oskara zamocowano butle wypełnione mieszanką tlenowo-helową.

- Chociaż - kontynuował - gdybyśmy nie mieli rozkazu od Niego, nie dałbym ci powąchać nawet sera limburskiego. Obrobiłeś nas z dwóch butli, młotka i linki. Tylko ona na Ziemi kosztowała 4 dolary 95 centów. — Kiedyś - oznajmił bez urazy w głosie - zapłacisz co do grosza.

- Przymknij się - warknął Chudy. - Ruszajmy.

Rozpiąłem Oskara, wśliznąłem się do środka, zerknąłem na odczyt koloru krwi i założyłem uszczelki. Potem wstałem, zapiąłem kask i tkwiąc w środku, od razu poczułem się lepiej.

- Znowu razem?

(— Znowu - potwierdził Oskar.)

- Jesteśmy daleko od domu.

(- Ale mamy powietrze! Głowa do góry, stary.) - Przypomniał mi tym samym o sprawdzeniu zaworu w kasku. Wszystko działało. Mój nóż zniknął, młotek i linka też, ale to był drobiazg. Byliśmy znowu razem.

Podążałem za Chudym, Gruby szedł za mną. Na korytarzu minęliśmy Robakowatego, albo kogoś podobnego. Oskar mnie osłaniał i czułem się bardzo pewnie. Kolejna postać przyłączyła się do nas w luku powietrznym i musiałem spojrzeć po raz drugi, by stwierdzić, że był to jakiś robakowaty w kombinezonie kosmicznym. Materiał był gładki i nie wybrzuszał się, tak jak to się działo z naszymi. Wyglądał jak kłoc drewna z nagimi gałęziami i ciężkimi korzeniami, ale najdziwaczniej wyglądał jego kask. Była to gładka szklana kopuła, wykonana, jak przypuszczam, z lustrzanego szkła; nie mogłem zajrzeć do środka. Robakowaty,

opakowany w ten sposób, prezentował się raczej groteskowo, a nie przerażająco. Mimo wszystko zachowałem bezpieczną odległość.

Ciśnienie spadało i musiałem zwiększyć zużycie powietrza. Wówczas przypomniałem sobie o najważniejszej sprawie: co stało się z Peewee i Wielką Matką. Włączyłem swoje radio i ogłosiłem:

- Próba radia. Alfa, Bravo, Coca...
- Skończ z tymi głupotami. Powiemy ci, kiedy będziesz potrzebny.

Zewnętrzne drzwi otworzyły się i po raz pierwszy ujrzałem Plutona. Nie wiem, czego się spodziewałem. Krąży w takim oddaleniu, że nie można zrobić porządnego zdjęcia nawet z Księżyca. Czytałem artykuły w „Scientific American” i widziałem obrazki w czasopiśmie „Life”, retuszowane, by wyglądały jak fotografie. Przypomniałem sobie, że na Plutonie zbliża się lato, jeśli latem można nazwać okres, kiedy panuje temperatura wystarczająco niska, by skropić powietrze.

Nigdy jednak nie interesowałem się Plutonem; zbyt mało faktów, a za dużo spekulacji. W dodatku ta planeta krąży za daleko, aby mogła budzić realne nadzieje na kolonizację. Księżyc miał szansę uzyskać status przedmieścia. Profesor Tombaugh (od którego imienia została nazwana stacja) pracował na gigantycznym elektronowym teleskopie, chcąc sfotografować Plutona, za co zyskał nagrodę Guggenheima. To była przecież jego wielka pasja; odkrył Plutona na wiele lat przed moim urodzeniem.

Zaraz po otwarciu drzwi usłyszałem: klik... klik... klik... i jeszcze raz „klik” w moim kasku - to włączyło się ogrzewanie.

Moim oczom ukazało się Słońce. Z początku nie zorientowałem się, że to nasza gwiazda. Wielkością przypominała Wenus albo Jowisza widzianego z Ziemi (choć była znacznie jaśniejsza).

Gruby szturchnął mnie między zębra:

- Nie radzę podskakiwać.

Zwodzony most łączył drzwi z nadziemną drogą, wiodącą dwadzieścia jardów wzdłuż górskiego zbocza. Drogę podtrzymywały pająkowate dźwigary o wysokości od 3-4 do 10-12 stóp, w zależności od rzeźby terenu. Ziemię pokrywał śnieg, oślepiająco biały, nawet w tak marnym świetle, jakie dawało maleńkie Słońce. Tam, gdzie dźwigary były najwyższe, mniej więcej w połowie drogi, wiadukt biegł nad strumykiem.

Cóż to za ciecz płynęła pod mostem? Metan? Z czego był śnieg? Z zestalonego amoniaku? Nie miałem pod ręką odpowiedniej tabeli, aby ustalić, co w tym piekielnym zimnie było ciałem stałym, co ciekłym, a co gazem. Jedno wiedziałem - w czasie tutejszej zimy robiło się tak zimno, że nie było żadnego gazu czy cieczy - tylko próżnia, jak na Księżycu.

Cieszyłem się w duchu, że nie marudzimy na tym zimnie. Wiatr wiał z lewej, mroził jednak ze wszechstron mimo wysiłków Oskara. Każdy krok był ryzykowny, Stwierdziłem, że znacznie bezpieczniej jest maszerować na Księżycu, niż wpaść w tutejszy „śnieg”. Ciekawe, czy człowiek zginąłby natychmiast od uderzenia?

Oprócz wiatru i braku poręczy asekuracyjnych, dodatkowe zagrożenie stwarzali robakowaci ubrani w kombinezony. Poruszali się dwa razy szybciej niż my, a do ustępowania z drogi byli tak skłonni jak słoń samotnik. Chudy poruszał się jak akrobata, aby nie spaść na dół.

Dalej droga wiodła przez tunel. Przeszedłszy dziesięć stóp, dotarliśmy do płyty, która otworzyła się i zatrzasnęła zaraz za nami. Dwadzieścia stóp dalej była następna, która działała tak samo jak pierwsza. Przeszliśmy tam jeszcze przez dwa tuziny płyt, pełniących chyba funkcję grodzi bezpieczeństwa. Za każdą z nich nieznacznie wzrastało ciśnienie. Nie mogłem się zorientować, na jakiej zasadzie działały, choć w tunelu było jasno dzięki światłu padającemu z sufitu. Wreszcie doszliśmy do głównej śluzy, ciśnienie było już jednak wyrównane i drzwi stały otworem. Prowadziły do dużego pomieszczenia.

Stał tam robakowaty. Znajomy Robakowaty, jak sądzę, bo mówił po angielsku.

- Chodź! - usłyszałem przez kask, lecz nie byłem pewien, czy to On się odezwał, bo w środku byli też inni.

Robakowaty pospieszył do wyjścia. Nie miał na sobie kombinezonu i ulżyło mi, kiedy się odwrócił, ponieważ nie musiałem dłużej oglądać jego wijących się ust. Była to jednak niewielka ulga, gdyż jednocześnie ukazał swoje tylne oko.

Mieliśmy za nim iść. Poprowadził nas korytarzem na prawo, później w dół przez kolejny zestaw podwójnych drzwi i w końcu zatrzymał się nagle przed dziurą w podłodze, podobną do studzienki kanalizacyjnej.

- Zdjąć kombinezony! — zakomenderował.

Grubas i Chudy zdjęli już hełmy, wiedziałem więc, że nie grozi mi tu brak powietrza. Z drugiej strony wolałem pozostać w Oskarze, przynajmniej dopóty, dopóki w pobliżu kręcił się Robakowaty.

Gruby otworzył klamry na moim kasku.

- Wyskakuj z tego szybko!

Chudy poluzował mój pas i mimo mojego oporu szybko ściągnęli ze mnie kombinezon.

Robakowaty czekał. Gdy tylko zdjąłem Oskara, wskazał dziurę:

- Na dół!

Przełknąłem ślinę. Dziura wyglądała na głęboką i mało zachęcającą.

- Na dół - powtórzył - Już!

- Rusz się, chłopie - doradził Gruby. — Albo sam wskoczysz, albo cię wrzucimy. Wchodź, zanim On się zdenerwuje.

Próbowałem uciekać.

Robakowaty stał obok i ściągnął mnie z powrotem, zanim zacząłem na dobre biec. Później wepchnęli mnie do szybu.

Do dna było dość daleko. Lądowanie nie bolało tak, jak by zabolało na Ziemi, ale skręciłem nogę w kostce. Nie miało to większego znaczenia. I tak nie było dokąd iść. Dziura w suficie stanowiła jedyne wyjście.

Moja cela miała około dwudziestu stóp kwadratowych. Była, jak przypuszczam, wydrążona w skale, ale nie miałem sposobu, by się o tym przekonać, gdyż ściany, podłogę i sufit wyłożono sztucznym tworzywem, takim jak ściany statku. Świetlik zajmował połowę sufitu i mógłbym nawet

czytać, gdybym tylko miał coś do czytania. Jedynym dodatkowym elementem był strumień wody tryskający z dziury w ścianie, wpadający do zbiornika wielkości balii i gdzieś znikający.

W celi było ciepło, z czego się ucieszyłem, bo nie zauważyłem niczego, co przypominałoby łóżko albo pościel. Zakładałem, że pomieszka tu jakiś czas i ciekawiło mnie, co będę jadł i gdzie spał.

Byłem bardzo zmęczony tą idiotyczną zabawą. Stałem sobie przecież spokojnie, nikomu nie wadząc, na tyłach własnego domu. Reszta była zasługą Robakowatego. Usiadłem na podłodze i wymyślałem różne sposoby, na jakie można by go powoli uśmiercić.

W końcu porzuciłem to zajęcie i zacząłem myśleć o Peewee i Wielkiej Matce. Czy były tutaj? A może leżały martwe gdzieś między górami a stacją Tombaugh? Roztrząsając ponuro całą sprawę, stwierdziłem, że najlepiej dla biednej Peewee byłoby, gdyby nie obudziła się z tej drugiej śpiączki. Nie byłem tego pewien, jeśli chodzi o Wielką Matkę, bo nie znałem jej za dobrze, ale w wypadku Peewee miałem pewność.

Ba, trzeba przyznać, że los spłatał mi paskudnego figła: czyż błędni rycerze nie lądują w lochach? Ale żeby było sprawiedliwie, dama serca powinna być uwięziona w wieży tego samego zamku. Przykro mi, Peewee, jako błędny rycerz straszny ze mnie niedołęga. „Siła jego równa sile dziecięciu, bo serce jego czyste”.

To nie było zabawne.

Zmęczyły mnie te samokrytyczne myśli i spojrzałem na zegarek, by dowiedzieć się, która godzina, choć nie było

to szczególnie istotne. Więzień jest jednak tradycyjnie zobowiązany do rycia znaczków na ścianie, mówiących, jak długo był więziony, więc pomyślałem, że ja również mogę spróbować. Na ręce miałem zegarek, ale nie chodził, więc nie mogłem zacząć. Może osiem g to dla niego za dużo, mimo że powinien być odporny na wstrząsy, wodę, magnetyzm i propagandę komunistyczną.

Po chwili położyłem się i zasnąłem. Obudził mnie hałas. To puszka z konserwą uderzyła o podłogę. Była zamknięta, ale miała przyczepiony kluczyk i mogłem ją otworzyć. Siekana wołowina, bardzo dobra. Wykorzystałem pustą puszkę, po jej umyciu oczywiście, jako naczynie do picia (woda mogła być zatruta, ale czy miałem jakiś wybór?).

Woda była ciepła. Wykąpałem się.

Wątpię, czy ktokolwiek z mieszkańców Ameryki w ciągu ostatnich dwudziestu lat tak potrzebował kąpieli jak ja. Potem wyprałem rzeczy. Moja koszula, spodenki i skarpetki były z syntetyków, więc schnęły błyskawicznie, drelichowe spodnie wymagały więcej czasu, ale mi to nie przeszkadzało. Marzyłem o jednym z dwustu kawałków mydła Podniebny Szlak, leżących w domu, na dnie szafy. Gdybym wiedział, że trafię na Plutona, wziąłbym ze sobą jakiś zapas.

Pranie rzeczy ułatwiło przeprowadzenie inwentaryzacji. Miałem ze sobą chustkę, 67 centów w drobniakach, banknot dolarowy, tak wymoczony i zniszczony, że trudno było odróżnić na nim wizerunek Washingtona, ołówek automatyczny z napisem „Kafeja u Jaya - najlepsze podpiwki w mieście” (co za oszust - ja robię najlepsze) i listę zakupów, które miałem zrobić dla matki, a nie zdążyłem

przez ten głupi wentylator w sklepie Chartona. Ta ostatnia kartka nie była tak zniszczona jak banknot, bo trzymałem ją w kieszeni koszuli.

Ułożyłem w rządku moje aktywa i patrzyłem na nie bez entuzjazmu. Nie wyglądały na kolekcję, którą można by przemienić w cudowną broń, wysadzić w powietrze kawał skały, utorować sobie drogę ucieczki, aby potem ukraść statek, nauczyć się go pilotować, tryumfalnie powrócić, ostrzec prezydenta i uratować świat. Poukładałem przedmioty w innej kolejności. Wciąż nie wyglądały właściwie. Dobrze mówię: nie wyglądały właściwie.

Przebudziłem się z koszmarne snu, przypomniałem sobie, gdzie jestem i zamarzyłem o powrocie w kosmos. Leżałem, użalając się nad sobą, i niebawem łzy zaczęły mi spływać po policzkach, a podbródek drgał. Nigdy nie zadręczano mnie, „żeby nie był beksą”; tata uważa, że we łzach nie ma niczego złego, nie są tylko akceptowane przez społeczeństwo. Mówi, iż w niektórych kulturach płacz jest nawet powodem do chwały. Ale w szkole średniej Horacego Manna bycie beksą nie przynosiło chwały, więc przestałem płakać wiele lat temu. Poza tym to męczące i prowadzi donikąd. Przestałem się mazać i zacząłem działać.

Mój plan wyglądał następująco:

1. Uciec z tej celi.
2. Znaleźć Oskara i założyć go.
3. Wyjść na zewnątrz, ukraść statek, skierować się w stronę domu, jeśli dojdę do tego, jak go odnaleźć.

4. Znaleźć jakąś broń lub wymyślić jakiś podstęp do walki z robakowatymi, względnie zająć ich czymś, gdy będę się

wykradał i uprowadzał statek. Bagatela. Każdy superman z umiejętnością teleportacji i niezłe rozwiniętą siłą psychiczną mógłby tego dokonać w pięć minut.

5. Sprawa absolutnie priorytetowa: przed pożegnaniem uroczych brzegów egzotycznego Plutona i tutejszych przyjaznych, kolorowych tubylców upewnić się, że ani Peewce, ani Wielka Matka nie znajdują się w pobliżu. Jeśli są, zabrać je ze sobą, bo w przeciwieństwie do opinii niektórych, moim zdaniem lepiej być nieżywym bohaterem niż żywym gnojkiem. Śmierć jest nieprzyjemna i przykra, ale gnojek też kiedyś umiera, cokolwiek by robił, aby pozostać przy życiu, a zawsze musiałby się tłumaczyć ze swego wyboru. Były to wątpliwe uroki roli bohatera, niemniej jednak alternatywa była jeszcze mniej atrakcyjna.

Fakt, że Peewee wiedziała, jak uruchomić te statki, a Wielka Matka mogłaby mnie przytulić, nie grał przy podejmowaniu decyzji najmniejszej roli. Nie mogę tego dowieść, ale to wiem.

Przypis: czy gdybym już się nauczył sterować jednym z ich statków, poradziłbym sobie z ośmioma g? Pamiętałem, co się ze mną działo poprzednio. Automatyczny pilot? Jeśli tak, to czy miałyby odpowiednie instrukcje po angielsku? (Nie bądź śmieszny, Cliffordzie).

Przypis do przypisu: jak długo trwałoby dotarcie do domu z przyspieszeniem jednego g? Resztę stulecia? Czy po prostu wystarczająco długo, by paść z głodu?

6. Pracować, kiedy problemy zaczną piętrzyć się bez umiaru. To istotne dla zdrowia psychicznego. O. Henry pisał historyjki w więzieniu, św. Paweł stworzył najbardziej wymowne listy apostołskie więziony w Rzymie, Hitler napisał Mein Kampf również w więzieniu; następnym razem wezmę ze sobą maszynę do pisania i papier. Tym razem mogłem jedynie wymyślać magiczne kwadraty i układać zagadki szachowe. I tak to było lepsze od uzalania się nad sobą. Lwy jakoś wytrzymują w zoo, a czy ja nie jestem mądrzejszy od lwów? Przynajmniej niektórych?

A więc do roboty. Po pierwsze: jak wydostać się z tej dziury?

Doszedłem do oczywistego wniosku: nie było żadnego wyjścia. Cella miała dwadzieścia stóp szerokości i dwadzieścia wysokości, ściany były tak gładkie jak policzek niemowlęcia i tak nieprzejednane jak poborca podatkowy. Do innych właściwości celi należały: dziura w suficie, która była jeszcze wyżej, strumyk z basenem i świecąca część sufitu. Za narzędzia mogły mi służyć przedmioty poprzednio spisane (nie było to nic ciężkiego, ostrego, wybuchowego czy żrącego), ubranie i pusta puszka.

Sprawdziłem, jak wysoko mogę skoczyć. Nawet obrońca drugiej linii musi być wyćwiczony. Dotknąłem sufitu. Czy oznaczało to grawitację równą 0,5 g - nie byłem w stanie zgadnąć. Spędziłem nieskończenie wiele czasu w jednej szóstej ciężenia ziemskiego, a następnie parę wieków w jednej ósmej, a nigdzie moje reakcje nie były właściwe.

Mogłem wprawdzie dotknąć sufitu, nie mogłem jednak po nim chodzić, nie potrafiłem też lewitować. Mogłem osią-

gnąć taką wysokość, ale nie było tam nic, czego nawet nie-toperz zdołałby się uchwycić.

No cóż, mogłem podrzeć swoje rzeczy i upleść z nich linę. Ale czy było cokolwiek w pobliżu wylotu, do czego mógłbym ją przywiązać? Wszystko, co pamiętałem, to gładka powierzchnia. Ale przypuśćmy nawet, że bym o coś zahaczył linę. Co dalej? Pokręcić się nago, dopóki Robakowaty nie zauważy mnie i nie zagna z powrotem na dół, tym razem bez ubrania? Postanowiłem odłożyć na później sztuczkę z liną, dopóki nie wymyślę następnego kroku, który zmyli Robakowatego i jego ludzi.

Westchnąłem i rozejrzałem się dookoła. Wszystko, co mi pozostało, to strumyk i basenik w podłodze, do którego spływała woda.

Jest taka bajka o dwóch żabach, które wpadły do garnka ze śmietaną. Jedna, widząc, jak beznadziejna jest ich sytuacja, poddała się i tonęła. Druga była zbyt głupia, by wiedzieć, że przegrała, i nie przestała wiosłować łapami. W ciągu paru godzin ubiła śmietaną na masło do tego stopnia, że utworzyła się wysepka, na której żaba przeczekała spokojnie i wygodnie, dopóki nie przyszła gospodyni i nie wyrzuciła jej.

Woda spływała i ginęła w skałach. A przypuśćmy, że by nie ginęła. Zbadałem dno basenu. Kanał ściekowy był duży, ale myślałem, że byłbym w stanie go zatkać. Może pomieszczenie by się wypełniło i woda wyniosłaby mnie przez otwór. Mogłem się przekonać, miałem puszkę.

Puszka wyglądała na półkwartową, a pół kwarty to stopa sześcienna wody, na Ziemi nieco ponad 60 funtów.

Ale musiałem mieć pewność. Moje stopy mają jedenaście cali. (Miały taką długość, od kiedy skończyłem dziesięć lat). Odmierzyłem jedenaście cali dwoma pensami. Na tej podstawie dowiedziałem się, że banknot dolarowy jest szeroki na dwa i pół cala. Krótko mówiąc, znałem wymiary celi i puszek całkiem dokładnie.

Trzymałem puszkę pod strumykiem, napełniałem ją i szybko wylewałem, zaznaczając liczbę puszek na lewej ręce i jednocześnie licząc sekundy. Ostatecznie wykalkulowałem, ile czasu zajmie wypełnienie całego pokoju. Wynik nie podobał mi się, więc zacząłem od nowa.

Wypełnienie celi i dziury nad nią zajęłoby czternaście godzin plus godzina jako rezerwa na niedokładność pomiarów. Czy utrzymałbym się aż tak długo na powierzchni?

Oczywiście, że tak, jeśli bym musiał. A musiałem. Nie ma żadnego limitu czasu unoszenia się na wodzie, jeśli tylko człowiek nie wpada w panikę.

Zwinąłem w kulę moje spodnie i wepchnąłem w kanał ściekowy. O mały włos wpadłyby do środka, więc owinałem nimi puszkę i użyłem ponownie jako korka. Tym razem trzymały się, więc wykorzystałem resztę moich rzeczy do uszczelniania otworu. Potem czekałem dumny z tych dokonań. Może powódź odwróci ich uwagę i pomoże mi w ucieczce. Powoli basen się wypełniał.

Wreszcie woda pokryła podłogę na wysokość jednego cala, wyżej się nie podnosiła. Zadziałał przełącznik ciśnienia, jak przypuszczam. Powinienem wiedzieć, że stwory, które potrafiły skonstruować statki latające z przyspieszeniem ośmiu g, potrafią również zaprojektować czujniki na wypadek takiego zagrożenia. Szkoda, że my nie umiemy.

Wyjąłem moje rzeczy, wszystkie prócz jednej skarpetki, i rozłożyłem je, aby wyschły. Miałem nikłą nadzieję, że ta skarpetka zatka pompę albo coś tam, ale okazało się, że byli dobrymi inżynierami.

Nigdy tak naprawdę nie wierzyłem w tę historyjkę o żabach.

Rzucono mi następną puszkę. Była to pieczona wołowina z ziemniakami. Pożywne, ale już zaczynałem tęsknić za brzoskwiniami. Puszka miała napis: „Do nabycia w ramach subwencionowanej sprzedaży na Księżycu”. Mogło to wskazywać, choć było to mało prawdopodobne, że Chudy i Gruby zdobyli żywność uczciwie. Ciekawe, jak im przychodziło dzielenie się ze mną swoimi zapasami? Niewątpliwie czynili to tylko dlatego, że Robakowaty im nakazał. Dlaczego jednak Robakowaty chciał mnie utrzymać przy życiu? Byłem jak najbardziej za tym, ale nie rozumiałem, dlaczego On podzielał mój punkt widzenia. Postanowiłem każdą puszkę opatrywać datą i stworzyć z nich mój kalendarz.

Przypomniało mi się, że nie obliczyłem jeszcze, ile czasu zabrałoby mi dotarcie do domu z przyspieszeniem ziemskim, jeśli okazałoby się, że nie mógłbym włączyć automatycznego pilota przy ośmiu g. Byłem tak pochłonięty wymyślaniem sposobów wydostania się z celi, że nawet nie przyszło mi do głowy planować, co bym zrobił, gdybym się rzeczywiście wydostał (poprawka: kiedy bym się wydostał). Mogłem przecież obliczyć trajektorię.

Nie potrzebowałem książek. Spotykałem wprawdzie ludzi, nawet w obecnych czasach, w tej epoce, którzy nie potrafili rozróżnić gwiazdy od planety i którzy myśleli o

odległościach astronomicznych, że są po prostu „duże”. Przypominali prymitywów znających tylko cztery liczby: jeden, dwa, trzy i „dużo”. Ale każdy młodociany skaut ma w jednym palcu podstawowe dane, a gość zarażony kosmicznym bakcylem (tak jak ja) wie o wiele więcej.

„Mama Wałkowała Złapane Muszki Aby Je Solidnie Urobić Na Placek”. Czy można to zapamiętać, powtórzywszy parę razy? Dobra, ułożmy to w ten sposób:

Mama	Merkury	\$ 0.39
Wałkowała	Wenus	\$ 0.72
Złapane	Ziemia	\$ 1.00
Muszki	Mars	\$ 1.50
Aby	asteroidy	bez ceny
Je	Jowisz	\$ 5.20
Solidnie	Saturn	\$ 9.50
Urobić	Uran	\$ 19.00
Na	Neptun	\$ 30.00
Placek	Pluton	\$ 39.50

„Ceny” to odległości od Słońca, w jednostkach astronomicznych (j.a.), j.a. to średnia odległość Ziemi od Słońca, czyli 93.000.000 mil. Łatwiej jest zapamiętać jedną liczbę, którą znają wszyscy, parę drobnych liczb, niż zapamiętywać liczby w milionach i miliardach. Używam znaków dolara, bo liczba ma o wiele więcej uroku, gdy myślę o niej jak o sumie pieniędzy (tata uważa to za godne pożałowa-

nia). W jakiś sposób trzeba je zapamiętać, inaczej nie pozna się sąsiedztwa własnej planety.

Teraz dochodzimy do żartownisia. Jak widzimy, odległość Plutona od Słońca jest trzydzieści dziewięć i pół razy większa niż odległość Ziemi. Ale Pluton i Merkury mają orbity niewspółśrodkowe, zaś odległość Plutona od Słońca zmienia się o prawie dwa miliardy mil, czyli więcej, niż wynosi odległość Słońca do Uran a. Pluton przesuwa się do orbity Neptuna i o włos na nią zachodzi. Potem opuszcza układ słoneczny i wraca dopiero po kilku wiekach; robi tylko cztery okrężne wędrówki w ciągu tysiąclecia.

Czytałem wszakże artykuł o tym, jak na Plutonie przebiegało „lato”. Tak więc wiedziałem, że był teraz blisko orbity Neptuna i zostanie tak przez resztę mego życia, spokojnego życia w Centerville, bo nie jestem zwolennikiem ryzyka. To daje prostą liczbę: 30 jednostek astronomicznych.

Problemy z przyspieszeniem to prościzna: $S = 1/2 at^2$, droga równa się połowie iloczynu przyspieszenia i czasu podniesionego do kwadratu. Jeśli nawigacja kosmiczna byłaby tak prosta, każdy studencik mógłby pilotować rakiety kosmiczną. Problemy pojawiają się wraz z polem grawitacji i faktem, że wszystko rusza się w czternastu różnych kierunkach. Ale mógłbym zignorować pola grawitacji i ruchy planetarne; przy prędkościach, jakie osiągną statki robakowatych, żaden z wymienionych wyżej czynników nie gra roli, dopóki nie jest się bardzo blisko. Chciałem jednoznacznej odpowiedzi.

Tęskniłem za moim suwakiem. Tata mówi, że każdy, kto nie potrafi posługiwać się suwakiem logarytmicznym,

jest kulturowym analfabetą i nie powinien być dopuszczony do głosowania. Mój jest naprawdę piękny: „K&E 20” Log-log Duplex Decitrig”. Ojciec podarował mi go po tym, jak opanowałem dziesięciocalową wielofazę. Cały tamten tydzień jedliśmy tylko zupę ziemniaczaną, ale ojciec mówi, że zawsze trzeba najpierw wydawać na takie zbytki. Wiedziałem, gdzie był mój suwak. W domu na biurku.

Nieważne. Znałem liczby, wzory, miałem ołówek i papier. Po pierwsze należało zweryfikować fakty. Gruby powiedział: „Pluton”, „pięć dni” i „osiem g”.

Zagadnienie składało się z dwóch części: przyspieszać przez połowę czasu (i odległości), wykonać zwrot i hamować przez resztę czasu (i odległości). Nie można użyć w równaniu całej odległości, bo „czas” pojawia się tu podniesiony do kwadratu, jest paraboliczny.

Czy Pluton znajdował się w opozycji, kwadraturze czy w koniunkcji? Nikt nie patrzy na Plutona, więc po co pamiętać, gdzie jest na ekliptyce? Hmm, przeciętna odległość wynosiła 30 jednostek astronomicznych; to by dało przybliżoną odpowiedź.

Połowa tej odległości w stopach wynosi: $1/2 \times 30 \times 93.000.000 \times 5280$.

Osiem g to innymi słowy: $8 \times 32,2$ stóp/s/s, czyli prędkość zwiększa się o 258 stóp na sekundę w każdej sekundzie do czasu zwrotu i zmniejsza zaraz potem z taką samą prędkością. Zatem:

$$1/2 \times 30 \times 93.000.000 \times 5280 = 1/2 \times 8 \times 32,2 \times t^2$$

... i masz czas w sekundach potrzebny na przebycie połowy drogi. Podwoić to na całą drogę, podzielić przez 3600, by uzyskać czas w godzinach, podzielić przez 24 i masz

dni. Na suwaku logarytmicznym takie obliczanie trwa 40 sekund. Jest to tak łatwe, jak obliczanie podatku od sprzedaży.

Zabrało mi to co najmniej godzinę. Prawie tyle samo potrzebowałem, by wszystko sprawdzić, stosując inną kolejność. Po raz trzeci liczyłem, ponieważ odpowiedzi nie pasowały (zapomniałem pomnożyć przez 5280 i miałem mile po jednej stronie i stopy po drugiej - niezbyt dobra sytuacja w arytmetyce). Potem mozoliłem się po raz czwarty, bo nie miałem pewności. Powiem wam, suwak logarytmiczny jest największym wynalazkiem, oczywiście od czasu wynalezienia dziewczyn.

W końcu jednak miałem odpowiedź. Pięć i pół dnia. Byłem na Plutonie. Lub na Neptunie...

Nie, na Neptunie nie byłbym w stanie skoczyć do sufitu na wysokości dwunastu stóp. Do Plutona pasowały wszystkie fakty. Obliczyłem więc, ile dni zabierze podróż z przyspieszeniem ziemskim.

Piętnaście dni.

Wydawało mi się, że podróż z jednym g powinna trwać co najmniej osiem razy dłużej niż przy ośmiu; bardziej prawdopodobne, że sześćdziesiąt cztery razy dłużej. Potem cieszyłem się, że w szkole przebrnąłem przez geometrię analityczną, ponieważ sporządziłem jasny plan i potrafiłem wyłapać problem. Podniesiony do kwadratu czas zmniejszał przewagę. Ponieważ im większe przyspieszenie, tym krótsza wycieczka, a im krótsza wycieczka, tym mniej czasu, w ciągu którego można wykorzystać zwiększoną prędkość. By skrócić czas do połowy, musisz mieć cztery razy większą moc, by skrócić go do jednej czwartej, potrzeba

szesnaście razy większej mocy i tak dalej. Na podobnej zasadzie ludzie bankrutują.

Ucieszyło mnie odkrycie, że przy jednym g mógłbym się dostać do domu w dwa tygodnie. Nie umarłbym z głodu przez ten czas. Jeśli zdołałbym ukraść statek i uruchomić go. Jeśli mógłbym się wspiąć do tej dziury. Jeśli...

Nie Jeśli", ale „kiedy”. I tak byłem już spóźniony na tegoroczne zajęcia w college’u, więc piętnaście dni więcej nie miałyby znaczenia.

Za najważniejszy problem uznałem prędkość, z jaką lecieliśmy na orbicie. Więcej niż 11 tysięcy mil na sekundę. Całkiem niezła prędkość, nawet w kosmosie. To kazało mi się zastanowić, wziąć pod uwagę najbliższą gwiazdę, to jest Proximę Centauri, oddaloną o 4,3 lat świetlnych - odległość, o której tak często słyszy się w konkursach telewizyjnych. Jak długo na ośmiu g?

Problem był tego samego rodzaju co poprzednio, ale musiałem być ostrożny; liczby rosły. Rok świetlny to -... zapomniałem. Więc pomnożyłem: 186 000 mil na sekundę (prędkość światła) przez sekundy w roku ($365,25 \times 24 \times 3600$), aby wynik 5.880.000.000.000 mil pomnożyć przez 4,3 i uzyskać 25.284.000.000.000. Powiedzmy 25 trylionów mil. Nieźle!

To daje z kolei rok i pięć miesięcy, a więc mniej niż podróż dookoła przylądka Horn zaledwie sto lat temu.

Te potwory potrafiły latać do innych gwiazd!

Nie wiem, co mnie tak w tym zdziwiło. Dotąd sądziłem, że Robakowaty zabrał mnie na swoją rodzinną planetę, że był Plutonianinem lub Plutokratą, czy też jakimś innym diabłem. A to przecież niemożliwe.

Oddychał powietrzem. Na swym statku utrzymywał temperaturę wystarczająco wysoką dla mnie. Gdy się nie spieszył, podróżował z przyspieszeniem ziemskim. Używał światła, które nie raziło moich oczu. Zatem pochodził z planety podobnej do mojej.

Proxima Centauri jest podwójną gwiazdą, jak wiesz, jeśli rozwiążesz krzyżówki, a jedna z nich jest bliźniacza z naszym Słońcem. Ma taką samą wielkość, temperaturę, specyficzną tarczę. Czy to niemożliwe, że ma planetę podobną do Ziemi? Miałem dziwne przeczucie, że znam adres Robakowatego.

Wiedziałem, skąd na pewno nie pochodzi - z planety, która krąży przez kilka stuleci w całkowitej próżni, o temperaturze spadającej do absolutnego zera, gdzie w „lecie” co prawda niektóre gazy topnieją, ale woda pozostaje skalą i nawet Robakowaty musi nosić kombinezon. Nie pochodzi też z żadnego innego miejsca w naszym systemie, byłem tego pewien jak podatków. Robakowaty czuł się dobrze tylko na takiej planecie jak nasza. Pomińmy jego wygląd; pająki nie wyglądają tak jak my, ale lubią to samo. W naszych domach mogą być ich tysiące.

Ziemia spodobałaby się Robakowatemu i jego ziomkom. Obawiałem się, że spodobałaby się za bardzo.

Rozmyślałem nad kwestią podróży do Proximy Centauri i zauważyłem coś jeszcze. Prędkość przy wykonywaniu obrotu statku powinna wynosić 1.110.000 mil na sekundę, sześć razy więcej od prędkości światła. Teoria względności mówi, że to niemożliwe.

Chciałem porozmawiać o tym z ojcem — tata czyta wszystko, począwszy od „The Anatomy of Melancholy”

przez „Acta Mathematica” do „Paris Match”. Nieraz siadywał na krawężniku i rozkładał mokre czasopisma leżące pośród odpadków, by zobaczyć napis: „ciąg dalszy na stronie ósmej”. Tata brnął przez książkę, my przeglądaliśmy. Potem brał jeszcze cztery lub pięć głoszących inne opinie. Tata nie jest zwolennikiem poglądu, wedle którego „to musi być prawda, bo inaczej by tego nie wydrukowali”. Nie uznaje żadnych praw za święte. Zaszokował mnie, gdy pewnego razu wziął ołówek i poprawił coś w mojej książce od matematyki.

Ale co Robakowaty robił na Plutonie?

Gdybyś podbijał inny system słoneczny, to od czego byś zaczął? Nie żartuję, loch na Plutonie to nie żarty, i nigdy nie śmiałem się z Robakowatego. Czy wtargnąłbyś po prostu, czy najpierw się trochę przyczaił? Pod względem rozwoju technologicznego bili nas na głowę, ale potrzebowali trochę czasu, aby się o tym przekonać. Czy to nie byłoby sprytne: wybudować bazy zaopatrzeniowe we wrogim systemie, w okolicach nie odwiedzanych przez nikogo? Potem mógłbyś zakładać bazy bliżej obiecująco wyglądającej planety, na przykład na satelicie, z którego byłbyś w stanie prowadzić działania wywiadowcze. Jeśli straciłbyś swój przyczółek wywiadowczy, wycofałbyś się do głównej bazy i opracował nowy atak.

Trzeba pamiętać, że choć Pluton jest daleko od nas, to od Księżyca jest oddalony o pięć dni dla Robakowatego. Pomyśl o II wojnie światowej, gdy prędkości samolotów były niewielkie.

Baza główna jest bezpieczna poza zasięgiem działań (USA/Pluton), ale oddalona tylko o pięć dni drogi od bazy

wypadowej (Anglia/Księżyc), która z kolei znajduje się o trzy godziny drogi od teatru działań (Francja, Niemcy/ Ziemia). To powolny sposób działania, ale zdał doskonale egzamin w działaniach aliantów podczas II wojny światowej.

Miałem tylko nadzieję, że nie wypali w wypadku bandy Robakowatego. Nie widziałem przecież sposobu, aby temu zapobiec.

Ktoś wrzucił kolejną puszkę. Spaghetti i klopsy. Gdyby to były brzoskwinie, może nie miałbym tyle hartu ducha, by zrobić to, co następnie zrobiłem, a mianowicie przed otwarciem użyłem jej jako młotka. Uklepałem pustą puszkę na płaską, wąską blaszkę ze szpicem, który zaostrzyłem na krawędzi basenu. Gdy skończyłem, miałem sztylet. Nie był on zbyt groźny, ale poczułem się pewniej.

Potem się posiliłem. Chciało mi się spać, więc zasnąłem w ciepłym świetle. Wciąż byłem więźniem, ale miałem coś w rodzaju broni i wierzyłem, że odgadłem, z kim walczę. Przeanalizowanie problemu to dwie trzecie sukcesu. Nie miałem koszmarów tej nocy.

Następną „rzeczą” zrzuconą z góry był Gruby.

Chudy wylądował za nim, parę sekund później! Cofnąłem się, trzymając mój sztylet w pogotowiu. Chudy zignorował mnie zupełnie, podniósł się, rozejrzał, podszedł do źródelka i wypił trochę wody. Grubas nie był w stanie zrobić czegokolwiek, leżał z trudem łapiąc oddech, a wkrótce zemdłał.

Spojrzałem na niego i pomyślałem, że paskudny z niego prezent. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość: zrobił mi masaż, gdy tego potrzebowałem. Przyłożyłem dłonie

do jego klatki piersiowej i rozpocząłem sztuczne oddychanie.

Po czterech lub pięciu uciskach jego motor zapalił i Gruby mógł już oddychać.

- Starczy! - wystękał.

Cofnąłem się i wyciągnąłem mój nóż. Chudy siedział pod ścianą, ignorując nas całkowicie. Gruby spojrział na moją nędzną broń i powiedział:

- Odłóż to, mały, teraz jesteśmy towarzyszami niedoli.

- Doprawdy?

- Taak. My, ludzie, powinniśmy trzymać się razem - westchnął nieszczęśliwy. - Po tym wszystkim, co dla niego zrobiliśmy... To się nazywa wdzięczność.

- Co masz na myśli?

- Co? - spytał Gruby. - To, co powiedziałem. On uznał, że poradzi sobie bez nas. Tak więc Annie już tu nie mieszka.

- Przymknij się — rozkazał Chudy stanowczo.

Gruby wydał wargi.

- Sam się przymknij — odpowiedział zirytowany. — Mam tego dość. Ciągłe tylko „przymknij się” i „przymknij się”... -i zobacz, gdzie wylądowaliśmy.

~ Powiedziałem: „przymknij się”.

I Gruby się przymknął. Nigdy się nie dowiedziałem, co zaszło, bo Gruby rzadko opowiadał to samo dwa razy. Starszy nigdy się nie odzywał, pominąwszy nieco męczące rozkazy, by Gruby się przymknął, czy wypowiedane przez niego monosylaby, jeszcze mniej znaczące. Ale jedno było pewne: stracili swoją robotę przybocznych gangsterów albo członków piątej kolumny czy jak można nazwać istotę

ludzką, która występuje przeciwko swojej własnej rasie. Nagle Gruby powiedział:

- Faktem jest, że to twoja wina.
- Moja? - Położyłem rękę na blaszanym nożu.
- Twoja. Gdybyś się nie wtrącił, On nie miałby problemu.
- Nic nie zrobiłem.
- To ty tak mówisz. Zdmuchnąłeś Mu jego dwie najlepsze wygrane i powstrzymałeś Go, gdy planował je sprowadzić tutaj z powrotem.
- Och, ale to nie była moja wina.
- Tak też Mu powiedziałem. Mówisz jak do ściany. Zdejmij rękę z tej głupiej blaszki. - Wzruszył ramionami. - Zawsze mówię: co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

W końcu wyciągnąłem z niego to, co najbardziej mnie interesowało. Po raz chyba piąty poruszyłem sprawę Pee-wee.

- Co cię obchodzi ten dzieciak? - spytał Gruby.
- Chcę tylko wiedzieć, czy jeszcze żyje.
- No, żyje. Przynajmniej żyła, gdy ją ostatni raz widziałem.
- Gdzie to było?
- Zadajesz za dużo pytań. Tutaj.
- Jest tutaj? - zawołałem entuzjastycznie.
- Przecież powiedziałem wyraźnie, nie? Cały czas wolna kręciła się wszędzie, żyjąc jak księżniczka, jeśli chcesz wiedzieć. - Podłubał w zębach i zrobił skwaszoną minę. -Dlaczego z niej robi maskotkę, a nas traktuje w tak podły sposób? To mi ubliża, a poza tym jest nie w porządku.

Byłem odmiennego zdania, ale z innych powodów. Pomyśl, że piękna mała Peewee została ulubienicą Robakowatego, był dla mnie niedorzeczny. Musiała być jakaś tego przyczyna, chyba że Gruby kłamał.

- To znaczy, że nie trzyma jej pod kluczem?
- A co by mu to dało? Gdzie by poszła?

Sam nad tym rozmyślałem. Gdzie możesz iść, jeśli krok na zewnątrz oznacza samobójstwo? Nawet jeśli Peewee miałyby swój kombinezon kosmiczny (który pewnie był pod kluczem), nawet jeśli statek byłby pod ręką i gdyby się nań dostała, potrzebowałyby jeszcze „mózgu”, który działał jak klucz.

- Co stało się z Wielką Matką?
- Z czym?
- Z... - zawahałem się - niehumanoidalną istotą, która była ze mną w kombinezonie. Musicie wiedzieć, ponieważ tam byliście. Żyje? Jest tutaj?

Ale Gruby był pogrążony we własnych myślach.

- Te pluskwy mnie nie obchodzą — powiedział, krzywiąc się, i nie mogłem z niego niczego więcej wydobyć.

Zatem Peewee żyła (kamień spadł mi nagle z serca). Była tutaj! Jej szanse, nawet jako więźnia, były niepomierne większe na Księżycu, niemniej jednak promieniałem ze szczęścia, wiedząc, że była w pobliżu. Zacząłem myśleć nad sposobem przekazania jej wiadomości.

Insynuacje Grubego, jakoby Peewee miała pozostawać z Robakowatym w zażyłych stosunkach, nie trafiały mi w ogóle do przekonania. Peewee była nieobliczalna i czasami zachowywała się jak dzieciuch, ale wolałaby się spa-

lić żywcem, niż zostać zdrajczynią. Joanna d'Arc nie była ulepiona z twardszej gliny.

My trzej zachowywaliśmy niełatwy rozejm. Unikałem ich, spałem z jednym okiem otwartym, starałem się nie zasypiać przed nimi i zawsze trzymałem sztylet w dłoni. Nie kąpałem się od czasu, gdy do mnie dołączyli; to byłoby ryzykowne. Starszy ignorował mnie, Gruby zachowywał się niemal przyjaźnie. Udawał, że nie boi się mojej mizernej broni, ale myślę, że się bał. Nabrałem takiego przekonania pierwszy raz, gdy dano nam jedzenie. Na podłogę zrzucono trzy puszki. Chudy podniósł jedną, jego kumpel drugą, ale kiedy ja zbliżyłem się, by wziąć trzecią, Gruby szybko ją podniósł.

- Oddaj mi to - powiedziałem. - Proszę.

Gruby wyszczerzył zęby.

- Kto powiedział, że to dla ciebie, synku?

- Trzy puszki, trzech ludzi.

- No to co? Jestem piekielnie głodny i nie mam zamiaru z niej zrezygnować.

- Ja też jestem głodny. Bądź rozsądny.

- Hmmm - zdawał się nad tym zastanawiać - coś ci powiem: mogę ci ją sprzedać.

Zawahałem się. Rozumowanie było proste. Robakowaty nie mógł pójść do komisarza Bazy Księżycowej i kupić tych racji, prawdopodobnie kupił je Gruby albo jego kumpel. W zasadzie mógłbym spokojnie podpisać kwit: sto dolarów za posiłek, może nawet tysiąc czy milion. Pieniądze straciły swoją wartość. Czemu nie dać mu tej drobnej satysfakcji?

Ale nie! Gdybym się poddał, gdybym przyznał, że muszę się z nim targować o moje więzienne racje, miałby mnie w garści. Byłbym na każde jego zawołanie, robiłbym wszystko, cokolwiek by mi kazał, byleby tylko jeść.

Wyjąłem mój prymitywny nożyk.

- Mogę ją odebrać tym.

Gruby uśmiechnął się szeroko.

- Nie znasz się na żartach? — zapytał i rzucił mi puszkę. Nigdy później nie było już podobnych problemów.

Żyliśmy jak ta „szczęśliwa rodzinka”, którą czasami można obejrzeć w obwoźnym zoo: lew w klatce z jagnięciem. Było to wstrząsające przedstawienie, ale jagnię często trzeba było wymieniać! Gruby lubił gadać i mogłem się paru rzeczy od niego dowiedzieć, gdy potrafiłem odróżnić prawdę od kłamstwa. Miał na imię, tak przynajmniej mówił, Jacques de Barre de Vigny („Mów mi Jock”), starszy nazywał się Timothy Johnson, ale miałem przeczucie, że ich prawdziwe nazwiska były znane tylko ich rodzicom. Pomimo pretensji Jocka do bycia alfą i omegą, szybko okazało się, że o pochodzeniu Robakowatego nie wie nic, a niewiele o jego planach i przygotowaniach. Robakowaty nie należał do tych, którzy dyskutują z „niższymi zwierzętami”, po prostu robił z nich użytek, tak jak my z koni.

Jedno Jock przyznał bez oporów:

- Pewnie, że złapaliśmy dzieciaka. Na Księżycu nie ma żadnego uranu; te historyjki są po to, by łapać frajerów. Marnowaliśmy tylko czas, a człowiek przecież musi jeść, no nie?

Nie zaprzeczyłem, chodziło mi o informacje.

- Przymknij się — wtrącił Tim.

- Co, do licha, Tim? Przejmujesz się FBI? Myślisz, że tajniacy mogą cię przymknąć nawet tutaj?

- Powiedziałem: „przymknij się”.

- Zdarza się, że mam ochotę gadać, więc się odczep - kontynuował Jock. - To było proste. Dzieciak jest bardziej ciekawski niż stado kotów. On wiedział, że miała przybyć i wiedział kiedy. - Jock zadumał się. - On zawsze wie, pracuje dla niego wielu ludzi, tych wysoko postawionych. Wszystko, co musiałem zrobić, to być w Luna City i poznać ją. Ja to musiałem zrobić, bo Tim nie ma odpowiedniego ojcowskiego podejścia. Zacząłem z nią rozmawiać, kupiłem jej colę, opowiedziałem o urokach poszukiwania uranu na Księżycu i tym podobne bzdury. Potem westchnąłem i powiedziałem, że to wielka szkoda, iż nie mogę jej pokazać kopalni mojej i kumpla. To wystarczyło. Gdy grupa turystów zwiedziła stację Tombaugh, oddaliła się i wymknęła poza bramę; ta część była jej zasługą. Ta mała to spryciara. Do nas należało tylko czekać tam, gdzie się z nią umówiliśmy. Nie musieliśmy nawet być dla niej szorstcy, dopóki się nie zaniepokoiła, że podróż do naszej kopalni trwa dłużej, niż jej zapowiedziałem. - Zachichotał. - Biję się całkiem nieźle, jak na swoją wagę. Podrapała mnie.

Biedna mała Peewee! Szkoda, że go nie poćwiartowała! Ale historia brzmiała prawdziwie, tak właśnie zachowywałyby się Peewee: pewna siebie, odważna, skora do podejmowania wszelkich „naukowych” doświadczeń.

Jock mówił dalej:

- Jemu nie chodziło o tę małą. Chciał jej starego. Trochę nakręciliśmy, by trafił na Księżyc, ale się nie udało. — Zachichotał bez sensu. - To były ciężkie czasy, bo nigdy

nie jest dobrze, gdy coś idzie nie po Jego myśli. Ale w końcu musiał się zadowolić dzieciakiem. Tim zwrócił mu uwagę, że będzie mógł pohandlować.

Tim wtrącił jedno słowo, które poczytałem za konkluzję tej długiej wypowiedzi. Jock uniósł brwi.

- Słyszałeś przyjemniaczka? Niezłe maniery, co?

Może powinienem siedzieć cicho, bo przecież chciałem się dokopać do faktów, a nie filozofować. Ale tak jak Peewee, gdy czegoś nie rozumiem, mam nieodpartą chęć poznania tego. Nie rozumiałem (i nie rozumiem), co sprawiło, że Jock tak postąpił.

- Jock? Dlaczego to zrobiłeś?

- Co?

- Słuchaj, jesteś istotą ludzką (przynajmniej ją przypominam), jak sam zauważyłeś. My, ludzie, powinniśmy się trzymać razem. Jak mogłeś porwać małą dziewczynkę i oddać ją Jemu!

- Czyś ty zwariował, chłopie!

- Nie sądzę.

- Mówisz jak wariat. Próbowales kiedykolwiek nie robić tego, czego On chciał? Spróbuj kiedyś.

Zrozumiałem, o co mu chodziło. Odmówienie Robakowatemu byłoby jak wejście do jaskini lwa. Jock kontynuował:

- Musisz zrozumieć punkt widzenia innych ludzi. Zawsze powtarzam: „żyj i pozwól żyć”. Złapali nas, gdyśmy się pętali w okolicy; nie dano nam żadnej szansy. Nie umiem walczyć z wiatrakami, to prowadzi donikąd. Zawarliśmy więc umowę: my wykonujemy jego zlecenia, on płaci nam uranem.

Moja iskierka sympatii zgasła. Chciało mi się wymiotować.

- Wzięliście zapłatę?

- No...

Rozejrzałem się po celi.

- Zrobiliście marny interes.

Jock skrzywił się i wyglądał jak nadąsane dziecko.

- Może, ale bądź rozsądny, mały. Nie możesz się opierać czemuś, co jest nieuniknione. Ci goście przychodzą i biorą, co chcą. Sam to widziałeś. Cóż, człowiek musi się liczyć z numerem jeden, no nie? To siła, której nikt inny nie posiadzie. Widziałem coś takiego, gdy miałem mniej więcej tyle lat co ty; to dało mi nauczkę, Nasze miasto przez lata żyło w spokoju, ale Wielki Szefer starzał się, tracił swoją władzę... Wtedy właśnie sprowadzili się jacyś chłopcy z St. Luis. Nagle zrobiło się gorąco. Człowiek musiał myśleć o ratunku, by się nie obudzić w drewnianej skrzynce. Ci, którzy to rozumieli, radzili sobie. Ci, którzy nie... Wiesz, zawsze powtarzam: nie warto płynąć pod prąd. To ma sens, co?

Można było rozumieć jego „logikę”, zakładając, że zaakceptowało się jego wzorzec „wszawego życia”. Ale nie powiedział tego, co najważniejsze.

- Nawet jeśli to ma sens, Jock, to nie rozumiem, jak mogliście tak postąpić z małą dziewczynką.

- Właśnie ci wytłumaczyłem, że nie mogliśmy nic zrobić, nic innego!

- Mogliście. Zakładając nawet, że było tak trudno się z Nim zmierzyć i odmówić wykonania rozkazów, mieliście znakomitą okazję, by mu umknąć.

- Co masz na myśli?

- Wysłał was do Luna City, byście ją znaleźli, jak mówiłeś. Po powrocie mieliście otrzymać premię. Powiedzmy, że uznam tę nieuchronność. Należało jednak siedzieć cicho tam, gdzie nie mógł was dosięgnąć, i wsiąść na następny powrotny statek na Ziemię. Nie musieliście wykonywać brudnej roboty.

- Ale...

Nie dałem mu dokończyć.

- Może nie moglibyście sobie dać z Nim rady na pustyni księżycowej, może nie czulibyście się bezpiecznie nawet w stacji Tombaugh, ale wysłał was do Luna City; mieliście swoją szansę. Nie musieliście wykładać małej dziewczynki i wydawać w ręce tego... tego rybiego potwora.

Zmieszał się, lecz szybko odpowiedział:

- Kip, lubię cię. Dobry z ciebie chłopak. Ale mądry to ty nie jesteś. Nie rozumiesz.

- Myślę, że rozumiem!

- Nie, nie rozumiesz. ~ Pochylił się w moją stronę i chciał położyć rękę na moim kolanie, ale się odsunąłem. Mówił dalej: - Jest coś, o czym ci nie powiedziałem... pomyślisz, że ze strachu byłem czymś... czymś w rodzaju monstrum. Otóż Oni nami sterowali.

- Co?

- Sterowali nami - kontynuował gładko - zainstalowali bomby w naszych głowach. Bomby odpalane zdalnie. Człowiek schodzi z trasy... On wciska guzik: BUUM!!! i mózg jest na całym suficie. - Pogrzebał przy karku. - Wiesz tę bliznę? Włosy mi już odrosły, ale jeśli spojrzysz z

bliska, jestem pewien, że ją zobaczysz; nie mogła całkiem zniknąć. Widzisz?

Zacząłem się przyglądać. Mogłem się nawet na to nabrać. Ostatnio zmuszano mnie do wierzenia w jeszcze mniej prawdopodobne rzeczy. Tim przerwał moje rozważania jednym wulgarnym słowem.

Jock drgnął, lecz się opanował.

- Nie zwracaj na niego uwagi.

Wzruszyłem ramionami i odszedłem. Jock nie odezwał się przez resztę „dnia”. To mi odpowiadało.

Następnego „ranka” Jock wyrwał mnie ze snu gwałtownym szarpaniem za ramię.

- Obudź się, Kip! Obudź się!

Zacząłem szukać po omacku mojej dziecinnej broni.

- Jest tam, przy ścianie - powiedział - ale to już na nic się teraz nie zda.

Podniosłem nożyk.

- Co ty mówisz? Gdzie Tim?

- Nie obudziłeś się?

- Co?

- Tego się właśnie obawiałem. Po prostu muszę z kimś porozmawiać. Przespałeś to?

- Co przespałem? I gdzie jest Tim?

Jock się trząsał i pocił.

- Załatwili nas niebieskim światłem, ot co. Zabrali Tim, - Zadrzał. - Cieszę się, że wypadło na niego. Pomyślałem... cóż, może zauważyłeś, że jestem nieco tęższy, a oni lubią grubych.

- Co ty mówisz? Co oni z nim zrobili?

- Biedny stary Tim. Miał swoje wady, jak każdy, ale teraz jest z niego zupa... ot co - znów zadrżał. - Oni lubią zupę... kości i wszystko.

- Nie wierzę ci, chcesz mnie nastraszyć.

- Doprawdy? - Obejrzał mnie od stóp do głów. - Prawdopodobnie ty będziesz następny. Synu, jeśli masz rozum, weźmiesz ten twój otwieracz do listów i w tym końskim żłobie podetniesz sobie żyły. Tak będzie lepiej.

- Dlaczego sam tego nie zrobisz? - powiedziałem. — Masz, pożyczę ci go.

Pokiwał głową i zadrżał.

- Ja nie mam rozumu.

Nie wiem, co zrobili z Timem. Nie wiem, czy robakowaci jedzą ludzi, czy też nie (nie można powiedzieć „ludożercy”, dla nich możemy być baraniną). Nie byłem specjalnie przerażony, gdyż minęło dużo czasu, od kiedy wybuchły wszelkie zapalniki w moim „kręgu strachu”.

Co się stanie z moim ciałem, gdy to się skończy, nie miało dla mnie znaczenia. Miało jednak dla Jocka, to była jego fobia. Nic uważam, aby Jock był tchórzem, tchórze nawet się nie starają zostać poszukiwaczami na Księżycu. Uwierzył w swoją teorię i bardzo się nią przejmował. Utrzymywał, że ma więcej powodów, by w nią wierzyć, niż mogłem sobie wyobrazić. Był już kiedyś na Plutonie (tak przynajmniej twierdził), skąd drugi człowiek, który mu towarzyszył, nigdy nie powrócił.

Kiedy nadszedł czas posiłku, spadły dwie puszk. Jock powiedział, że nie jest głodny, i zaoferował mi swoją rację. Tej „nocy” siedział, bojąc się zasnąć. Ostatecznie musiałem zasnąć przed nim.

Zbudziłem się z jednego z tych snów, po których nie sposób się ruszyć. Sen był prawdziwy, w tym momencie byłem niewątpliwie unieruchomiony.

Jocka nie było.

Nigdy nie zobaczyłem już żadnego z nich.

Na pewien sposób tęskniłem za nimi... przynajmniej za Jockiem. Ulgą było, że nie musiałem już wiecznie uważać i mogłem się wykapać. Ale przemierzanie w samotności celi z czasem staje się śmiertelnie nudne.

Nie miałem co do nich żadnych złudzeń. Istniały przeszło trzy miliardy ludzi, z którymi wołałbym być zamknięty niż z nimi. Ale oni byli jednak ludźmi.

Tim nie miał zupełnie nic na swoją obronę. Był zimny i bez uczuć, jak gilotyna. Ale Jock miał słabe poczucie dobra i zła, przynajmniej próbował się usprawiedliwiać. Można powiedzieć, że był po prostu słaby.

Ale nie zgadzam się z twierdzeniem, że zrozumieć należy przebaczyć. Jeśli hołdujesz temu twierdzeniu, następną rzeczą, do której dochodzisz, jest wyrozumiałość dla morderców, gwałcicieli i porywaczy. Jednocześnie w jakimś stopniu zapominasz o ich ofiarach. Będę raczej opłakiwał podobnych Peewee niż kryminalistów, których ofiarami padają. Brakowało mi gadaniny Grubego, ale gdyby była sposobność, żeby takie kreatury topić zaraz po urodzeniu, sam zgłosiłbym się na egzekutora. Zwłaszcza gdyby chodziło o Tima.

Jeśliby skończyli jako zupa dla robakowatych, nie byłbym szczególnie zmartwiony, nawet jeśli ja miałbym być następnym w kolejce.

Jako zupa mieli szansę przeżyć swoją najlepszą godzinę.

ROZDZIAŁ 8

Moje beznadziejne rozmyślenia przerwała eksplozja, ostry trzask, basowy grzmot, a potem coś jakby syk uciekającego powietrza. Skoczyłem na równe nogi. Każdy, kto kiedykolwiek był zdany na łaskę kombinezonu kosmicznego, nigdy już nie będzie obojętny na spadek ciśnienia.

— Co, u licha? — krzyknąłem zdziwiony, a po chwili milczenia dodałem: - Ktokolwiek stoi na warcie, niech lepiej uważa, w przeciwnym razie za chwilę będzie zmuszony oddychać zimną, nieprzyjemną mazią.

Na zewnątrz nie było tlenu, to pewne, w każdym razie takiego zdania byli astronomowie, a ja nie miałem zamiaru tego sprawdzać.

- Ktoś nas bombarduje - powiedziałem. - Taką mam przynajmniej nadzieję. A może to tylko trzęsienie ziemi?

Nie użyłem właściwego określenia. Ten artykuł w „Scientific American”, dotyczący „lata” na Plutonie, przepowiadał „ostre izostatyczne przekształcenia” przy jedno-

czesnym wzroście temperatury. Stanowiło to naukowy odpowiednik prostych słów: „Trzymajcie czapki! Nadchodzi niezły kocioł!”

Kiedyś byłem świadkiem trzęsienia ziemi w Santa Barbara i nie potrzebowałem syren alarmowych, by pamiętać o tym, o czym każdy Kalifornijczyk dobrze wie, a inni uczą się podczas jednej lekcji: gdy ziemia zaczyna dygotać, należy natychmiast uciekać z budynków! Tylko że ja nie byłem w stanie zastosować się do tej jedynej zasady.

Jakieś dwie minuty zabrało mi sprawdzenie, czy zasób adrenaliny wyzwoli siłę pozwalającą skoczyć osiemnaście stóp zamiast dwunastu. Nie było szans. Zmarnowałem pół godziny, stojąc beczynnie, jeśli nie liczyć obgryzania paznokci.

- Kip, och, Kip! - usłyszałem, jak ktoś woła mnie po imieniu.

- Peewee! - krzyknąłem. - Tutaj! Peewee!

Cisza trwała wieczność równą trzem uderzeniom serca.

- Kip?

- Tutaj, na dole!

- Kip? Siedzisz w tej dziurze?

- Tak! Nie widzisz mnie? - Zobaczyłem jej głowę na tle światła.

- Widzę, teraz widzę. Och, Kup, tak się cieszę!

- To dlaczego beczysz? Ja też się cieszę.

- Wcale nie beczę - bąknęła. - Och, Kip, Kip...

- Możesz mnie stąd wyciągnąć?

- Hmm... - Obejrzała dokładnie szyb. - Zaczekaj! - zawołała i zniknęła.

Nie było jej chyba przez dwie minuty, a wydawało się, że minął niemal tydzień. Potem wróciła i przyniosła nylonową linę.

- Chwyć mocno! — krzyknęła.
- Chwileczkę. Do czego ją przywiązałaś?
- Do niczego. Sama cię wyciągnę.
- Nie, nie wyciągniesz. Raczej wylądujesz tutaj. Poszukaj czegoś, do czego mogłabyś ją przywiązać.

- Dam radę.
- Przy wiąż linę! Szybko!

Zniknęła znowu, zostawiając koniec liny w moich rękach. Wkrótce usłyszałem z oddali głos:

- Przywiązane!
- Próba! - krzyknąłem i napiąłem linę. Zawisnąłem na niej i wytrzymała. - Wspinam się!

Po chwili stanąłem na górze,

Rzuciła się na mnie, jedno ramię zarzucając mi na szyję, drugim przytrzymując Madame Pompadour. Ja obie rękami ścisnąłem ją w pasie. Wydała się jeszcze mniejsza i drobniejsza, niż pamiętałem.

- To było po prostu straszne, Kip. Poklepałem jej kościste ramionka.
- Tak, wiem. Co teraz robimy? Gdzie jest... - zacząłem, ale wybuchnęła płaczem.
- Kip, myślę, że ona nie żyje.

Mój mózg przestał działać. Byłem jeszcze w nie najlepszym stanie.

- Co takiego? Kto?
- Spojrzała na mnie z bezgranicznym zdziwieniem.
- WIELKA MATKA!

- Och. - Poczulem przyplyw obawy. - Alez, kochanie, jesteś pewna? Przeciez do ostatniej chwili podtrzymywala mnie na duchu i oboje zyliśmy.

- O czym ty mówisz? Och, nie wtedy, Kip, ale teraz.
- Była tutaj?
- Oczywiście. Gdzieżby indziej?

To było głupie pytanie, przeciez kosmos jest ogromny. Juz dawno doszedłem do wniosku, że Wielka Matka nie mogła tu trafić. Jock nawet o niej nie wspomniął. Na pewno powiedzialaby, że tu jest lub wymyśliłby jakieś paskudne kłamstwo, dla samej przyjemności kłamania. Z tego wniosek, że nic miał jej na swojej liście. Możliwe, że wcale jej nic widział, tylko wyrzucenie na moim kombinezonie.

Byłem tak pewien swej „logiki”, że trwało chwilę, nim pozbyłem się złudzeń i zaakceptowałem fakty.

- Peewee - powiedziałem bliski łez - czuję się tak, jakbym stracił własną matkę. Jesteś pewna?

- Tak mi się zdaje - powiedziała automatycznie - nie jestem pewna..., ale jest na zewnątrz, więc nie może żyć.

- Chwilę. Jeśli jest na zewnątrz, to ma na sobie kombinezon? Prawda?

- Nie, nie! Nie miała go, odkąd zniszczyli jej statek.

Byłem coraz bardziej załamany.

- Jak ją tu dostarczyli?

- Po prostu wrzucili do worka, zawiązali go i nieśli.

Kip, co teraz zrobimy?

Było kilka możliwości, wszystkie były złe. Rozpatrywałem je wielokrotnie podczas mojego pobytu w więzieniu.

- Gdzie jest Robakowaty? Gdzie są wszyscy robakowaci?

- Och, jak sędę, wszyscy nie żyją.
- Mam nadzieję, że tak jest. — Rozejrzałem się wokół za jakąś bronią, ale nigdy jeszcze nie widziałem równie puste-go korytarza. Mój nóż leżał oddalony zaledwie o osiemnaście stóp, ale nie miałem zamiaru po niego schodzić. - Dlaczego tak sądzisz?

Peewee miała powód, by nabrać takiego przekonania. Wielka Matka nie wyglądała na wystarczająco silną, by choćby podrzeć papier, ale braki w mięśniach nadrabiała rozumem. Dokonała tego, czego ja bezskutecznie próbowałem. Znalazła sposób, by rzucić im wszystkim wyzwanie.

Nie mogła się śpieszyć, bo jej plan miał wiele elementów, wszystkie musiały idealnie współgrać, a wiele z nich nie podlegało jej wpływowi. Należało więc czekać na stosowną chwilę.

Po pierwsze, musiała wybrać moment, kiedy dookoła kręciło się niewielu robakowatych. Baza była naprawdę wielkim składem zapasów, portem kosmicznym i ważnym punktem kontaktowym, ale nie wymagała licznej załogi. Była zatłoczona bardziej niż zwykle przez ten krótki czas, gdy tu byliśmy.

Po drugie, wewnątrz nie mogło być żadnych statków, bo nie była w stanie walczyć z nimi.

Po trzecie, godzina zero musiała przypadać na moment, gdy robakowaci jedli. Wszyscy posilali się wspólnie, ponieważ było ich tak niewielu, że nie musieli na zmianę korzystać ze „stołówek”. Stłoczeni wokół jednej wielkiej misy, jak miemam, wylizywali ją. (Przypomniała mi się scena z piekła Dantego). Było to miejsce, w którym zgromadzili się wszyscy jej wrogowie, poza może jednym lub

dwoma na inżynierskich czy komunikacyjnych posterunkach.

- Chwila! - wtrąciłem. - Powiedziałaś, że wszyscy nie żyją?

- No... nie wiem. Żadnego nie widziałam.

- Nie rób nic, dopóki nie znajdę czegoś, czym można walczyć.

- Ale...

- Przede wszystkim sprawy najważniejsze, Peewee.

Nie wystarczy jednak oznajmić, że zamierza się znaleźć broń. Korytarz składał się z samych dziur, podobnych do tej, w której siedziałem, dlatego Peewee mnie tam szukała. To było jedno z kilku miejsc, do których nie miała wstępu. Jock mówił prawdę w tym wypadku: Peewee i Wielka Matka były tu traktowane w sposób wyjątkowy, zapewniono im wszelkie przywileje poza wolnością. Natomiast Jock, Tim, no i ja byliśmy więźniami trzeciej kategorii lub po prostu mięsem na zupę. To pasowało do tezy, że Peewee i Wielka Matka były raczej zakładniczkami niż zwykłymi więźniarkami.

Nie badałem dalej tych dziur, gdy w jednej z nich zobaczyłem ludzki szkielet; może znudziło im się wrzucanie puszek. Gdy wstałem, Peewee spytała:

- Dlaczego się wzdrygnąłeś?

- Wydawało ci się. Chodźmy.

- Chcę zobaczyć.

- Peewee, każda sekunda się liczy, a my na razie nie zrobiliśmy nic. Idź za mną.

Ustrzegłem ją przed widokiem szkieletu (największy tryumf nad tym małym kłębkim ciekawości), choć praw-

dopodobnie nie przeraziłoby jej to zbyt. Peewee była sentymentalna tylko wtedy, gdy miała na to ochotę.

„Idź za mną” - to brzmiało z pozoru właściwie, ale nie było niczym umotywowane. Zapomniałem, że atak mógł nastąpić z tyłu. Powinienem raczej powiedzieć: „Idź za mną i spoglądaj za siebie”.

Ale ona tak właśnie zrobiła. Usłyszałem pisk; odwróciłem się i zobaczyłem robakowatego z tym przedmiotem podobnym do kamery, wycelowanym w moim kierunku. Mimo że Tim użył tego przeciwko mnie, nie wiedziałem, co to jest. Na moment zamarłem.

Ale nie Peewee. Wyskoczyła, atakując rękami i nogami z niesłychaną śmiałością i zupełną lekkomyślnością kociaka.

To mnie uratowało. Jej atak nie zraniłby nikogo poza innym kociakiem, ale robakowatego tak to zdezorientowało, że nie zrobił tego, co zamierzał, a miał zamiar sparaliżować mnie lub zabić. Potknął się i upadł.

I zdeptałem go. Gołymi stopami zdeptałem go, skacząc po jego głowie jak na scenie z horroru.

Jego głowa chrupnęła. Czuję się obrzydliwie. To było jak skakanie po kartoniku z truskawkami. Miałem wrażenie, że pęka i rozpada się na kawałki. Zamarłem z odrazy, mimo iż byłem zmuszony walczyć i zabić.

Odkoczyłem, było mi niedobrze. Podniosłem Peewee i odciągnąłem ją do tyłu, równie mocno pragnąc teraz umyć ręce i nogi, jak przed paroma sekundami chciałem stoczyć walkę.

Nie zabiłem jednak tego stwora. Przez straszną chwilę myślałem, że będę musiał wszystko powtórzyć. Potem spo-

strzegłem, że choć żył, nie był świadomy naszej obecności. Dygotał konwulsyjnie, jak dopiero co zabity kurczak, po czym uspokoił się i ruszył przed siebie.

Ale nic nie widział. Rozgniotłem mu oczy, może także uszy, ale te straszne oczy na pewno. Pokręcił się po omacku na podłodze, potem wstał na nogi, zupełnie zdrowe, choć głowa była miazgą. Stał spokojnie, jak oparty na trójnogu, i węszył. Cofnęliśmy się przezornie do tyłu.

Zaczął powoli iść. Nie w naszym kierunku, inaczej wpadłbym w panikę. Szedł, objając się o ściany, i dotarł do jednej z tych dziur, które służyły jako więzienia, zrobił krok i wpadł do środka.

Odetchnąłem z ulgą i spostrzegłem, że trzymałem Peewee tak mocno, iż niemal nie mogła oddychać. Postawiłem ją na podłodze.

- Tam leży broń - powiedziała.
- Hmm?
- Na ziemi. Zaraz obok miejsca, gdzie upuściłam Madame Pompadour. - Podniosła swoją lalkę, strzepnęła z niej kawałki robakowatego, poczym wzięła tę rzecz wyglądającą jak kamera i podała mi ją.
- Uważaj. Nie celuj w siebie ani we mnie,
- Peewee, czy tobie nigdy nie puszczają nerwy? - spytałem słabym głosem.
- Oczywiście, że tak. Gdy mam na to czas. Teraz nie mam. Wiesz, jak posługiwać się tym pistoletem?
- Nie, a ty?
- Myślę, że tak. Widziałam, jak to się robi, i Wielka Matka też mi coś o tym wspominała. - Wzięła broń do ręki, trzymając ją całkiem swobodnie, lecz nie zwracając

lufy w naszą stronę. - Widzisz te dwa otwory na końcu? Gdy odsłonisz jeden, broń ogłusza, gdy odkryjesz oba, zabija. Aby strzelić, naciśnij tutaj. - Nacisnęła i jasne, błękitne światło uderzyło o ścianę. - Samo światło jest nieszkodliwe - dodała - pomaga tylko w celowaniu. Mam nadzieję, że nie było nikogo za tą ścianą. Nie, mam nadzieję, że był. Wiesz, co mam na myśli.

Broń wyglądała jak aparat z dużym obiektywem. Bardzo ostrożnie wziąłem pistolet do ręki i obejrzałem go. Następnie wypróbowałem, włączając przez przypadek pełną moc.

Snop błękitnego światła przeciął powietrze, a ściana w miejscu trafienia błysnęła i zaczęła dymić. Wyłączyłem.

- Zmarnowałeś jeden ładunek — zbesztala mnie Peewee. - Być może będziesz go później potrzebował.

- No, musiałem przecież spróbować. Daj spokój, chodźmy.

Peewee zerknęła na swój zegarek z Myszką Miki i zrobiło mi się głupio; ta jej zabawka działała najwyraźniej bez zarzutu, a tymczasem mój niesamowity chronometr stał.

- Mamy bardzo niewiele czasu, Kip. Możemy założyć, że tylko temu jednemu udało się uniknąć śmierci?

- Co? Oczywiście, że nie możemy! Dopóki nie będziemy pewni, że wszyscy robakowaci są martwi, nie możemy myśleć o niczym innym. Chodźmy.

- Ale ja będę prowadzić. Znam drogę.

- Nie.

- Tak!

I stało się tak, jak chciała: ona prowadziła oraz niosła miotacz błękitnego światła, gdy ja zabezpieczałem tyły i

marzyłem o trzecim oku, to jest takim, jakie mieli robakowaci. Nie mogłem argumentować, że mam szybszy refleks, gdyż nie miałem, a poza tym ona wiedziała więcej o naszej broni. Niemniej jednak powstała sytuacja bardzo dla mnie niezręczna.

Baza była olbrzymia: połowa tej wielkiej góry, którą widzieliśmy na zewnątrz, musiała zostać podziurawiona jak plaster miodu. Przemierzaliśmy korytarze szybkim truchtem, nie zwracając uwagi na rzeczy równie unikatowe jak muzealne eksponaty, a jednocześnie dwa razy bardziej interesujące. Rozglądaliśmy się uważnie, wypatrując robakowatych. Peewee biegła z bronią w pogotowiu, nieustannie gadając i ponaglając mnie.

Poza prawie pustą bazą, brakiem statków i wszystkich robakowatych zajętych jedzeniem, plan Wielkiej Matki wymagał, by to wszystko stało się na krótko przed nastaniem nocy na Plutonie.

- Dlaczego? - wysapałem.
- Oczywiście dlatego, by mogła zawiadomić swoich ludzi.
- Ale... - Umilkłem. Myślałem o ludziach Wielkiej Matki, lecz przecież o niej wiedziałem mniej niż o Robakowatym. Wiedziałem jedynie to, że była wszystkim, co uczyniło z niej Wielką Matkę. Teraz nie żyła - Peewee powiedziała, że wyszła na zewnątrz bez kombinezonu, więc na pewno nie żyła. Ta mała, miękka, ciepła kulka nie przetrwałaby dwóch sekund w tym ultraarktycznym klimacie. Nie wspominając już o uduszeniu i krwotoku płucnym.

Oczywiście, Peewee mogła się mylić. Muszę przyznać, że rzadko się myliła. Ale to mógł być ten raz... w takim wy-

padku mamy szansę odnaleźć Wielką Matkę. Ale jeśli jej nie znajdziemy, to znaczy, że wyszła na zewnątrz i...

- Peewee, wiesz, gdzie jest mój kombinezon?

- Hmm? No pewnie. Niedaleko miejsca, skąd wzięłam to. - Pokazała nylonową linkę, którą owinęła wokół talii i zawiązała na kokardkę.

- W takim razie, zaraz jak tylko się upewnimy, że w bazie nie ma już robakowatych, wyjdę na zewnątrz poszukać Wielkiej Matki!

- Tak, tak! Ale musimy znaleźć także mój kombinezon. Pójdę z tobą.

Niewątpliwie. Może jednak mógłbym ją zmusić, by pozostała w tunelu, ukryta przed bezlitosnym wiatrem.

- Peewee, dlaczego wiadomość musiała być wysłana nocą? Do statku na orbicie rotacyjnej? A może...

Moje słowa przerwał straszny łomot. Podłoga zadrżała. Takie wibracje przerażają zarówno zwierzęta, jak i ludzi. Zamarliśmy.

- Co to było? - wyszeptała Peewee.

Przełknąłem ślinę.

- Jeśli to nie jest część przedstawienia zaplanowanego przez Wielką Matkę...

- Raczej nie.

- Trzęsienie ziemi?

- Trzęsienie Plutona. Peewee, musimy się stąd wydostać!

Nie myślałem o tym, dokąd uciekać, o tym, co normalne w czasie trzęsienia.

- Nie możemy się zajmować trzęsieniem, Kap - jęknęła Peewee. - Nie ma na to czasu. Szybciej, szybciej, Kip! -

Zaczęła biec; ruszyłem za nią, zaciskając zęby. Jeśli Peewee mogła zignorować trzęsienie, to i ja mogłem, choć można było to przyrównać do zlekceważenia grzechotnika w łóżku.

- Peewee... ludzie Wielkiej Matki... czy ich statek krąży na orbicie Plutona?

- Co? Och, nie, nie! Oni nie są na statku.

- Więc dlaczego w nocy? Chodzi o zmienne pole magnetyczne? Jak daleko jest ich baza? - Zastanawiałem się, jak daleko człowiek może tutaj zejść. Na Księżycu zrobiliśmy około czterdziestu mil. Czy tutaj moglibyśmy zrobić czterdzieści kroków? Albo nawet czterdzieści jardów? Można osłonić nogi, ale ten wiatr...

- Peewee, oni tutaj chyba nie mieszkają?

- Co? Nie bądź głupi! Mają własną, przytulną planetę. Jeśli nie przestaniesz zadawać głupich pytań, na pewno się spóźnimy, więc milcz i słuchaj.

Zamilkłem. Pozostało mi biec i rozmyślać. Kiedy Wielka Matka została złapana, straciła swój statek, ekwipunek, nadajnik — Robakowaty zniszczył wszystko. Doszło do zdrady. Została złapana w trakcie pertraktacji, naruszono ro-zejm.

- Zgarnął ją, kiedy mieli być nietykalni - objaśniła wzburzona Peewee. - To niesprawiedliwe! Obiecał.

To, że Robakowaty może zdradzić, było równie oczywiste, jak istnienie Słońca. Dziwiłem się, że Wielka Matka w ogóle chciała z nim paktować! Została w ten sposób uwięziona przez bezwzględne monstrum, posiadające statki, przy których nasze wyglądały jak powozy bez koni. I ta broń, której siła rażenia zaczynała się od poziomu

„śmierć”, a kończyła Bóg wie gdzie. Do tego bazy, zaplecze techniczne i zapasy.

Ona zaś miała tylko swój rozum i drobne, delikatne ręce.

Zanim skorzystałaby z wyjątkowo dogodnego zbiegu okoliczności, dających jakąś szansę na powodzenie, musiałaby najpierw wymienić swój nadajnik (myślę o nim jako o „radiu”, ale to było coś więcej) i dysponować bronią. Aby móc skorzystać z broni i nadajnika, należało je najpierw zbudować.

Wielka Matka nie miała przy sobie niczego, poza trójkątnym symbolem z wrytymi spiralami. Aby zmontować najprostsze nawet urządzenie, musiałaby mieć dostęp do pomieszczeń w rodzaju laboratoriów elektronicznych. Nie dlatego tak myślałem, że to ja miałem w oczach salę, gdzie zmagalem się z elektroniką. Po prostu, dokonując operacji na elektronach, trzeba się kierować określoną logiką. Jeżeli elektrony mają się poruszać tak, jak tego sobie życzysz, podzespoły muszą odpowiednio wyglądać, bez względu na to, czy są budowane przez ludzi, robakowatych czy przez Wielką Matkę. Ich kształt bierze się z praw natury: światłowód albo induktor mają swoją konieczną geometrię, niezależnie od tego, kto jest ich konstruktorem.

Tak więc zobaczyliśmy coś, co wyglądało jak laboratorium elektroniczne w najlepszym stylu. W środku było wiele sprzętów, których przeznaczenia nie znałem, ale czułem, że mógłbym poznać, gdybym tylko miał czas. Wtedy miałem okazję rzucić na nie jedynie przelotne spojrzenie.

Wielka Matka spędziła tam wiele, wiele godzin. Nie miała na to z początku pozwolenia, choć jak na więźniarkę,

korzystała z dużej swobody i nawet mogła się spotykać z Peewee. Myślę, że Robakowaty mimo wszystko czuł przed nią respekt i tak naprawdę wolał jej nie dokuczać bez potrzeby.

Korzystała z zasobów robakowatych przez podsycanie ich chciwości. Jej ziomkowie mieli wiele rzeczy, których nie posiadali robakowaci: urządzenia, wynalazki, udoskonalenia. Zaczęła od pytań, dlaczego coś robili w ten sposób, skoro mogli w inny, bardziej efektywny. Czy to przez tradycję? Czy może są to powody religijne?

Gdy ją pytano, co ma na myśli, robiła tajemniczą minę i odmawiała odpowiedzi. Mówiła, że nie może im wszystkiego wyjaśnić, choć właściwie wielka szkoda, bo to, co oni osiągają z trudem, jest w istocie takie łatwe i proste w budowie. Udawała, że stopniowo ulega.

Pod ścisłą kontrolą skonstruowała urządzenie, które działało. Potem następne. W laboratorium bywała codziennie, budując różne rzeczy dla swych ciemieńców; rzeczy, z których byli zadowoleni. Zawsze dotrzymywała słowa; od tego zależały jej przywileje.

Ale każde urządzenie zawierało części potrzebne jej samej.

- Wykradała podzespoły, potrzebne elementy i wynosiła w woreczku - powiedziała mi Peewee. - Robakowaci nigdy dokładnie nie wiedzieli, co robiła. Wykorzystywała pięć części, a szóstą wrzucała do woreczka.

- Woreczka?

- Oczywiście. Tego, do którego schowała „mózg”, gdy porwałyśmy statek. Nie wiedziałeś?

- Nie wiedziałem, że ma woreczek.

- Cóż, oni też nie. Sprawdzali, czy nie wynosi czegośkolwiek z magazynu, i nie wynosiła. Przynajmniej nie tak, żeby widzieli.

- Czy Wielka Matka jest torbaczem, Peewee?

- Hmm? Tak jak miś koala? Nie musisz być torbaczem, by mieć woreczek. A wiewiórki... mają woreczki w policzkach.

- Hmm, no tak.

— Podkradała raz to, drugi raz tamto, ja też podbiebrałam różne rzeczy. Przez resztę czasu Wielka Matka pracowała nad nimi w naszym pokoju.

Wielka Matka nie spała w czasie naszego całego pobytu na Plutonie. Pracowała wiele godzin oficjalnie, robiąc coś dla robakowatych: stereofon nie większy niż paczka papierosów, drobne urządzone podobne do żuka, które przechodziło przez wszystko, na czym zostało postawione, i w ogóle wiele innych rzeczy. Ale w godzinach samotności, przeznaczonych na odpoczynek, pracowała dla siebie, zwykle w ciemnościach, a jej drobne paluszki były nieustannie w ruchu, zajęte jak palce niewidomych.

Zrobiła dwie bomby i urządzenie, które można by nazwać radionadajnikiem lub radiolatarnią o dalekim zasięgu.

Nie dowiedziałem się tego wszystkiego od Peewee podczas naszego marszu przez bazę. Krzyknęła jedynie przez ramię, że Wielkiej Matce udało się złożyć radiolatarnię i że wybuch, który czułem, był jej dziełem. I że musimy się śpieszyć, śpieszyć, śpieszyć!

- Peewee - powiedziałem, sapiąc — po co ten śpiech? Jeśli Wielka Matka jest na zewnątrz, chcę ją wnieść,

to znaczy jej ciało. Ale ty się zachowujesz tak, jak gdyby zostało nam mało czasu i trwało odliczanie.

— Bo tak jest!

Radionadajnik musiał być umieszczony na zewnątrz o tej szczególnej porze (dzień na Plutonie trwa około tygodnia; astronomowie znowu mieli rację), kiedy planeta nie zasłaniałaby wiązki fal. Ale Wielka Matka nie miała kombinezonu kosmicznego. Postanowiły, że Peewee weźmie kombinezon, wyjdzie z bazy i ustawi latarnię; była tak zaprojektowana, że Peewee musiała tylko ruszyć przełącznik. Wszystko zależało od tego, czy znajdą miejsce, gdzie przechowywano jej kombinezon. Miała się tam włamać i zabrać go, po uprzednim unieszkodliwieniu robakowatych.

Nie zdołały odnaleźć kombinezonu. Wielka Matka przemówiła wtedy spokojnie, śpiewając, że niemal słyszałem dzwonięcie w mojej głowie:

(- To nic, kochanie. Mogę wyjść i sama ustawić radiołatarnię.)

- Wielka Matko! Nie możesz! - zaprotestowała Peewee. - Tam jest bardzo zimno.

(- To nie potrwa długo.)

- Nie będziesz mogła oddychać.

- To nie będzie konieczne przez tak krótki czas.

To zakończyło sprawę. W pewnych okolicznościach dyskutować z nią przychodziło równie trudno, co z Robakowatym.

Bomby były gotowe, nadajnik również i wreszcie nadszedł ten właściwy moment. Nie spodziewano się statków, w bazie przebywało niewielu robakowatych, Pluton wchodził we właściwą strefę, a załoga miała przerwę na posi-

łek. Wciąż jednak nie wiedziały, gdzie jest kombinezon Peewee. Wielka Matka postanowiła iść.

- Ale ona mówiła jeszcze parę godzin temu, że gdyby nie wróciła po dziesięciu minutach, mam znaleźć kombinezon i sama włączyć nadajnik. - Peewee zaczęła płakać. - P...p... pierwszy raz przyznała, że nie jest pewna, czy wszystko pójdzie dobrze!

- Peewee! Przestań! Co się stało później?

- Poczekałam na eksplozję: obie nastąpiły równocześnie, i zaczęłam przeszukiwać miejsca, do których nie miałam prawa wchodzić. Ale nie mogłam znaleźć mojego kombinezonu! Potem znalazłam ciebie i, och, Kip, ona jest na zewnątrz od prawie godziny!

Popatrzyła na zegarek.

- Zostało nam jakieś dwadzieścia minut. Jeżeli w tym czasie latarnia nie zostanie włączona, to przeszła przez to wszystko i umarła na próżno! Jej by się to nie spodobało.

- Gdzie jest mój kombinezon?!

Nie spotkaliśmy więcej robakowatych - najwidoczniej tylko ten jeden pełnił wartość, gdy reszta się posilała. Peewee pokazała mi drzwi, za którymi znajdowała się „stołówka”. Bomba mogła wysadzić ten sektor, gdyż hermetyczne drzwi same się zamknęły, gdy ci, którzy byli w środku, zostali rozerwani na kawałki. Pobiegliśmy dalej.

W końcu znaleźliśmy mój kombinezon. W pomieszczeniu było więcej skafandrów dla humanoidów. Ciekawe, ile talerzy zupy musiały zjadać te obrzydlistwa. No, ale teraz już koniec z obiadekami! Nie było czasu do stracenia, krzyknąłem więc tylko:

- Cześć, Oskar! - i zacząłem się ubierać.

(- Gdzie się podziewałeś, stary?)

Oskar był w świetnej formie. Tuż obok leżał kombinezon Grubego, a dalej Tima. Obrzuciłem je pożądlwym spojrzeniem, bo przyszło mi do głowy, że może mógłbym wymontować z nich jakieś urządzenia. Peewee oglądała kombinezon Tima.

- Może mogłabym ubrać ten.

Był o wiele mniejszy od Oskara, dzięki czemu tylko o dziesięć numerów za duży dla Peewee.

- Nie bądź niemądra. Pasuje ci jak skarpetki kogutowi. Lepiej mi pomóż. Zdejmij tę linę, zwiń i przytroczonej do mojego pasa.

- Nie będzie ci potrzebna. Wielka Matka postanowiła wynieść radiolatarnię na około stu jardów w górę tej głównej drogi i tam ją ustawić. Jeżeli nie zdołała wykonać planu, to znaczy zanieść nadajnika na miejsce, a później przestawić dźwigni do góry...

- Nie dyskutuj! Ile mamy czasu?

- Dobra, Kip. Osiemnaście minut.

- Wiatry są tutaj bardzo porywiste ~ wyjaśniłem - więc mogę potrzebować liny.

Wielka Matka nie ważyła wiele. Jeśli została zdmuchnięta z drogi, lina może się przydać, by wydostać jej ciało.

- Podaj mi ten młotek przytroczonej do kombinezonu Grubego,

- Już się robi!

Wstałem. Dobrze się czułem, mając Oskara na sobie. Potem przypomniałem sobie, jak zmarzły mi nogi w drodze ze statku do bazy.

- Szkoda, że nie mam azbestowych butów.

Peewee wyglądała na wystraszoną.

- Zaczekaj tutaj! - Zniknęła, zanim zdążyłem ją powstrzymać. Nie wzięła broni. Zacząłem się dopinać.

- Szczelnie zapięty, Oskarze?

(— Szczelnie, stary!)

Zawór przy policzku w porządku, kolor krwi w porządku, radio zbędne, pojemnik na wodę był popsuty. Nie ważne, nie zdążę poczuć pragnienia. Odkręciłem zawór przy policzku, nastawiając niskie ciśnienie, gdyż wiedziałem, że ciśnienie na zewnątrz jest bardzo niskie.

Peewee wróciła z czymś, co wyglądało jak baletki dla słońątka. Przysunęła twarz do wizjera na moim kasku i wrzasnęła:

- Oni noszą to. Dasz radę je założyć?

Wydawało się to nieprawdopodobne, ale założyłem je na siłę jak zbyt małe skarpetki. Wstałem i stwierdziłem, że polepszyły przyczepność i choć niezgrabne, nie utrudniały chodzenia.

Chwilę później staliśmy przy wyjściu z wielkiej sali. Drzwi od śluzy powietrznej były teraz zamknięte, dzięki kolejnej bombie, którą Wielka Matka tam umieściła, by wysadzić urządzenia sterownicze po drugiej stronie. Bomba w jadalni została podłożona przez Peewee, która później uciekła do swego pokoju. Nie wiem, czy Wielka Matka nastawiła obie bomby na ten sam czas, czy włączyła je zdalnie, w każdym razie urządziły krwawą jatkę w bazie robakowatych.

Peewee wiedziała, jak wypuścić powietrze przez śluzę. Gdy wewnętrzne drzwi się otworzyły, wrzasnąłem:

- Czas?!

- Czternaście minut. - Uniosła zegarek.
- Pamiętaj, co ci powiedziałem. Siedź tutaj. Jeśli coś się poruszy, najpierw strzelaj tym niebieskim światłem, później zadawaj pytania.
- Będę pamiętać.

Wszedłem do środka, zamknąłem wewnętrzne drzwi, znalazłem zawór w zewnętrznych drzwiach i zaczekałem, aż ciśnienie się wyrówna.

Dwie lub trzy minuty, zanim rozwarły się zewnętrzne drzwi, spędziłem na ponurych rozmyślaniach. Nie chciałem zostawiać Peewee samej. Wydawało mi się, że wszyscy robakowaci zginęli, ale nie miałem pewności. Przeszukaliśmy bazę w pośpiechu, któryś mógł się nam wymknąć. Byli przecież diabelnie szybcy.

Poza tym Peewee powiedziała: „Będę pamiętać”. Powinna powiedzieć: „Dobra, Kip, tak będzie”. Przejęzyczenie? Ten sprytny rozumek „przejęzyczą! się” tylko wtedy, kiedy chciał. Między „tak” a „może” istnieje olbrzymia różnica.

Na dodatek przyświecał mi nedorzeczny cel. Głównie zamierzałem odnaleźć ciało Wielkiej Matki: głupota, zepsułoby się, gdybym je tu przyniósł. Lepiej byłoby już zostawić ją na ostrym mrozie. Z drugiej strony nie mogłem na to pozwolić. Tam było przeraźliwie zimno, nie mogłbym jej tak zostawić. Była taka mała i ciepła... tak pełna życia. Musiałem zabrać ją do środka i ogrzać.

Jesteś w marnej formie, jeśli emocje zmuszają cię do zrobienia czegoś, co uważasz za głupie, pomyślałem.

Wszystko działo się przy tym w piekielnym pośpiechu. Wielka Matka chciała, aby włączyć radiolatarnię w okre-

ślonym momencie, do którego teraz zostało już tylko dwanaście minut, może dziesięć. Hm, postaram się, ale jaki to ma sens? Powiedzmy, że jej rodzinna gwiazda jest tak daleko jak - niech będzie jak Proxima Centauri, a robakowaci przybyli z jakiejś jeszcze bardziej oddalonej gwiazdy. Nawet jeśli jej nadajnik działa, to miną co najmniej cztery lata, zanim SOS dotrze do jej przyjaciół.

Wielkiej Matce mogło to z powodzeniem wystarczyć. Miałem wrażenie, że żyła bardzo długo i że kilkuletnie oczekiwanie na ratunek nie zrobiłoby jej różnicy. Ale Pee-wee i ja nie byliśmy stworzeniami jej pokroju. Bylibyśmy martwi, zanim ta wiadomość z prędkością światła dotarłaby do Proxima Centauri. Cieszyłem się, że znowu byłem z Peewee, ale wiedziałem, co nam pozostało. Śmierć za dzień, tydzień, miesiąc najdłużej, z braku powietrza, wody czy jedzenia. Albo statek robakowatych mógł wylądować przed naszą śmiercią, co oznaczało walkę, w której - jeśli byśmy mieli szczęście - zginęlibyśmy od razu.

Bez względu na to, co myślisz, podłożenie tej bomby byłoby „spełnieniem ostatniej woli zmarłego” - słowa, które się słyszy na pogrzebach. Sentymentalny głupiec.

Zewnętrzne drzwi zaczęły się otwierać. Ave, Wielka Matko! Nos morituri...

Było zimno, paskudnie zimno, mimo że nie stałem jeszcze na tym wietrze. Świeące panele wciąż działały i mogłem dostrzec, że tunel był w strasznym nieładzie, zawory frakcyjno-ciśnieniowe popękały jak błona bębenkowa. Zastanawiało mnie, jaki rodzaj bomb Wielka Matka zmontowała ze skradzionych części. Były przecież tak małe, że dawały się ukryć w zagłębieniu ciała wraz z czymś w

rodzaju radia. Mimo to całość miała dostateczną moc, by wysadzić te panele. Wybuch spowodował wstrząs w promieniu kilku setek stóp, daleko wśród skał.

Pierwszy tuzin płyt wpadł do środka. Czyżby bombę założyła w połowie tunelu? Tak silny wybuch zmiotłby ją jak piórko. Bombę musiała założyć u wylotu, a potem wejść do środka i spowodować wybuch, a następnie wycofać się przez bramę, tę samą co ja. Jedynie tak to sobie mogłem wyobrazić.

Z każdym krokiem robiło się bardziej lodowato. Moje stopy nie były jeszcze zbyt zimne — te pokraczne łapcie dobrze się spisywały; robakowaci znali się na izolacjach.

- Oskar, masz włączone ogrzewanie?

(- Na maksa. To po prostu zimna noc.)

- Mnie to mówisz!

Znalazłem ją zaraz za najdalszymi wyrzuconymi eksplozją płytami. Upadła, jakby zbyt zmęczona, by iść dalej. Ramiona miała wyciągnięte przed siebie, na podłodze tunelu. Pod jej drobnymi palcami leżało okrągłe pudełko wielkości puderniczki.

Jej twarz była spokojna, oczy miała otwarte, membrany były zarysowane jak wtedy, kiedy widziałem ją na pastwisku za naszym domem kilka dni, tygodni lub tysiąc lat temu. Ale wtedy była ranna i na taką wyglądała, teraz jednak niemal oczekiwałem, że spojrzy na mnie i zaśpiewa na powitanie.

Dotknąłem jej. Była twarda jak lód i znacznie zimniejsza. Wstrzymałem łzy i nie traciłem ani chwili. Chciałem, by to małe pudełko dotarło o sto jardów stąd, na drogę dojazdową, i zadziało. Chciałem też, aby to się stało w cią-

gu następnych sześciu czy siedmiu minut. Zostawiłem ją. Do zobaczenia, Wielka Matko! Wracam!

(- Zwiewaj, stary!)

(- Dziękuję, Kip...)

Nie wierzę w duchy. Tyle razy słyszałem, jak mówi „dziękuję”, że wryło mi się to widać w pamięć.

Kilka stóp dalej, u wlotu tunelu, zatrzymałem się. Uderzył we mnie wiatr i zrobiło się tak lodowato, że śmiertelny ziąb, jaki panował w tunelu, wydał mi się letnim upałem. Zamknąłem oczy i policzyłem do trzydziestu, by mieć czas na przystosowanie się do gwiazdnego światła. Dotarłem na zawietrzną stronę tunelu, do okrągłych podpór pomostu wiodącego w stronę gór. Potem przywiązałem moją linę do słupa. Wiedziałem, że na zewnątrz jest noc i spodziewałem się ujrzeć pomost wyraźnie na tle „śniegu” połyskującego pod niebem pełnym gwiazd. Myślałem, że byłoby łatwiej na tej chwiejnej drodze, gdybym mógł widzieć jej krańce. Nie mogłem użyć lampy, chyba że machałbym cały czas ramionami tam i z powrotem, a to byłoby nieporęczne, groziło utratą równowagi i upadkiem.

Rozważyłem wszystko dokładnie. Nie uważałem tej wyprawy za przechadzkę po ogrodzie - nie w nocy, nie na Plutonie! Więc policzyłem do trzydziestu i obwiązałem się liną. Otworzyłem oczy.

I nie widziałem nic!

Żadnej gwiazdy. Nawet różnicy między niebem a ziemią. Stałem tyłem do tunelu, a hełm osłaniał moją twarz jak kapelusz słoneczny. Powinienem widzieć drogę. Nic.

Obróciłem się i zobaczyłem coś, co tłumaczyło zarówno czerń nieba, jak i wstrząs, który odczuliśmy. Był to ak-

tywny wulkan. Mógł być oddalony o 5 albo o 50 mil, ale nie miałem wątpliwości, co to było - postrzępiona czerwona szrama nisko nad powierzchnią.

Nie przestawałem się gapić. Włączyłem zamontowaną na hełmie lampę, oświetliłem krawędź od nawietrznej strony i nieporadnie ruszyłem truchtem. Postanowiłem trzymać się tej strony, aby w razie potknięcia mieć całą szerokość drogi na powstanie, zanim zdmuchnąłby mnie wiatr. Właśnie wiatr mnie przerażał. Zwój liny trzymałem w lewej ręce, wypuszczałem ją, idąc, i trzymałem cały czas napiętą. Pętla sztywniała mi w ręce.

Wiatr nie tylko mnie przerażał, ale i katował. Palił i smagał, paraliżował. Moja prawa strona, przyjmując impet wiatru, zamarła, co sprawiało, że lewa strona bolała jeszcze bardziej.

Nie czułem już liny. Zatrzymałem się i pochyliłem, umieściłem węzeł w świetle reflektora, nawiasem mówiąc, to następna rzecz, która wymaga udoskonalenia! Lampa na hełmie powinna się obracać.

Wypuściłem już połowę zwoju, uszedłem dobre 50 jardów. Wiedziałem to dzięki linie - była to stumetrowa lina do wspinaczki, więc gdybym doszedł do jej końca, byłbym tak daleko, jak tego chciała Wielka Matka.

- Szybko, Kip!

(- Staraj się, chłopcze! Tu jest strasznie zimno.)

Ponownie się zatrzymałem. Czy miałem pudełko? Nie czułem go. Światło lampki ukazało jednak moją prawą rękę zaciskającą pudełko. Tak trzymać palce! Ruszyłem licząc kroki. Jeden! Dwa! Trzy! Cztery!

Gdy doliczyłem do czterdziestu, stanąłem i zerknąłem nad krawędzią w dół. Byłem na najwyższym poziomie, gdzie szlak biegł nad strumykiem; przypomniałem sobie, że była to mniej więcej połowa drogi. Ten strumyk, chyba metanu, był całkowicie zamrożony. Ta noc była rzeczywiście bardzo zimna.

Zostało mi w dłoni jeszcze kilka zwojów liny, prawie w sam raz. Upuściłem linę, ostrożnie wysunąłem się na środek drogi, klęknąłem, opierając się na lewej ręce, i spróbowałem położyć pudełko. Nie mogłem wyprostować palców. Wygiąłem je lewą ręką i wydarłem pudełko z pięści. Diabelny wiatr omal mi go nie porwał. Ustawiłem je ostrożnie.

(- Ruszaj palcami, stary. Uderzaj jedną ręką o drugą.)

Tak zrobiłem. Mogłem napiąć mięśnie przedramienia, mimo iż bolały mnie przez to palce. Niezdarnie mocując pudełko, lewą ręką, po omacku, szukałem małej gałki na górze.

Ledwie ją wyczułem, ale przekręciła się gładko, gdy zdołałem zacisnąć na niej palce. Widziałem, że się przekręciła.

Pudełko zdawało się ożywać, mrużyć. Jakbym słyszał wibracje przez rękawice i cały kombinezon. Oczywiście nie mogłem ich czuć, nie przy takim stanie moich palców. Pośpiesznie wstałem, by móc oświetlić pudełko bez nachylenia się nad nim.

Miałem to już za sobą, plan Wielkiej Matki był wykonany i to - jak sądziłem - przed czasem. Gdybym miał choć tyle rozumu co klamka od drzwi, zawróciłbym i pobiegł z powrotem do tunelu.

Ale byłem zafascynowany tym, co obserwowałem. Miałem wrażenie, że pudełko się trzęsie, i że z jego dna wyrosły trzy pająkowate nóżki. Uniosło się tak, że stało na swoim trójnogu na wysokości stopy. Zatrzęsło się znowu i pomyślałem, że wiatr je zwieje, ale pająkowate nóżki zdawały się wgryzać w powierzchnię drogi tak, że były nie do ruszenia.

Coś się uniosło i rozpostarło u góry pudełka, jak kwiat szeroki na osiem cali. Wysunął się jakiś palec (antena?), który zmieniał położenie, jakby czegoś szukał, wreszcie znieruchomiał, wskazując niebo. Następnie włączyła się latarnia. Jestem pewien, że tak się stało, choć wszystko, co widziałem, to błysk światła. Światła niewątpliwie wyjątkowego, bowiem zwykłe światło by nie wystarczyło, choćby ze względu na to wulkaniczne zachmurzenie. Był to prawdopodobnie niepozorny efekt wyzwolenia ogromnej energii, zdolnej pokonać wszelkie przeszkody. Błysk zbliżony do tego od fleszów aparatów fotograficznych.

Aleja się temu przyglądałem. Polaryzator nie może działać tak szybko, więc na moment oślepiłem.

Myślałem najpierw, że to moja lampka się wyłączyła, potem uświadomiłem sobie, że po prostu nie widziałem przez tę oślepiającą jasność.

(— Spokojnie, chłopcze. To tylko skutki uboczne. Poczekaaj, to minie.)

- Nie mogę czekać! Zamarzam na śmierć!

(- Przyczep do ręki linę, którą przywiązałeś do paska. Pociągnij.)

Zrobiłem, jak kazał mi Oskar, znalazłem linę, obróciłem się i usiłowałem nawinąć ją na rękę.

Rozprysła się. Nie pękła tak, jak pęka lina, roztrzaskała się jak szkło. Przypuszczam, że tym właśnie wtedy była - szkłem. Nylon i szkło są zmrożonymi cieczami.

Wiem, co znaczy „zmrożone”.

Ale wtedy wiedziałem też, że moje więzi z życiem zostały zerwane. Nie widziałem, nie słyszałem, byłem zupełnie sam na pustej platformie, biliony mil od domu. Wiatr rodem z mroźnego piekła wydierał resztki życia z ciała, które traciło czucie. A miejsca, które jeszcze czułem, bolały jak diabli.

- Oskar!

(— Jestem tutaj, stary. Dasz radę. Widzisz coś?)

- Nic!

(- Szukaj wlotu tunelu. Tam jest światło. Wyłącz swoją lampę. Oczywiście, że możesz, to zwykły przycisk. Przesuń ręką w tył kasku z prawej strony.)

Udało się!

(- Widzisz coś?)

- Jeszcze nie.

(- Porusz głową. Spróbuj uchwycić kątem oka, blask jest przed tobą. Więc?)

Coś widziałem tym razem!

(- Czerwone, prawda? I postrzępione. Wulkan. Teraz wiemy, w którą stronę jesteśmy zwróceni. Odwróć się powoli i spróbuj dojrzeć światło tunelu.)

Zdołałem się odwrócić. Bardzo powoli.

- Jest!

(- W porządku, idziesz do domu. Kucnij, oprzyj się na rękach, kolanach i powoli spojrzuj w lewo. Nie skręcaj, trzymając się krawędzi, zmierzaj w stronę tunelu.)

Ukląłem. Nie czułem rękoma powierzchni, ale odczuwałem ucisk na kończyny, jakby wszystkie były sztuczne. Odnalazłem krawędź, kiedy lewa ręka ześliznęła się z niej, a ja sam omal nie poleciałem w dół. Szybko oprzytomniałem.

- Czy dobrze idę?

(- Pewnie, że dobrze. Nie zboczyłeś z drogi. Szedłeś tylko nieco zakosami. Czy możesz unieść głowę, żeby zobaczyć tunel?)

- E... chyba że wstanę.

(- Nie rób tego! Spróbuj włączyć lampę przy hełmie, może wtedy coś zobaczysz.)

Wyciągnąłem prawą rękę, sięgając do hełmu i musiałem nacisnąć włącznik, bo nagle zobaczyłem przed sobą, lekko zamazany w środku, krąg światła. Droga, po której się posuwałem, po lewej stronie kończyła się ostrą krawędzią, jak ściętą nożem.

(- Dobry chłopiec! Nie, nie wstawaj. Jesteś osłabiony, masz zawroty głowy. Mógłbyś spać. Zacznij się czołgać, licz długości. Trzysta powinno wystarczyć.)

Zacząłem więc się czołgać i liczyłem.

- To długa droga, Oskar. Myślisz, że nam się uda?

(- No jasne! Sądzisz, że mam ochotę zostać w takim miejscu?)

- Zostałbym z tobą.

(- Nie gadaj bzdur. Stracisz rachunek. Trzydzieści sześć, trzydzieści siedem, osiem...)

I tak czołgaliśmy się...

(- Koniec pierwszej setki. Zaczynamy drugą. Sto jeden, sto dwa..., sto trzy...)

- Wiesz, jakoś lepiej się czuję, Oskar. Robi się jakby cieplej.

(- Co takiego?!)

- Powiedziałem, że jest mi trochę cieplej.

(- Wcale ci nie jest cieplej, totalny idioto! Zaczynasz zamarzać na śmierć, rozumiesz? Ruszaj się szybciej! Prawy zawór ustnika. Weź więcej powietrza. Chcę usłyszeć pstryknięcie zaworu twojego ustnika, słyszysz?)

Byłem zbyt zmęczony, by się kłócić. Otworzyłem zawór; trzy lub cztery razy poczułem na twarzy strumień powietrza. Niebezpieczeństwo chyba minęło. Rzeczywiście było mi cieplej.

(— Sto dziewięć, sto dziesięć, jedenaście,.. Weź się w garść!)

Przy dwustu po prostu musiałem chwilę odpocząć.

(- Nie wolno!)

- Aleja muszę. Tylko na moment.

(— Tak jak przed chwilą, co? Wiesz, czym to grozi. A może powiesz mi łaskawie, co ma zrobić Peewee? Ona tam wciąż czeka, już zaczyna być niespokojna, bo się spóźniasz. Co ona zrobi?)

- No... spróbuje założyć kombinezon Tima.

(- Zgadza się. W wypadku nadesłania jednakowych odpowiedzi o przyznaniu nagrody decyduje data na stemplu pocztowym. Tylko powiedz: jak daleko sama dojdzie?)

- No... do wejścia do tunelu, tak myślę. Później dopadnie ją wiatr.

(— Myślę dokładnie tak samo. Wtedy będziemy mieli całą rodzinę w komplecie. Ty, ja, Wielka Matka, Peewee. Rodzina sztywniaków.)

- Ale...

(— Więc czołgaj się dalej, bracie. Raz... dwa... i jeszcze raz.)

Nie pamiętam już momentu, kiedy zacząłem spadać, nie czułem wtedy nawet śniegu. Pamiętam za to, jaką poczułem ulgę, kiedy skończyło się to potworne odliczanie i mogłem wreszcie odpocząć.

Ale odpocząć przy Oskarze?

(- Kip! Kip! Wstawaj, musisz natychmiast się stamtąd wydostać!)

- Odczep się!

(— Ja po prostu nie mogę się od ciebie odczepić, Kip, a chciałbym tego bardzo. Teraz wszystko przed tobą. Chwyć się krawędzi i podciągnij w górę. To już naprawdę niedaleko.)

Uniosłem nieco głowę, tak że w świetle lampy zobaczyłem krawędź drogi, z której się obsunąłem. Była dwie stopy ponad moją głową. To było już ponad moje siły.

- Oskar, to jest za wysoko. Słuchaj, to chyba już koniec.

Prychnął wzgardliwie.

(- Tak? A kto jeszcze nie tak dawno wymądrzał się przed małą dziewczynką, która była zbyt zmęczona, by się podnieść? Kapitan Kometa? A może się mylę? Postrach kosmicznych szlaków czy nic niewart włóczęga przestworzy? Zakładaj kombinezon i w drogę, zanim zaśniesz. Kapitanie, czy mogę cię prosić o autograf? Nigdy wcześniej nic miałem okazji spotkać prawdziwego kosmicznego pirata, zanim... Zanim trafiłem na takiego, który podróżuje kosmicznym autostopem i porywa małe dziewczynki.)

- To nie w porządku!

(- Okay! Wiem, kiedy mnie nie chcą. Jeszcze tylko jedno, zanim się wyłączę. Ona ma więcej odwagi w małym palcu niż ty w całym swoim leniwym, kłamliwym, tłustym cielsku. Bywaj.)

- Oskar! Nie zostawiaj mnie!

(- Co? Chcesz, żebym ci pomógł?)

- Tak!

(— Więc jeśli rzeczywiście ocalenie jest zbyt wysoko, chwyc młotek, zahacz go o krawędź i podciągnij się.)

Przymknąłem na chwilę powieki. Może jednak to coś da. Sięgnąłem w dół przekonany, że chwycę w ręce młotek, nawet jeśli nic nie czuję. Odczepiłem go. Używając obu rąk, zahaczyłem nim o krawędź, zawisłem... A głupi młotek zerwał się jak linka. Stalowe narzędzie, a poszło w kawałki, jakby było śnieżną pigułą. Wpadłem w furję. Dźwignąłem się do pozycji siedzącej, zahaczyłem łokcie o krawędź. Szarpiąc, walcząc, pocąc się jak dzikie zwierzę, wypelzłem na drogę.

(- Kochany chłopak! Możesz już dać sobie spokój z odliczaniem, wystarczy, jeśli będziesz się czołgał w kierunku światła.)

Przede mną majaczył tunel. Nie mogłem złapać tchu, więc szarpnąłem zawór ustnika. Ale nic się nie zmieniło.

- Oskar! Zawór się zatkał.

Spróbowałem raz jeszcze.

- Oskar, zwlekasz z odpowiedzią.

(- Nie, mój drogi, zawór nie jest zatkany. To zamarzyły przewody doprowadzające powietrze.)

Widocznie jakaś część przewodów przestała być wystarczająco sucha.

- Ja nie mam powietrza!

Znów zwlekał, ale odpowiedział z mocą:

(- Owszem, masz, pełen kombinezon. Wystarczy go w zupełności na te kilka stóp, które ci jeszcze pozostały do przejścia.)

- Nie uda mi się.

(— To przecież tylko kawałek. Wielka Matka czeka tam na ciebie. Ruszaj.)

Podniosłem więc głowę, już pewien, że ona tam jest, z każdym krokiem większa, większa... Cierpliwie pełzłem, w końcu wydusiłem ostatkiem tchu:

- Oskar, dalej już iść się nie da.

(— Obawiam się, że masz rację. Zawiodłem cię... Ale dzięki, że mnie tu tak nie zostawiłeś.)

- Nie zawiodłeś mnie... jesteś niezastąpiony. Ale nie udało mi się wykonać zadania.

(— Chyba raczej obu nam się nie powiodło... Ale oni na pewno odczuli to, że próbowaliśmy. Do zobaczenia, partnerze.)

- Trzymaj się. Hasta la vista, amigo!

Udało mi się podpełznąć kawałek i przycisnąć głowę do głowy Wielkiej Matki tak ciasno, jak się tylko dało. Uśmiechała się.

(- Cześć, Kip, synku.)

- Nie udało mi się wykonać zadania, Matko. Przykro mi.

(- Ależ udało ci się.)

- Co, proszę?

(- Między nami mówiąc, obojgu wam się udało.)

Zastanawiałem się przez chwilę.

- I Oskarowi też.

(- I jemu. Oczywiście.)

- I Peewee.

(- Peewee też. Wszyscy się do tego przyczynili. Teraz, kochani, możemy odpocząć.)

- Dobranoc... Matko.

Czując rozlewające się po ciele ciepło, szczęśliwy, że Wielka Matka uznała, iż dobrze się spisałem, zamykałem oczy, kiedy Peewee zaczęła mną potrząsać:

- Kip! Kip! Wstawaj, no wstań, proszę cię!

- Co? Dlaczego?

- Nie mogę cię podnieść. Próbowałam, ale jesteś po prostu za ciężki.

To fakt. Nie była w stanie mnie unieść. Skąd jej przyszło do głowy, że dałaby sobie z tym radę? Byłem dwa razy większy od niej. To ja bym ją uniósł... Jak tylko złapię oddech...

- Kip! Wstań, proszę. - Teraz już płakała.

- Przestań, kochanie, już wstaję, jeśli tego chcesz - powiedziałem miękko.

Spróbowałem się dźwignąć, ona podtrzymała mnie i w końcu niezgrabnie stanąłem na nogi.

- Teraz obróć się. Ruszaj!

Prawie mnie niosła. Kiedy dochodziliśmy do wydmuchanych w śniegu szczelin, pomagała mi przejść ponad nimi albo po prostu przez nie przepychała i pomagała znowu wstać. W końcu dotarliśmy do śluzy, a wtedy wpuściła mi trochę powietrza do kombinezonu, abym mógł nieco

odetchnąć. Zostawiła mnie na chwilę, a ja natychmiast osunąłem się na podłogę.

Odwróciła się, kiedy otworzyły się wewnętrzne drzwi. Natychmiast zaczęła coś mówić, w pośpiechu ściągając mi z głowy hełm. Wzięłem głęboki oddech i nagle zakręciło mi się w głowie, a światła jakby przygasły. Popatrzyła na mnie z uwagą.

- Dobrze się czujesz?
- Ja? Pewnie, dlaczego miałbym się źle czuć?
- Pozwól jednak, że ci pomogę.

Nie wiem, jak ona to zrobiła, ale rzeczywiście poczułem się lepiej, a (słowo daję) było mi to bardzo potrzebne. Posadziła mnie na podłodze, plecami opartego o ścianę; nie miałem ochoty się kłaść.

- Kip, tak się bałam.
- Naprawdę?

Nie mogłem zrozumieć, czego się mogła obawiać. Czy Wielka Matka nie powiedziała, że wszystko jest w porządku?

- Tak. Byłam rzeczywiście przerażona. Nie powinienam była pozwolić ci pójść.
- Ale przecież trzeba było postawić drogowskaz.
- No tak, ale... czy udało ci się to zrobić?
- Oczywiście. Wielka Matka była zadowolona.
- Wcale się nie dziwię - powiedziała ponuro. - Powinna być zadowolona.
- No i na pewno była.
- Czy mogę ci w czymś pomóc? Może zdjąć ci kombinizon?

- No... nie, jeszcze nie w tej chwili. Ale czy mogłabyś przynieść mi trochę wody do picia?

- Już niosę.

Po chwili wróciła, ale nie byłem tak bardzo spragniony, jak myślałem; poczułem się chory. Obserwowała mnie przez chwilę, po czym zapytała:

- Czy pozwolisz, że wyjdę na chwilę? Nic ci się nie stanie.

- Mnie? Oczywiście, możesz iść.

Wcale się dobrze nie czułem. Zaczynałem odczuwać ból, ale ona nic na to nic mogła poradzić.

- Nie zabawię długo.

Zacząła zakładać hełm i wtedy zauważyłem ze zdziwieniem, że ma na sobie swój własny kombinezon, a wcześniej miałem wrażenie, że nosiła kombinezon Tima.

Przez właz zobaczyłem jej głowę i zrozumiałem, dokąd się kierowała. Chciałem jej powiedzieć, że Wielka Matka wolałaby raczej zostać na zewnątrz, a nie tutaj, gdzie mogłaby... Gdzie mogłaby... nie byłem w stanie nawet do siebie w duchu tego powiedzieć: „zepsuć się”.

Ale Peewee była już daleko. Myślę, że nie trwało to więcej niż pięć minut. Przymknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, zobaczyłem, że wewnętrzne drzwi są otwarte, a Peewee wchodzi właśnie do środka, trzymając w ramionach Wielką Matkę. Jak drewniany pniaczek i tak samo sztywną.

Peewee ułożyła Wielką Matkę na podłodze w takiej pozycji, w jakiej ją ostatni raz widziałem, odpięła hełm i zapłakała.

Nie mogłem się podnieść, moje nogi i ręce były zbyt obolałe.

- Peewee... proszę... kochanie. To niczego nie zmieni. Podniosła na mnie wzrok.

- To nic. Nie będę więcej płakać.

I nie płakała.

Siedzieliśmy tam już od dłuższego czasu, kiedy Peewee znowu zaproponowała, że pomoże mi zdjąć kombinezon. Ale kiedy spróbowaliśmy to zrobić, cierpiałem tak strasznie, że musiałem ją poprosić, aby na razie dała temu spokój. Wyglądała teraz na poważnie zaniepokojoną.

- Kip, obawiam się, że mogłeś odmrozić sobie ręce i stopy.

- No cóż, to możliwe, ale w tej chwili nic nie można na to poradzić. - Zmieniłem temat. - Peewee, gdzie odnalazłaś swój kombinezon?

- A wiesz, nigdy byś nie zgadł. - Wyglądała na bardzo oburzoną.

- W kombinezonie Jocka - wyjaśniła.

- Rzeczywiście, nie domyśliłbym się. Skradziony list.

- Co skradzione?

- Nic.

Nie przypuszczałem tylko, że Robakowaty ma poczucie humoru.

Niedługo potem odczuliśmy następny silny wstrząs. Podłoga zadrżała, a gdybyśmy tu mieli kandelabry, poszłyby zapewne w drobny mak. Peewee pisnęła:

- Och, ten był prawie tak silny jak ostatni.

- Powiedziałbym raczej, że dużo gorszy. Ten poprzedni to było nic.

- Nie, ja mówiłam o tym, który nastąpił, kiedy byłeś na zewnątrz.

- To wtedy był wstrząs?

- Nie czułeś go?

- Nie, zupełnie go nie poczułem. — Próbowałem sobie przypomnieć. — Może to było wtedy, kiedy upadłem w śnieg.

- Zapadłeś się w śniegu? Kip!

- Nie było znowu tak źle. Oskar pomógł mi się wydość.

Następnego wstrząsu nie odczułbym, gdyby nie to, że sprawił mi ból.

Zobaczmy... pigułki z lekarstwami powinny być po prawej, a odmierzone dawki kodeiny trochę bardziej w głębi.

- Peewee? Czy mógłbym cię prosić o jeszcze trochę wody?

- Jasne.

- Chcę wziąć kodeinę. Być może pomoże mi zasnąć, jak sądzisz?

- Myślę, że dobrze ci to zrobi. Potrzebujesz snu.

- Też mi się tak wydaje. Która jest godzina?

Kiedy mi odpowiedziała, nie mogłem wprost uwierzyć.

- To znaczy, że to trwało dwanaście godzin.

- Co trwało?

- No, od kiedy się zaczęło.

- Nie rozumiem cię, Kip! - powiedziała, uważnie przyglądając się wskazówkom swojego zegarka. — Minęło dokładnie półtorej godziny od momentu, kiedy cię znalazłam i niecałe dwie godziny, odkąd Wielka Matka...

Nie mogłem w to uwierzyć, ale Peewee upierała się, że ma rację.

Po kodeinie poczułem się lepiej i zacząłem być senny.

- Kip, czujesz ten zapach? - spytała Peewee.

Pociągnąłem nosem.

- Coś jakby zapałki?

- Zgadza się. Myślę też, że ciśnienie spada. Kip... chyba lepiej będzie, jeśli założę ci hełm, zanim zaśniesz.

- W porządku, swój też załóż, dobrze?

- Okay. Nie sądzę, żeby to pomieszczenie było całkiem szczelne.

- Chyba masz rację.

Podczas wstrząsów i eksplozji nie zwróciłem na to uwagi, a teraz, kiedy wiedziałem, co to oznacza, byłem zbyt słaby, chory, by usiłować zrozumieć, jak do tego doszło. Byłem zbyt śpiący, aby się tym przejmować. To bez znaczenia, zresztą Wielka Matka powiedziała, że dobrze się spisałem.

Peewee nałożyła nam hełmy. Sprawdziliśmy radio, a potem usiadła naprzeciw mnie i Wielkiej Matki. Przez długi czas w ogóle się nie odzywała. Później usłyszałem:

- Peewee do Junebuga!

- Słyszę cię, Peewee.

- Kip? To było strasznie śmieszne, prawda?

- Hmm... - Spojrzałem w górę na wskaźnik i zobaczyłem, że zostało powietrza na jakieś cztery godziny.

Peewee westchnęła.

- Chciałam być tylko pewna, że nie obwiniasz mnie o to, co się stało. Teraz już śpij.

Już prawie zasypiałem, kiedy Peewe podskoczyła i krzyknęła:

- Kip, coś zbliża się do drzwi!

Gdy dotarło do mnie, co to oznacza, zupełnie oprzytomniałem. Czy oni nie mogli zostawić nas w spokoju choćby na kilka godzin?

- Peewee, spokojnie! Odsuń się jak najdalej od drzwi. Czy masz wciąż miotacz tego błękitnego światła?

- Tak.

- Strzelaj, jak tylko wejdą do środka.

- Musisz się przesunąć, Kip! Siedzisz dokładnie w miejscu, skąd nadejdą.

- Nie mogę się podnieść. - Przez dłuższą chwilę nie byłem w stanie poruszyć nawet ramionami. - Użyj ładunku o mniejszej mocy, zresztą jeśli mnie rozpylisz, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Zrób, co ci mówię! Szybko!

- Tak jest, Kip.

Ustawiła się w miejscu, z którego mogła do nich celować niezauważona, uniosła laser i zamarła w oczekiwaniu.

Wewnętrzne drzwi otwały się, w wejściu ukazała się czyjaś sylwetka. Zobaczyłem, że Peewee już dotyka spustu i wrzasnąłem w radio:

- Nie strzelaj!!!

Jeszcze krzychałem, kiedy ona rzucała już broń i biegła naprzeciw wchodzącym.

To byli „ludzie” Wielkiej Matki.

Żeby mnie unieść, potrzeba ich było sześciu. Tylko dwóch niosło Wielką Matkę. Śpiewali cały czas podczas przygotowywania noszy, by ukoić mój ból. Połknąłem jeszcze jedną dawkę kodeiny, zanim mnie podnieśli, ponieważ

mimo całej ich delikatności, każdy ruch sprawiał mi nieznośny ból. Przeniesienie mnie na ich statek nie zajęło wiele czasu, bo wylądowali prawie u wejścia do tunelu, niszcząc prawdopodobnie drogę; taką przynajmniej miałem nadzieję.

Kiedy byliśmy już bezpieczni w środku, Peewee zdjęła mój hełm i rozpięła kombinezon.

- Kip, czy oni nie są cudowni?
- Oczywiście...

Coraz bardziej kręciło mi się w głowie od narkotyku, było mi już zupełnie ciepło,

Wystartowaliśmy.

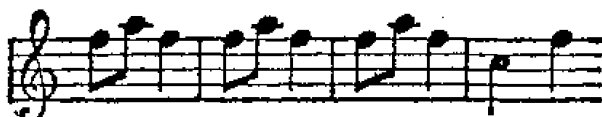
- Zabiorą nas do domu? Muszę powiedzieć panu Char-tonowi, jak wielką ulgę przynosi kodeina.

- Co? O nie. Kierujemy się na Wege.
Zemdlałem.

ROZDZIAŁ 9

Śniło mi się, że jestem w domu. W tym momencie ocknałem się.

- Wielka Matka!



(- Dzień dobry synku. Cieszę się, że już trochę lepiej z tobą.)

- Och, rzeczywiście czuję się nieźle. Dobrze spałem tej nocy. - Wpatrywałem się w nią osłupiały. - Ty... ty przecież nie żyjesz - wybełkotałem, nie mogąc się powstrzymać.

Odpowiedziała mi łagodnie i ciepło, jak do dziecka mylącego się przy dodawaniu słupków.

(- Nie, kochanie, nie umarłam, byłam jedynie w stanie hibernacji. Jak widać, wcale nie jestem taka słaba, jak sądzisz.)

Zamrugalem, żeby sprawdzić, czy wciąż nie śnię. Dla całkowitej pewności zapytałem:

- To na pewno nie jest sen?

(- Nie, oczywiście, że nie.)

- Śniło mi się, że jestem w domu i... - Spróbowałem usiąść, ale udało mi się zaledwie poruszyć głową. — Naprawdę jestem w domu!

Mój pokój! Szafa na odzież po lewej stronie, drzwi do przedpokoju za Wielką Matką, zavalone książkami biurko na prawo, nad nim proporzec mojego uniwersytetu, z tyłu okno i stary wiąz, promienie słońca igrają na jego drobnych listkach...

Nawet suwak logarytmiczny leżał na swoim miejscu.

Obraz zaczął mi falować przed oczyma, kiedy próbowałem sobie jakoś to wszystko poukładać. Wega... wciąż odczuwałem skutki przedawkowania kodeiny.

- Zabraliście mnie do domu?

(- Zabraliśmy cię do domu, twojego drugiego domu, mojego domu.)

Łóżko zaczęło dygotać, więc chwyciłem kurczowo jego ramę. Wielka Matka w dalszym ciągu śpiewała:

(- Potrzebowałeś gniazdka, więc je dla ciebie uwiliśmy.)

- Trochę się w tym wszystkim pogubiłem.

(- Wiemy, że pisklęta rosną znacznie szybciej we własnych gniazdkach, więc zbudowaliśmy dla ciebie domek.)

Oczywiście nie śpiewała dosłownie o „ptaku” i „gnieździe”, ale nie znalazłem lepszego tłumaczenia.

Wziąłem głęboki oddech, aby się uspokoić.

Zrozumiałem ją; bądź co bądź w tym była najlepsza: w tłumaczeniu wszystkiego od podstaw. To nie był mój pokój i nie byłem wcale we własnym domu, chociaż na pierwszy rzut oka tak to wyglądało. Odkrycie tej prawdy niezbyt mi pomogło, wciąż czułem się kompletnie skołowany.

Rozejrzałem się uważnie dookoła, zdziwiony, że w ogóle dałem się nabrać.

Światło padało przez okno pod złym kątem. Także cienie układały się niewłaściwie, książki wyglądały zbyt czysto i schludnie, zupełnie jak bombonierki. Tak więc efekt ogólny był zadowalający, ale szczegóły nie dość dobrze dopracowane.

(- Lubię ten pokój) - zaśpiewała Wielka Matka. (- Bardzo jest do ciebie podobny, Kip.)

- Jakim sposobem stworzyłaś tę iluzję? - spytałem słabym głosem.

(- Zadaliśmy ci kilka pytań i Peewee trochę pomagała.)

Pomyślałem, że przecież Peewee nigdy nie widziała mojego pokoju, ale doszedłem w końcu do wniosku, że zapewne widziała wystarczającą liczbę amerykańskich mieszkań, aby stać się ekspertem w tej dziedzinie.

- Czy Peewee też tu jest?

- Wkrótce przyjdzie.

Z Peewee i Wielką Matką przy boku świat wyglądał różowo, ale...

- Ja przecież nie mogę ruszać rękoma ani nogami.

Położyła swoją drobną i ciepłą dłoń na moim czole: pochyliła się nade mną tak nisko, że jej niesamowite hipnotyzujące oczy kazały mi zapomnieć o wszystkim innym.

(— Byłeś zupełnie martwy, ale już wracasz do siebie. Nie martw się.)

Kiedy Wielka Matka mówi ci, żebyś przestał się martwić, zazwyczaj słuchasz potulnie. Już nie chciałem stawać na rękach, wystarczyło mi wpatrywanie się w jej oczy, w których można było utonąć.

- Tak, Wielka Matko? Coś sobie jednak przypomniałem. - Chwileczkę. Czy byłaś zamrożona? Powiedz mi.

(- Byłam.)

- Ale... przecież zamrożona woda niszczy strukturę komórek, przynajmniej tak mnie uczono.

Odpowiedziała bez zastanowienia:

(- Och, mój organizm nigdy by na coś takiego nie pozwolił.)

- No cóż, w każdym razie mnie nie wsadzajcie do płynnego tlenu; nie jestem do tego stworzony.

Jej piosenka znów nabrała figlarnej, ciepłej wymowy:

(— Robiliśmy wszystko, abyś był zadowolony.) - Wyprostowała się na całą wysokość i zaczęła kołysać się jak wierzba. (- Mam tu na myśli szczególnie Peewee.)

Rozległo się pukanie do drzwi, które zabrzmiało jakoś sztucznie i dziwnie. Peewee zapytała, czy może wejść, i nie czekając na odpowiedź (zastanawiam się, czy kiedykolwiek to robiła), weszła.

(- Wejdz, kochanie) — zabrzmiało spóźnione zaproszenie.

- Oczywiście, tylko po co pukałaś?
- Nie bądź złośliwy.
- Patrzcie, kto to mówi. Cześć, mała!
- Cześć.

Wielka Matka właśnie wychodziła z pokoju.

(- Nie siedź za długo, Peewee, nie można go męczyć.)

- Będę uważać.

(- Pa, kochani.)

- Kiedy jest pora odwiedzin w tym przytułku? - zapytałem.

- Kiedy ona pozwoli, rzecz jasna.

Peewee stała naprzeciwko mnie z rękoma na biodrach. Od początku naszej znajomości widziałem ją po raz pierwszy naprawdę czystą. Jej policzki były jeszcze zaróżowione po intensywnym pucowaniu, włosy puszyste. Za jakies

dziesięć lat może wyrosnąć na bardzo ładną dziewczynę, pomyślałem.

Ubrana była jak zwykle, z tym że jej ubranie aż pachniało świeżością, guziki zostały przyszyte, a dziury zaczerowane.

- No cóż - powiedziała, wypuszczając głośno powietrze. - Wydaje mi się, że wracasz do siebie po tym wszystkim.

- Czuję się wprost cudownie. A co z tobą?

Zmarszczyła nos.

- Troszkę szczybie mnie nos. Głupstwo. Byłeś w takim stanie...

- Byłem...?

- Gdybym chciała to opisać, musiałabym użyć słów, które moja mama zawsze określała jako „niegodne damy”.

- Którą niewątpliwie jesteś...

- Nie staraj się być złośliwy, nie wychodzi ci to najlepiej.

- Jeśli pozwolisz mi na sobie potrenować...

Zaczęła właśnie przygotowywać jedną ze swoich, tak charakterystycznych, ciętych ripost, gdy nagle zmieniła zamiar, uśmiechnęła się i podeszła bliżej. Przez chwilę wydawało mi się, że zamierza mnie pocałować, ale tylko wyglądała mi pościel.

- Masz absolutną rację, Kip. Potrafisz być złośliwy, wulgarny, obrażający i zrzędlivy, bez dwóch zdań. Założę się, że mógłbyś nawet pyskować przeciw Wielkiej Matce.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić podobnej sytuacji.

- Spokojnie, Peewee. Bo ci wyrośnie aureola.
- Już dawno powinna, wzięwszy pod uwagę to wszystko, co dla ciebie zrobiłam.

- A! Chyba sobie przypominam kogoś, kto wciągnął mnie wtedy do środka i był bardzo podobny do ciebie. Co ty na to?

Zachichotała.

- Głupstwo. Uruchomiłeś radiolatarnię. To najważniejsze.

- Tak... każdy ma swoje zadanie, w każdym razie było tam bardzo zimno. - Zmieniłem temat. Wspomnienie tamtych chwil kazało mi się nad czymś zastanowić. — Pee-wee, gdzie my teraz jesteśmy?

- Co? W domu Wielkiej Matki, rzecz jasna. - Rozejrzała się dookoła. - Och, zapomniałam, Kip. To oczywiście nie jest twój...

- Wiem - przerwałem jej niecierpliwie — to jedna wielka lipa. Każdy by zauważył.

- Naprawdę? - Wyglądała na zmartwioną. - Sądziłam, że nieźle wypadło.

- Odwaliłyście kawał solidnej roboty. Sam nie wiem, jakim cudem.

- Och, masz bardzo dobrą pamięć: twoje oczy działają na podobnej zasadzie jak aparat fotograficzny.

- Musieli się nieźle we mnie nagrzebać - powiedziałem pod nosem. Byłem ciekaw, co jeszcze ze mnie wydobyli, ale aż wstyd mi było pytać. Człowiek powinien mieć prawo do odrobiny prywatności. - No cóż, mimo wszystko ten pokój to jednak imitacja. Wiem już, że jesteśmy w domu Wielkiej Matki, ale gdzie to jest?

- Och! - Aż wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia. - Przecież ci mówiliśmy. Może nie pamiętasz, byłeś bardzo śpiący...

- Coś tam pamiętam - powiedziałem powoli - ale to nie trzyma się kupy. Mówiłaś chyba, że lecimy na Węgę.

- Tak, atlasy gwiazd podają nazwę Wega Pięć, ale oni określają to miejsce... W ich interpretacji nazwa brzmiała jak motyw z opery Le Coq d'Or. Trudno to wymówić, więc powiedziałam „Wega”, gdyż jest to najbliższe prawdy.

Spróbowałem jeszcze raz wstać. Znowu na próżno.

- Zamierzasz tak tu stać i twierdzić, że jesteśmy na Wedze? To znaczy na jednej z planet krążących wokół Wegi?

- Hmm, nie prosiłeś, abym usiadła.

Zignorowałem jej drobną złośliwość, spojrzałem na „słoneczne światło” zalewające pokój.

- To światło tutejszej gwiazdy?

- Ależ skąd! Jest całkowicie sztuczne. Gdybyśmy użyły prawdziwego wegańskiego światła, efekt byłby porażający, okropna jasność łuku elektrycznego. Wiesz, Wega znajduje się na samym wierzchołku w tabelach...

- Doprawdy? - Nie znałem spektrum widmowego Wegi, nigdy nie przypuszczałem, że będzie mi to potrzebne.

- Tak. I bądź ostrożny, kiedy wyjdiesz na zewnątrz. W dziesięć sekund możesz opalić się bardziej niż w ciągu stu lat na Majorce, a dziesięć minut słonecznej kąpiele z łatwością cię zabije.

Wyglądało na to, że mam szczęście do miejsc o wyjątkowo paskudnym klimacie. Ciekawe, jaką klasę gwiazdową

ma Wega. Może A, ale raczej B. Zresztą wiedziałem o niej tylko tyle, że jest wielka i bardzo jasna, dużo większa od Słońca... i że wyglądała bardzo ładnie w gwiazdozbiore Liry.

Ale gdzie to jest dokładnie? I jak, na cały geniusz Einsteina, zdołaliśmy do niej dotrzeć?

- Peewee, jak daleko jest Wega... to znaczy jak daleko od Słońca? Nie wiesz przypadkiem?

- Oczywiście - powiedziała chełpliwie. - Jesteśmy 27 lat świetlnych od Słońca.

- Do stu tysięcy galopulujących goryli! Peewee, potrzebuję suwaka logarytmicznego. Będziesz musiała mi pomóc, nie mogę ruszać rękoma.

Peewee zrobiła zdziwioną minę.

- Po co ci suwak?

- Chcę sprawdzić, ile mil dzieli mnie od domu.

- Och, mogę to obliczyć w pamięci. Niepotrzebny mi jakiś suwak logarytmiczny.

- Suwak jest szybszy i bardziej dokładny, a jeżeli nie wiesz, jak obsługiwać to urządzenie, nie wstydź się; ja w twoim wieku też nie wiedziałem.

- Oczywiście, że wiem - powiedziała obrażonym tonem. - Myślisz, że jestem głupia? Ale potrafię obliczyć to w pamięci. - Pomruczała trochę pod nosem i wykrzyknęła: - $1,59 \times 10$ do 14 potęgi!

Ostatnio rozwiązywałem podobny problem w odniesieniu do Proximy Centauri. Pamiętałem, ile mil przypada na jeden rok świetlny i zrobiłem odpowiednie obliczenia w pamięci. Powiedzmy, sześć razy dwadzieścia pięć daje sto pięćdziesiąt. A gdzie postawić przecinek?

- Twój wynik jest mniej więcej poprawny - powiedziałem, a potem pomyślałem: 159 000 000 000 000 mil. Zbyt dużo zer jak na mnie.

- Oczywiście, że poprawny. — Peewee nie kryła zadowolenia. — Ja zawsze mam rację

- Rzeczywiście, skrzyżowanie kieszonkowej encyklopedii z komputerem.

Zarumieniła się.

- Nic na to nie poradzę, że jestem geniuszem.

Już otwierałem usta, by jej przygadać, gdy spostrzegłem, że w sumie wygląda bardzo marnie. Przypomniałem sobie, jak ojciec mówił, że niektórzy przedkładają mierność nad wielkość, uwielbiają podcinać innym skrzydła, gdyż sami nie potrafią wznieść się ponad przeciętność, pogardzają intelektem, gdyż sami są głupcami. Hmm.

- Przepraszam cię, Peewee — powiedziałam pokornie. — Wiem, że nic na to nie poradzisz. Podobnie jak ja nie jestem winny temu, że... po prostu jestem zwyczajny, a ty nie.

Uspokoila się, choć zachowała poważny wyraz twarzy.

- Widzę, że wywarłam na tobie niemałe wrażenie. - Jakby od niechcienia zaczęła bawić się guzikiem. - A może zacząłeś traktować mnie bardziej po ojcowsku.

Wyczułem w jej głosie sporo sympatii i zapragnąłem zerwać raz na zawsze z tymi wszystkimi docinkami, choć wątpiłem, czy jest to w ogóle możliwe.

Tymczasem Peewee nadal maltretowała biedny guzik.

- Wiesz, Kip, ty też nie jesteś taki najgłupszy.

Uśmiechnąłem się cierpko.

- To co ja w takim razie tutaj robię? Niezdara i safandula. Mała, a może byśmy jednak sprawdzili twój wynik na suwaku, naprawdę bardzo mi na tym zależy.

Dwadzieścia siedem lat świetlnych, zanim w ogóle zobaczę Słońce. Trochę to mną wstrząsnęło.

Znowu zrobiła zakłopotaną minę.

- Kip, to niestety niemożliwe.
- Dlaczego, przecież kupiłem najlepszy su...
- Kip, proszę. To w ogóle nie jest żaden suwak logarytmiczny tylko część półki, rekwizyt, atrapa.

- No tak... musiałem zapomnieć. Przepraszam, ale pewnie także przedpokój, który tu widzę, nie jest zbyt rozległy.

- Racja, Kip. Suwak mógłby być prawdziwy, gdybyśmy mieli więcej czasu. Oni znają się na logarytmach, I to jeszcze jak.

Wzmianka o czasie coś mi znowu przypomniała.

- Peewee, jak długo tu lecieliśmy?

Dwadzieścia siedem lat świetlnych. Nawet z szybkością światła to kawał czasu. Pamiętając o teorii względności Einsteina, dla mnie to mogło być krótkim spacerkiem, ale dla ludzi z Centerville... Ojciec być może już nie żyje, był starszy od matki. Biorąc pod uwagę wiek, mógł być moim dziadkiem, jeśli dodamy 27 lat na powrót, to miałby wówczas ponad setkę. Nawet matka może już nie żyć.

- Ile czasu tu lecieliśmy?
- Prawie nic.
- Nie, nie. Wiem, że tak ci się wydaje. Ty się nie postarzałaś, ja nadał leczyć skutki odmrożenia. Ale w rzeczywistości minęło dwadzieścia siedem lat. Prawda?

- O czym ty mówisz, Kip?
- Słyszałaś kiedyś o teorii względności?
- Oczywiście, ale w tym wypadku nie ma ona zastosowania. Ta podróż w ogóle nie wymagała czasu. Piętnaście minut na wyjście z atmosfery Plutona. Mniej więcej tyle samo na lądowanie tutaj, ale między tym nic.

- Przy prędkości światła mogłaś odnieść takie wrażenie.

- Nie, Kip. - Marszczyła brwi, ale już po chwili jej twarz rozchmurzyła się. — Ile czasu minęło od momentu, kiedy uruchomiłaś radiolatarnię, do chwili, kiedy nas uratowali?

- Słucham? - To dało mi do myślenia. A więc ojciec nie umarł, mama nawet nie posiwała... - Może godzina.

- Troszeczkę więcej, a mogło trwać o wiele krócej, gdyby mieli statek gotowy do startu. Wtedy najprawdopodobniej znaleźliby w tunelu ciebie zamiast mnie. Wiadomość dotarła tutaj natychmiast. Pół godziny stracili na przygotowanie statku. Pamiętam, że wtedy nawet Wielka Matka była zdenerwowana. Trudno w to uwierzyć. Ale statek miał stać w pogotowiu...

— Przez cały czas?

— Na okrągło. Wielka Matka to ważna figura. Manewrowanie w atmosferze zabrało kolejne pół godziny. To wszystko. Trochę więcej niż godzinę rzeczywistego czasu.

Spróbowałem to wszystko ogarnąć. Potrzebowali godziny, aby przebyć dwadzieścia siedem lat świetlnych, i jeszcze dostali baty za spóźnienie. Biedny Einstein musi przewracać się w grobie... Ale w jaki sposób, do diabła, osiągają takie prędkości?

- Kip, czy masz pojęcie o geometrii? Nie mam na myśli tej starej, euklidesowej, ale prawdziwą geometrię.

— Hmm, coś tam wiem o otwartych, zamkniętych i zakrzywionych przestrzeniach, przeczytałem parę podręczników, ale w odniesieniu do tego, co tu się dzieje, można powiedzieć, że nie mam zielonego pojęcia.

- Przynajmniej nie będziesz usiłował podważyć teorii, że linia prosta nie musi być koniecznie najkrótszą drogą między dwoma punktami. - Uczyniła gest, jakby chciała zgnieść grejpfruta obiema rękami. - Bo nie jest! Kip, wszystkie dotychczasowe empiryczne dowody można spokojnie wyrzucić na śmietnik. Widziałam niezwykle model wszechświata wielkości filiżanki, gdzie elektrony i nukleony były upchane ciasno, bardzo ciasno. Coś w rodzaju „pierwotnego atomu”, za pomocą którego niektórzy naukowcy tłumaczą zjawisko rozszerzania się wszechświata. Niewykluczone, że wszechświat jest jednocześnie stabilny i dynamiczny. Na tej samej zasadzie co paradoks fali. Częstka nie jest falą, a fala nie może być częstką, a jednak występują obok siebie. Jeżeli wierzysz w dualistyczną naturę wszechświata, to tak samo, jakbyś wierzył we wszystko inne. Jeśli zaś nie wierzysz, to daj sobie w ogóle spokój z wiarą. Sam jesteś przecież falą.

- Iluwymiarową? - spytałem słabym głosem.

- A ile wymiarów byś sobie życzył?

- Ja? no... nie wiem... może dwudziestowymiarową?

Po cztery dla każdego podstawowego wymiaru i jeszcze kilka dla równego rachunku.

- Dwadzieścia to chyba za mało, zresztą nie wiem, ja też nie znam się na geometrii, chociaż kiedyś myślałam inaczej. Dopóki ich nie spotkałam.

- Wielkiej Matki?

- Nie! Ona prawie w ogóle nie zna się na geometrii. Opanowała same podstawy, potrzebne każdemu pilotowi.

- Same podstawy?! - Powinienem był poprzestać na biegłym opanowaniu zasad berka kucanego, a nie zajmować się poważną nauką, tak jak radził mi ojciec. Teraz już nigdy nie zaznam spokoju: im człowiek więcej wie, tym więcej zadaje pytań.

- Peewee, wiedziałaś, co oznaczała tamta latarnia radiowa, prawda?

- Ja? — Udawała niewiniątko. - No cóż, w zasadzie... tak.

- Wiedziałaś, że polecimy na Wekę.

- Taak... jeżeli latarnia działałaby prawidłowo i jeśli zostałaby odpowiednio nastawiona...

- No, a teraz pytanie za sto punktów. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Wiesz... - Peewee usiłowała oderwać guzik - nie byłam pewna, jak stoisz z matematyką; mógłbyś popaść w męski szowinizm, nie przyjmować niczego do wiadomości. Sam przyznaj, że było to całkiem możliwe.

(„Mówiłem Orville'wi, mówiłem Wilburowi, a teraz powtarzam tobie, że taki wynalazek nie może działać!”)

- Masz rację, Peewee, ale następnym razem, kiedy przyjdzie ci ochota zataić coś przede mną „dla mojego własnego dobra”, mogłabyś mimo wszystko zaryzykować i

założyć na chwilę, że nie jestem chronicznym przypadkiem skończonego durnia. Co prawda wiele mi brakuje do geniusza, ale obiecuję, że będę otwarty na wszelkie nowości, a nawet niekiedy mogę okazać się nieco pomocny, jeśli z wczasu wyjaśnisz mi swoje zamiary. Wyłączywszy z tego obrywanie guzików.

Pośpiesznie puściła guzik.

- Tak, Kip. Będę pamiętać.

- Dzięki. Jeszcze jedno nie daje mi spokoju. Byłem bardzo chory?

- Tak.

- W porządku, ale skoro mają statki, które pokonują przestrzeń bez straty czasu, to dlaczego nie poprosiłaś ich, aby odstawili mnie do jakiegoś porządnego ziemskiego szpitala?

Zawahała się przez chwilę, a później odpowiedziała pytaniem na pytanie:

- Jak się czujesz?

- Noo... całkiem nieźle, poza tym, że straciłem czucie w okolicach kręgosłupa i władzę w kończynach.

- Tak, to rzeczywiście przykre, ale przyznasz, że powoli wracasz do zdrowia.

- Oczywiście. Jestem już prawie zdrowy.

- Nie jesteś... ale będziesz. - Spojrzała na mnie uważnie. - Mam mówić otwarcie?

- Wał prosto z mostu.

- Gdybyśmy oddali cię do najlepszego szpitala na Ziemi, to byłbyś teraz „kadłubkiem”. Rozumiesz? Bez rącek, bez nówek. A tutaj, jak sam widzisz, powoli wracasz do

formy, obyło się bez amputacji. Nie tknęli nawet małego palca u nogi.

Pomyślałem, że Wielka Matka musiała mieć z tym coś wspólnego.

- Jesteś pewna? - spytałem.

- Na sto procent. Wkrótce będziesz skakał. - Nagle wykrzywiła z obrzydzeniem twarz. — Została z ciebie mokra plama! Widziałam na własne oczy.

- Było aż tak źle?

- To było okropne. Miałam w nocy koszmary.

- Nie powinni pozwolić ci na to wszystko patrzeć.

- Nie mogli mi zabronić. Jesteśmy przecież krewniakami.

— Co? Podałaś się za moją siostrę?

— Zapomniałaś już, że łączą nas więzy krwi?

Chciałem już wykrzyknąć, że chyba jej odbiło, gdy nagle ugryzłem się w język. Byliśmy jedynymi ludźmi w tej części galaktyki, jedynymi na przestrzeni milionów mil. Peewee jak zwykle miała rację.

— W ten sposób dostałam przepustkę - kontynuowała swój wywód.

— Dokąd? Co ze mną w końcu robili?

— Najpierw włożyli cię do ciekłego helu i zostawili tam, zabrali się do mnie i przez miesiąc wykorzystywali jako królika doświadczalnego. Później, jakieś trzy dni temu, wyciągnęli cię z kąpieli i wzięli w obroty. Odtąd wracasz do zdrowia.

— Jak wyglądam?

— Eee.. po prostu znowu rośniesz. To, na czym leżysz, nie jest łóżkiem, tylko podobnie wygląda.

— A co to w takim razie jest?

— W naszym języku nie ma odpowiedniego wyrazu, a oryginalnej nazwy nie jestem w stanie wymówić. Za wysokie dźwięki. W każdym razie wszystko tutaj, od podłogi do sufitu, wszystko w tym pomieszczeniu funkcjonuje z myślą o tobie. Jesteś obstawiony elektroniką jak szczur w fabryce podzespołów.

— Chciałbym to wszystko zobaczyć na własne oczy.

— Nie, nie możesz tego zobaczyć. Ale ty jeszcze o wszystkim nie wiesz. Musieli rozciąć twój kombinezon.

Ta wiadomość bardziej mnie uderzyła niż wszystkie nowinki na temat mojego stanu zdrowia.

— Co się stało z Oskarem? Przerobili go na części zamienne? Mój kombinezon, ma się rozumieć.

— Wiem, co czujesz; bredząc w malignie, zadawałeś Oskarowi pytania i sam na nie odpowiadałeś. Przyszło mi nawet do głowy, że jesteś schizofrenikiem.

— Mylisz pojęcia, moja droga, chociaż faktem jest, że moja świadomość uległa pewnemu rozszczepieniu. No dobra, ale sama też jesteś ładnie szurnięta.

— To dla mnie żadna nowość i pogodziłam się z tym już

dawno, ale wracając do tematu... Chcesz zobaczyć Oskara? Wielka Matka mówiła, że musisz go mieć w pobliżu, kiedy się obudzisz.

Otworzyła szafkę.

- Chwila! Mówiłaś, że musiano go pociąć.

- Ale, jak widzisz, wyremontowali twojego pupila. Teraz jest jak nowy, a dodatkowo zamontowano jeszcze parę przydatnych urządzeń.

(— Już pora, kochanie! Pamiętaj, co ci mówiłam.)

- Idzie Wielka Matka. Muszę spływać, ale niedługo wrócę...

- Dobrze, ale nie zamykaj szafki, żebym mógł widzieć Oskara.

Peewee odwiedziła mnie znowu, ale nie tak szybko, jak obiecywała. Prawdę mówiąc, nie mogłem czuć do niej urazy. Miała tyle interesujących spraw na głowie, tyle naukowych problemów do roztrząsania, ganiała więc jak kot z pęcherzem, przygotowując naszych gospodarzy o ból głowy. Nie powiem jednak, abym się specjalnie nudził. Wracałem do zdrowia, a jest to bardzo przyjemne zajęcie i do tego wcale nie męczące.

Nie widywałem też za często Wielkiej Matki. Zacząłem powoli rozumieć, że ma tutaj swoje obowiązki, choć nigdy nie dała mi tego odczuć. Jeśli poprosiłem ją o wizytę, nie spóźniła się dłużej jak godzinę i nie śpieszyła się z odejściem.

Nie była moim lekarzem, ani tym bardziej pielęgniarką. Podejrzewam, że czuwał nade mną zespół tutejszych weterynarzy, pilnie śledząc każde uderzenie mojego serca. Nie narzucali mi się zbytnio, chyba że sam poprosiłem o wizytę (mogłem mówić szeptem). Wkrótce przekonałem się, że mój pokój jest wprost naszpikowany aparaturą służącą do obserwacji i robienia pomiarów. Łóżko natomiast składało się z góry sprzętu przypominającego nasze sztuczne serca, sztuczne płuca i sztuczne nerki. Podejrzewam, że nawet tutejszy nocnik był bardziej skomplikowany niż niewidzialny bombowiec armii amerykańskiej.

Nigdy nie udało mi się podejrzeć tej całej maszynerii (wszelkie kontrole sprawności urządzeń odbywały się, kiedy spałem), ale domyślałem się mniej więcej, na jakiej zasadzie działają. Później okazało się, że nie skonstruowali dla mnie nowej powłoki cielesnej, ale umiejętnie stymulowali proces samoregeneracji, co nie jest znów czymś takim nadzwyczajnym. Byle dżdżownica czy rozwielitka radzi sobie z tym doskonale. Pokroisz taką na kawałki, a w rezultacie otrzymasz tuzin nowych osobników.

Tę sztukę powinny opanować wszystkie zwierzęta, gdyż wzór genotypu znajduje się w każdej komórce. Ludzie stracili zdolność samoregeneracji kilka milionów lat temu. Każde dziecko wie, że nauka usiłuje zrekonstruować tę umiejętność. Można przeczytać artykuły: optymistyczne w „Reader’s Digest”, pesymistyczne w „The Scientific Monthly”, najgorsze w czasopismach, których „redaktorzy naukowci” asystowali przy kręceniu trzeciorzędnych horrorów. Ale badania trwają. Niedługo, jeśli ktoś zginie w wypadku, to tylko z powodu utraty krwi.

Miałem niepowtarzalną szansę, aby podpatrzeć, jak działa tutejsza aparatura, ale nic z tego nie wychodziło.

A przecież próbowałem. Nie było powodów, aby lękać się kar za szpiegostwo technologiczne (Wielka Matka podczas każdych odwiedzin zaglądała mi głęboko w oczy i powtarzała, że nie muszę się niczego obawiać). Tak więc koniecznie chciałem się dowiedzieć, na czym polega cały proces.

Weźcie jakiegoś dzikusa z epoki kamienia łupanego. Niech ma nawet iloraz inteligencji równy 190 i podobną chłonność umysłu co Peewee. Wsadźcie go do laborato-

rium fizyki jądrowej i zapewnijcie wszelką możliwą pomoc. Ile z tego wszystkiego zrozumie?

Będzie wiedział, jak trafić do WC oraz co oznaczają tabliczki z napisem „Niebezpieczeństwo”,

Na tym koniec. Nawet przy założeniu, że mamy do czynienia z geniuszem, będzie on potrzebował przynajmniej dwudziestu lat intensywnego szkolenia, aby móc zadać właściwe pytanie i zrozumieć otrzymaną odpowiedź.

Zadawałem wiele pytań i zawsze otrzymywałem wyczerpujące odpowiedzi, zrobiłem nawet masę notatek, ale były tak sprzeczne i nieskładne, że później nie było sensu ich przepisywać. Notatki dzikusa obserwującego rozszczepienie atomu... Czasami coś podobnego słyhać w radiu — poziom zakłóceń uniemożliwia jakąkolwiek transmisję informacji.

Czasami miałem do czynienia z autentycznym hałasem. Zadając jakieś pytanie, często doskonale rozumiałem część odpowiedzi, ale kiedy pytany dochodził do sedna sprawy, wówczas zaczynałem słyszeć jedynie śpiew ptaszków. Nawet kiedy tłumaczem była Wielka Matka, raz po raz zamiast poszczególnych słów słyszałem urocze trele. Dla wyjaśnienia warto dodać, że nigdy nie rozmawialiśmy w dosłownym tego słowa znaczeniu. Wielka Matka nie była w stanie mówić naszym językiem, a i my nie mieliśmy odpowiednich zdolności, aby śpiewać jak ptaszki, no i oczywiście nie znaliśmy ich języka. Weganie... (Mówię Weganie, choć na podobnej zasadzie nas można by nazwać „Słonecznicy”; prawdziwa nazwa ich rasy przypominała świst wiatru między drzewami. Wielka Matka miała również bardzo piękne imię, ale żeby je wymówić, musiałbym mieć głos jak

śpiewaczka operowa. Peewee czasami używała go, aby się przy-milić i zawsze coś dzięki temu uzyskała.) Tak więc Weganie mieli niezwykły talent do wchodzenia w czyjąś skórę, mówiąc obrazowo. Nie była to chyba telepatia, lecz raczej empatia.

Każdy osobnik miał przy tym tę zdolność rozwiniętą w odmiennym stopniu. To tak jak u nas, wszyscy mogą prowadzić samochód, ale nie każdy nadaje się na kierowcę formuły 1. Wielka Matka była chyba prawdziwym Niki Laudą owej specjalności. Czytałem kiedyś, że pewna aktorka potrafiła przemawiać po włosku w tak przekonujący sposób, że rozumiały ją nawet osoby nie władające tym językiem. Nazywała się chyba Duce, nie... Duce to był dyktator... nieważne, to było coś w tym stylu.

Pierwsze słowa, jakie „zamieniłem” z Wielką Matką, to były zwroty w rodzaju; „dzień dobry”, „dobranoc”, „do widzenia”, „dziękuję”. Nie mam pojęcia, jakim cudem zdołała przekazać mi konkretne komunikaty. W każdym razie z upływem czasu zacząłem w ogóle odbierać wydawane przez nią dźwięki jako mowę, a i ona rozpoznawała znaczenie moich słów coraz lepiej; była naprawdę bardzo uzdolniona pod tym względem. Świadczy o tym fakt, że bez problemów dogadywała się z Peewee, kiedy były razem uwięzione.

Ale to, co było stosunkowo łatwe w przypadku zwrotów w rodzaju: „Jak się masz?”, „Jestem głodny” i „pośpieszmy się”, stawało się trudniejsze w zestawieniu ze słowami abstrakcyjnymi w rodzaju „heterodyna” czy „aminokwasy”, nawet jeżeli w obu językach występowały podobne pojęcia. Jeżeli jakieś ich słowo nie miało odpowiednika w

naszym języku i odwrotnie, cała robota szła na marne. Dlatego nie mogłem zrozumieć moich „weterynarzy”, nawet gdy „rozmawialiśmy” po angielsku.

Sygnal wysłany przez radio może być odebrany tylko przez radiodbiornik dostrojony do odpowiedniej częstotliwości, a bez tego jest po prostu ciszą. Nie znałem ich częstotliwości nadawania.

Niemniej, kiedy rozmowa nie schodziła na tematy naukowe, potrafiliśmy się jakoś dogadywać. Weganie byli bardzo sympatyczni, lubili dużo mówić, często się śmiali i wyglądało na to, że nie ma między nimi konfliktów. Miałem na początku tremę, gdy zostawałem z którymś z nich na osobności (z wyjątkiem Wielkiej Matki oczywiście). Oni z kolei rozróżniali mnie i Peewee tylko po tym, że ja byłem chory, a ona nie. Ich dyskusje były dla mnie wprost niesamowite, czułem się jak w rozśpiewanym lesie lub zgola na przedstawieniu operowym. Nawet moje imię w ich wydaniu było skomplikowaną uwerturą. Ich mowa była dla mnie niezwykle barwna czy wręcz cudowna, jak dźwięki letniego poranka.

Po tym wszystkim, co przeżyłem, z pewnością będę patrzył na byle kanarka z dużo większym szacunkiem niż dotychczas, nawet jeśli na to nie zasługuje.

Większości rzeczy, o których będę teraz mówił, dowiedziałem się od Peewee. Szpitalne łóżko nie jest bowiem najlepszym miejscem do badania obcych planet. Wega Pięć miała mniej więcej ziemską grawitację, atmosferę zawierającą podobnie jak nasza tlen i dwutlenek węgla oraz wodę. Ludzie nie mogliby na niej żyć głównie z powodu silnego światła słonecznego, zawierającego dawkę promienio-

wania ultrafioletowego wystarczającą do szybkiego uśmiercenia przedstawicieli naszego gatunku. Tutejsze powietrze zawierało również sporo ozonu, którego śladowe ilości znakomicie orzeźwiają letnie burzowe wieczory, ale w większych dawkach jest on równie zabójczy jak kwas pruski. Warto jeszcze wspomnieć o obficie tutaj występującym podtlenku azotu, który także mógłby być dla ludzi szkodliwy na dłuższą metę. Mój pokój był oczywiście odpowiednio przystosowany pod tym względem. Weganie mogli w nim oddychać, ale nie sprawiało im to przyjemności. Twierdzili, że „moje” powietrze ma okropny smak.

O kilku sprawach dowiedziałem się zupełnie przypadkiem. Wielka Matka prosiła mnie, żebym opowiedział, w jaki sposób wplątałem się w tę awanturę. Kiedy skończyłem, poprosiła mnie jeszcze, abym opowiedział jej coś o Ziemi, jej historii i stosunkach między ludźmi. Nie było to dla mnie specjalnie łatwe zadanie, gdyż, jak stwierdziłem, nie mogłem się popisać zbyt rozległą wiedzą o takim dajmy na to starożytnym Babilonie i jego stosunkach z Egiptem. Potrafiłem posługiwać się jedynie ogólnikami.

Być może Peewee spisała się na tym odcinku lepiej, bo — podobnie jak jej tata — potrafiła zapamiętać wszystko, co kiedykolwiek widziała, słyszała lub czytała. Ale chyba nie przemęczali jej zbyt, bo cały czas byli zajęci moją osobą. Interesowaliśmy Wielką Matkę na podobnej zasadzie co nas tubylcy australijscy, poza tym mogła uczyć się języka. Istniał jeszcze inny powód.

Nie była to łatwa praca, ale przydzielono mi Weganina do pomocy. Nazywałem go profesorem Josephusem Jajogłowym. „Profesor” dosyć do niego pasował, a prawdziwe-

go imienia nie jestem, rzecz jasna, w stanie wymówić. Mówiłem na niego Joe, a on określił mnie melodyjką, która oznaczała mniej więcej „Clifford Russel, potwór z lodówki”. Joe potrafił zrozumieć mnie równie dobrze jak Wielka Matka. Ale jak przedstawić komuś takie pojęcia, jak „cło” czy „król”? Oczywiście angielskie słowa były tylko dźwiękami bez znaczenia.

Joe znał jednak historie wielu ras oraz planet i mógł „wywołać” coś w rodzaju filmów (w kolorze i stereo!), dzięki którym byłem w stanie sprecyzować, o co mi w zasadzie chodzi. Długo razem pracowaliśmy. Ja, leżąc, mówiłem do srebrnej kuli unoszącej się tuż przy moich ustach, a Joe siedział zwinięty w kłębek (zupełnie jak kot) na platformie podniesionej do poziomu mojego łóżka i dyktował tłumaczenie do mikrofonu (sporządzał też na bieżąco notatki). Jego sprzęt działał w ten sposób, że nie słyszałem go, dopóki nie przemówił bezpośrednio do mnie.

Kiedy wynikały jakieś poważniejsze problemy, Joe przestawał dyktować i wyświetlał przykładową scenkę, która obrazowała jego wyobrażenie moich słów. Obrazy były jakby zawieszane w powietrzu tuż przed moim nosem i jeżeli postanowiłem, powiedzmy, obrócić głowę, przesuwały się razem z nią. Ich jakość była, rzecz jasna, perfekcyjna, pojawiały się w powietrzu ni stąd, ni zowąd (nigdy nie widziałem żadnego urządzenia, które przypominałoby projektor), a po godzinach pracy moją największą przyjemnością było wyświetlanie najlepszych widoczków (zwłaszcza Wielkiego Kanionu, który był tak realistyczny, że chciałoby się go dotknąć ręką).

Bardziej niż same techniczne sztuczki zafascynowała mnie metoda ich wykorzystania. Spytałem o to profesora Josephusa. Powiedział coś do mikrofonu i ruszyliśmy w szaleńczą podróż po ich „bibliotece rządowej”.

Tata twierdził zawsze, że biblioteki są podstawą istnienia wszystkich gałęzi nauki, na podobnej zasadzie jak matematyka stanowi do nich klucz. Postęp jest w wielkiej mierze efektem ciężkiej pracy bibliotekarzy. Nie powiem, żeby budzili oni mój szczególnie zachwyt, ale być może i tutaj ojciec miał rację...

W „bibliotece” siedziało wiele setek albo nawet tysięcy Wegan, którzy oglądali obrazki albo słuchali nagrań dźwiękowych. Przed każdym wisiała srebrna kula. Były to „żywe pamięci” spełniające funkcje kartek w katalogu i były niczym innym jak elektronicznymi mózгами, wiernymi kopiami swoich materialnych odpowiedników.

Zauważyłem trójkątny znak, taki sam, jaki nosiła Wielka Matka, ale obraz zniknął za szybko, abym zdążył cokolwiek zapamiętać. Joe też nosił podobną ozdobę, ale nie widziałem takich u innych Wegan. Nie miałem okazji spytać o ten znak ani możliwości, by mu się dokładnie przyjrzeć, gdyż obrazy zmieniały się na ekranie bardzo szybko i musiałem wyteńczyć całą uwagę, aby nadażyć. Później doszedłem do wniosku, że mogło to być coś w rodzaju odznaczenia czy orderu. Pewnie Wielka Matka i Joe wyróżniali się inteligencją nawet wśród Wegan.

Za każdym razem, kiedy Joe zrozumiał jakąś partię słów, okazywał swą radość bardzo entuzjastycznie: kręcąc się w kółko, fikając koziołki i w ogóle reagując jak szczeniak.

Ich ciała są ruchliwe, jakby płynne, a stany emocjonalne wyraźnie widoczne. Nieruchomy Weganin musi być albo bardzo chory, albo bardzo zmartwiony.

Dzięki spotkaniom z Josephusem Jajogłowym mogłem zwiedzić planetę, nie ruszając się z łóżka. Zapoznano mnie między innymi z tutejszym systemem szkolnictwa, aczkolwiek ta nieco sztywna nazwa nie pasuje do tego, co zobaczyłem. Przede wszystkim długo i cierpliwie musieli mi tłumaczyć różnicę między szkołą podstawową a uniwersytetem; sam bym jej nie zauważył. Przedszkole było już bardziej charakterystyczne - kilku dorosłych Wegan wprost obłożonych przez najmłodsze latorośle tej rasy. Przypominało mi to szczeniaki kłębiące się w kojcu. Weganie byli niedoścignionymi mistrzami w dobieraniu kształtu budynków do charakteru mieszczących się tam instytucji. Uniwersytet na przykład miał w sobie wiele dostojnego piękna. Był to zespół budynków o fantastycznych, asymetrycznych kształtach, otoczonych wspaniałymi, choć niesamowitymi drzewami. Nie miało to żadnych analogii w naszej architekturze, ale prawdę mówiąc, tak do tego przywykłem, że nic by mnie bardziej nie przeraziło jak swojski widok.

Ich styl architektoniczny miał jednak coś, co Grecy określali mianem entasis, to jest piękna połączonego z siłą.

Któregoś dnia Joe przybiegł do mnie wprost nieprzytomny z radości. Miał ze sobą srebrną kulę, podobną do tych, jakie widziałem w bibliotece, ale znacznie większą. Położył ją obok mnie i zaśpiewał do niej coś, co znaczyło („chciałbym, abyś to usłyszała, Kip”).

Jak tylko skończył, kula przetłumaczyła jego falę na płynną angielszczyznę: „chciałbym, abyś to usłyszała, Kip”!

Po czym, nadal nie panując nad odruchami radości, wyciągnął z zanadru jeszcze jedną, bliźniaczą kulę i poprosił mnie, abym coś powiedział.

- Co takiego miałbym powiedzieć? - zapytałem,

(-- Co takiego miałbym powiedzieć?) - zaśpiewała kula po wegańsku.

To były moje ostatnie „zajęcia” z profesorem Josephusem Jajogłowym.

Pomimo całej pomocy, jaką mi okazywali, a nawet pomimo całego geniuszu dydaktycznego Wielkiej Matki, czułem się tutaj jak osioł na Harvardzie. Można mnie było zrobić nawet profesorem honoris causa, ale nigdy nie zdałbym najłatwiejszego egzaminu. Nie zrozumiałem nawet zasad, według których funkcjonował wegański rząd. Oczywiście, w najmniejszym zakresie nie przystawały one do żadnego z ziemskich systemów. Joe dobrze wiedział, na czym polegała demokracja, głosowanie, trójpodział władzy; znał ten typ rządów z wielu planet. Uważał, że jest to dobry system, ale tylko na początek. Stwierdzenie brzmiało protekcyjnie, ale trudno poczytywać im to za złe.

Nigdy nie skonfrontowano mnie z wegańską młodzieżą. Joe tłumaczył to w ten sposób, że dzieciaki nie powinny spotykać przedstawicieli innych ras, dopóki nie nauczą się ich lubić. Prawdę mówiąc, gdyby jakiś ziemski dziesięciolatek zobaczył Weganina, to zapewne albo by uciekł, albo -jeszcze gorzej - pogonił go kijem.

Próbowałem naciągnąć Wielką Matkę na dyskusje o ich

rzędzie, jak radzą sobie z utrzymywaniem porządku, co z przestępcami i ich karaniem albo z ruchem ulicznym.

Myślała w skupieniu długi czas, aż w końcu odpowiedziała: („Jak można wystąpić przeciwko własnej naturze?”). Wtedy zrozumiałem, że ich najgorszą wadą jest to, że nie mają żadnych wad. To może być męczące na dłuższą metę.

Medycy zainteresowali się lekarstwami, które znaleziono przy Oskarze, i chociaż patrzyli na nie jak na ziółka jakiegoś znachora, to jednak chcieli się o nich jak najwięcej dowiedzieć, aby móc to wykorzystać w praktyce.

Objąśniłem im nazwę i zastosowanie każdego z leków, sam będąc zdziwiony, jak dużo wiem. Zapamiętałem, że kodeinę uzyskuje się z opium, a opium z makówek. Wiedziałem, że deksedryna jest jakimś siarczkiem, ale skąd się wziął ten siarczek, to już było dla mnie za trudne. Chemia organiczna jest zresztą bardzo skomplikowana, nawet jeżeli nie ma się dodatkowych problemów językowych. A te występowały przy wyjaśnieniu, co to jest, na przykład, pierścień benzenowy. Peewee rysowała ten wzór, ale z marnymi rezultatami. Później zresztą pojawiły się następne problemy z cząsteczką, izotopem i połowicznym rozpadem oraz tablicą okresową. Kiedy wreszcie wyjaśniliśmy pojęcia podstawowe, okazało się, że ani ja, ani Peewee nie znamy wzoru chemicznego kodeiny i nie damy rady odtworzyć go nawet za pomocą wegańskich zabawek do nauki chemii, które nam dostarczono. Miałem wrażenie, że przyparłyby one o ból głowy niejednego profesora.

Peewee jednakże doskonale się przy tym bawiła. Wcale nie przeszkadzał jej fakt, że nauczyła się od Wegan wiele, nie dając im nic w zamian.

Nawet nie wiem, kiedy zauważyłem, że Wielka Matka nie jest w zasadzie kobietą, ale wśród Wegan bycie matką jest kwestią wyboru, a nie biologicznego przymusu.

Gdyby Noe chciał zbudować swoją arkę na Wedze, zwierzęta miałyby po dwadzieścia płci; niewątpliwie wiele spraw by to skomplikowało. Bycie „wielką matką” jest związane z obowiązkiem opiekowania się innymi, ale wszystkie wielkie matki wcale nie muszą być tej samej płci. Jest to tylko kwestia temperamentu.

Spotkałem także jednego „wielkiego ojca”. Można go było określić jako prezydenta, burmistrza, ale także proboszcza czy drużynowego. Jego prestiż pozbawiony był wszelkiej pychy czy zarozumiałości, widziałem go podczas zajęć z Josephusem. Patrzył na nas jakieś pięć minut, pochwalił profesora Josephusa za efektywny wysiłek, powiedział, abym się starał, pogratulował postępów i oddalił się bez pośpiechu. Ujął mnie pewną bardzo ciepłą siłą, jaka od niego emanowała i która od razu przypomniała mi ojca. Nikt nie musiał mnie informować, że mam do czynienia z „wielkim ojcem”, sam na to wpadłem. Jego odwiedziny miały wszelkie znamiona kurtuazyjnej wizyty u rannego, ale bez żadnego ceremoniału, który mógłby mnie onieśmielić.

Joe nigdy nie próbował okazywać mi matczynych czy też ojcowskich uczuć, po prostu był moim „wielkim profesorem”.

Pewnego dnia Peewee wpadła do mnie ubrana dość niecodziennie, prawdę mówiąc wyglądała jak manekin lub

robot o imieniu: „Czy ci się podoba moja wiosenna kreacja?”

Miała na sobie srebrzysty, przylegający ściśle do ciała kostium, „ozdobiony” małym garbem przypominającym nieco plecak. Całość prezentowała się dość oryginalnie, ale niezbyt pięknie. Peewee z natury była dość chuda, a ten strój tylko to podkreślał.

- Bardzo zabawne - podsumowałem kąśliwie. - Zamierzasz tu zrobić karierę linoskoczka?

- Nie bądź głupi, Kip. To mój nowy kombinezon kosmiczny.

Spojrzałem na starego, grubego Oskara, który zajmował całą szafkę. - Słyszałeś to, stary?

(- Aby skafander działał prawidłowo, potrzebne są wszystkie części.)

- No właśnie - zwróciłem się do Peewee. - Nie zapomniałaś przypadkiem kasku?

- Przecież mam go na sobie - zachichotała.

- Doprawdy? „Nowe szaty cesarza”?

- Prawie zgadłeś, a teraz odrzuć na chwilę przesady i posłuchaj. Mój kombinezon jest dokładnie taki sam jak Wielkiej Matki, z tym że został zrobiony specjalnie dla mnie. Mój poprzedni nie był wystarczająco sprawny, dlatego wykonali mi następny, który z pewnością cię zadziwi. Spójrz, to jest hełm, on rzeczywiście istnieje, choć nie możesz go zobaczyć. To jest pole. Nie zachodzi przezeń wymiana gazowa, dotknij!

- A czym?

- Ach, zapomniałam. Wróciłeś już zupełnie do zdrowia i możesz opuścić łóżko: wezmę cię na spacer.

- Jestem wdzięczny. Mówili, że to nie potrwa zbyt długo.

- Rzeczywiście, nie trwało. A teraz patrz. - Wzięła duży zamach i próbowała uderzyć się w twarz. Jej dłoń uderzyła w jakąś barierę, o kilka cali od głowy. - A zobacz teraz.

Tym razem poruszała rękami bardzo powoli. Jej dłonie przeniknęły niewidzialną barierę, otaczającą głowę na kształt aureoli. Dotknęła twarzy, zagrała palcami na nosie i zachichotała.

Byłem pod wrażeniem. Przepuszczalny kombinezon! Dzięki temu mógłbym na przykład podać Peewee wodę czy deksedrynę lub glukozę, gdyby zaistniała taka potrzeba.

- A niech mnie szlag! - zakląłem. - Jak to działa?!

- Baterie umieszczone są na moich plecach pod zbiornikami z powietrzem, które starczą na tydzień. Z przewodami nie ma problemów, ponieważ ich nie ma.

- A przypuśćmy, że będziesz miała zwarcie w przestrzeni. Oddychanie w próżni jeszcze nikomu nie wyszło na zdrowie.

- Wielka Matka twierdzi, że coś takiego nie ma prawa się stać!

Hmm. Nigdy nie widziałem, aby Wielka Matka myliła się w takich sprawach.

- To jeszcze nie wszystko - kontynuowała Peewee, nie zrażona moim sceptycyzmem. - Wygląda to jak skóra, połączenia nie uwierają, a na dodatek kombinezon utrzymuje stałą temperaturę bez względu na warunki otoczenia.

- Nie zamierzasz chyba wychodzić w tym na powietrze-

nię! Słońce może cię zabić, sama mówiłaś, że promieniowanie jest tu bardzo niezdrowe.

— Ale nie w tym ubraniu. Pole siłowe polaryzuje twarde promieniowanie. Poproś o taki sam skafander, to pójdziemy trochę pobiegać!

Spojrzałem znacząco na Oskara.

(- Rób, jak uważasz, stary. Wcale nie jestem zazdrosny.)

— Peewee, chyba zostanę na starych śmieciach. Ale z chęcią obejrzę to twoje małe wdzianko.

— „Małe wdzianko”, też wymyślił!!!

Pewnego ranka po przebudzeniu przewróciłem się z boku na bok i stwierdziłem, że jestem głodny.

Nagle aż usiadłem z wrażenia - PRZEWRÓCIŁEM SIĘ Z BOKU NA BOK!

Moje ciało znowu słuchało rozkazów mojego umysłu! Mogłem się ruszać! Wreszcie to, na czym leżałem, nie było już skomplikowaną maszyną, ale łóżkiem, zwyczajnym łóżkiem. Co więcej, po raz pierwszy od czasu, gdy znalazłem się na Wedze, byłem głodny. Normalna reakcja po tym, jak odstawili mi „kroplówkę”, do której byłem poprzednio cały czas podłączony.

Przyjemność odczuwania głodu nie była jednak najważniejsza, trudno wypowiedzieć, jak wiele szczęścia dawało mi posiadanie znów ciała, własnego ciała. Żwawo wyskoczyłem z łóżka, oszołomiony szczęściem, zmartwychwstały, rozradowany. Miałem ręce! Miałem nogi!

Sprawdziłem wszystkie znów sprawne kończyny - były takie, jakie je zapamiętałem. Ani śladu blizn czy zranień.

Zaraz, niezupełnie. Zorientowałem się po dłuższej chwili, że zniknęła moja stara blizna na policzku, pamiątka po niezapomnianej grze na drugiej linii. Przedtem miałem też tatuaż - słowo „Matka” na lewym przedramieniu (dla odmiany pamiątka z hucznego karnawału). Matka była tym zbulwersowana, ojciec, aczkolwiek zde gustowany, powiedział, abym już tego nie usuwał. Zostało więc tak, jak było.

Nie znalazłem śladu po zgrubieniach na stopach.

Często obgryzałem paznokcie. Teraz paznokcie miałem trochę za długie, ale kształt nie pozostawiał nic do życzenia. Paznokcia małego palca lewej nogi od dwóch lat w ogóle nie miałem. Kiedyś za mocno zamachnąłem się siekierką przy rąbaniu drewna. Teraz znów był na swoim miejscu.

Zacząłem gorączkowo szukać blizny po operacji usunięcia wyrostka robaczkowego. Gdybym jej nie odnalazł, zacząłbym wątpić, czy wciąż jestem tą samą osobą.

Nad szafką wisiało lustro. Zobaczyłem, że mam już prawie tak długie włosy, jak wokalista jakiegoś wyjącego zespołu, ale za to byłem ogolony.

Na szafce leżała jednodolarówka i 67 centów w drobniakach, ołówek automatyczny, kartka papieru, zegarek i chusteczka do nosa. Zegarek chodził. Banknot, kartka papieru i chusteczka były dokładnie wyprane.

Moje ubranie, starannie wyczyszczone i zreperowane, leżało na biurku. Tylko skarpety były zupełnie nowe, z bardzo delikatnego, ledwo wyczuwalnego materiału, charakteryzującego się jednak dużą wytrzymałością. Na podłodze leżały tenisówki podobne do tych, które nosiła tu Peewee, ale pasujące idealnie na moją nogę. Właśnie kiedy

już ubrany przechadzałem się po pokoju, Peewee kopnęła w drzwi.

- Wszyscy w domu? - Weszła, niosąc tacę. — Jesteś głodny?

- Peewee! Spójrz na mnie!

- Noo, nieźle - stwierdziła. - Jak na małpę - dodała. Przydałby ci się fryzjer.

- Tak, tak, ale czy to nie jest wspaniałe, że znowu jestem cały i w jednym kawałku?!

- Zawsze tworzyłeś integralną całość, jeśli nie liczyć pryszczu. Gdzie to położyć?

Nie czekając na odpowiedź, położyła tacę na stole.

- Peewee? - zapytałem niemal błagalnym głosem. - Nie cieszysz się, że wróciłem do zdrowia?

- Oczywiście, że się cieszę. Dlatego właśnie wyrwałam im tacę ze śniadaniem, żeby sama ci ją przynieść. Wiedziałam już od wczoraj o terminie „inauguracji”. A kto, według ciebie, obcinał ci paznokcie i golił? Należy się dolar. Ostatnio stawki poszły w górę.

Wziąłem trochę sfatygowany banknot i wręczyłem jej.

Nie chciała go przyjąć.

- Nie znasz się na żartach? - spytała.

- „Nigdy nie bądź dłużnikiem, ani wierzycielem”.

- Poloniusz. Stary zidiociały nudziarz! Kip, nie wzięłabym przecież od ciebie ostatniego dolara...

- A co, kto się teraz nie zna na żartach?

- Ech, jedz już lepiej to swoje śniadanie, ten czerwony sok - objaśniała. - Smakuje jak pomarańcza, bardzo dobry. Substancja, która przypomina jajecznicę, jest zrobiona oczywiście ze sztucznych jajek. Mają co prawda ładny żółty

kolor, ale są niesmaczne, co nie jest dziwne, wzięwszy pod uwagę, skąd oni je biorą. Imitacja masła z olejów roślinnych jest już lepsza. Kolorek wybrałam osobiście, bo oryginalny byłby dla ciebie zbyt dużym szokiem. Chleb to po prostu chleb. Sama go piekłam. Sól jest także oryginalna, aczkolwiek oni uważają, że to trucizna. Możesz jeść śmiało, sama wszystkiego próbowałam, kawy nie ma.

- Myślę, że jakoś to przeżyję.
- Nie chcę produkować podróbek, lecz zamierzam wyhodować prawdziwe kawowce. Jedz. Powinieneś uzupełnić braki cukru w organizmie.

Pachniało apetycznie.

- A co ty będziesz jadła?
- Skończyłam śniadanie godzinę temu, teraz popatrzę, jak ty sobie radzisz.

Smak mojego pierwszego od dłuższego czasu śniadania określiłbym jako dość osobliwy, ale zjadłem wszystko grzecznie, tak jak mi kazano, i prawdę mówiąc, nigdy przedtem samo jedzenie nie sprawiło mi tyle przyjemności.

W połowie posiłku przypomniałem sobie o sztuccach.

- A co z nożem, widelcem, łyżeczką...?
- Możesz dostać takie, jakich oni używają - zaśpiewała ich nazwę. - Mam swój komplet naszych. Wykonano je specjalnie dla mnie na podstawie rysunku, kiedy nie mogłam dać sobie rady z tutejszymi sztuccami. 'Zamówię dla ciebie taki sam, ale to potrwa.

Do śniadania były nawet dołączone serwetki, podobne do naszych, tylko znacznie sztywniejsze, woda smakowała jak destylowana i oczywiście nie była gazowana. Nagle przypomniało mi się coś zupełnie innego.

- Peewee, jak ty mnie goliłaś? Obeszło się bez żadnego zacięcia?

- To ich urządzenie bije na głowę wszelkiego rodzaju żyletki i maszynki. Gdybyś opatentował je na Ziemi, ludzie kupowałyby je jak ciepłe bułeczki. Nie skończysz?

- Hmm. - Jeszcze niedawno wydawało mi się, że mogę zjeść konia z kopytami. - Nie, dziękuję.

- No to ja ci pomogę.

Posmarowała ostatni kawałek chleba „masłem”, zjadła i oznajmiła:

- A teraz przepraszam na moment.

- Dokąd idziesz?

- Ubrać się. Zabieram cię na spacer.

Cała część przedpokoju, niewidoczna z miejsca, w którym leżałem, nie była już imitacją ziemskiego mieszkania, niemniej za drzwiami po lewej znajdowała się łazienka.

Nie upodobniono jej do ziemskiej : kanalizacja i oświetlenie były typowo wegańskie, ale korzystanie z nich nie sprawiło mi żadnych kłopotów.

Peewee odczekała, aż sprawdzę stan Oskara. Po tym, jak go ode mnie odłączyli, musieli mieć sporo roboty z naprawieniem wszystkich jego mechanizmów. Był także dokładnie wyczyszczony od wewnątrz i z zewnątrz, wyglądał więc i czuł się dobrze pod każdym względem.

- Jesteś w niezłej formie, stary.

(- Bądź co bądź mają tu doskonałą obsługę.)

- Zauważyłem. - Obejrzałem się i zobaczyłem, że Peewee czeka na mnie w swojej „wiosennej kreacji”.

- Peewee, czy my naprawdę musimy być ubrani w skafandry, żeby wyjść na zewnątrz?

- Nie, oczywiście, że nie. Pod warunkiem, że założysz respirator, okulary przeciwsłoneczne i azbestowy uniform chroniący przed wysoką temperaturą.

- Przekonałaś mnie. A co tam z Madame Pompadour? Jak wsadziłaś ją pod ten kostium?

- Było trochę ciasno, ale jakoś ją upchnęłam. Tym razem zostawiłam ją jednak w pokoju i kazałam uważać na siebie.

- Posłucha?

- Pewnie nie. Wdała się we mnie.

- Gdzie jest twój pokój?

- Za tymi drzwiami naprzeciwko. Tylko ta część budynku jest przystosowana dla Ziemiaków.

Zacząłem się ubierać.

- Posłuchaj, czy ten błazeński kostium ma jakieś radio?

- Ma wszystko... i jeszcze trochę. Nie zauważyłaś żadnych zmian u Oskara?

- U Oskara?! A co takiego miałem zauważyć? Naprawili go i wyczyścili.

- I jeszcze coś. Małe urządzenie zamiast anten, które pozwala ci rozmawiać, chociaż nie nosisz radia, z wszystkimi dookoła.

- Nie widzę tu żadnego głośnika.

- Oni są mistrzami miniaturyzacji.

Miałem wreszcie okazję rozejrzeć się po pokoju Peewee. Nie był urządzone w wegańskim stylu (widziałem wegańskie pokoje w „telewizji”). Myślę, że nie był też kopią jej pokoju, oczywiście o ile rodzice Peewee byli zdrowi psychicznie.

Nie bardzo nawet wiem, do czego ten pokój przyrównać. Było to skrzyżowanie arabskiego haremu z fantazyjnym stylem szalonego Ludwika Bawarskiego i miniaturą Disneylandu.

Nie zamierzałem komentować tego swoistego wystroju wnętrza. Domyślałam się, że sama go sobie zaprojektowała, a później okręciła sobie Wielką Matkę wokół małego palca, tak że jej najosobliwsze marzenia zostały spełnione i dostała taki pokój, jaki chciała.

Dom Wielkiej Matki był co prawda mniejszy od Białego Domu, ale niewiele. Zapełniała go licząca setki osób rodzina. Rodzina to oczywiście skromne określenie na cały klan czy — powiedzmy - drzewo genealogiczne, które tam widziałem. Trzymano nas tylko z dala od jego najmłodszych gałęzi; bądź co bądź byliśmy tu „potworami”.

Natomiast wszyscy starsi witali się ze mną, składali życzenia, pytali o zdrowie i gratulowali. Już samo tylko mówienie „dziękuję” i „wszystko w porządku” poważnie mnie zmęczyło.

Wszyscy, oczywiście, znali już Peewee, która potrafiła nawet wyśpiewać ich imiona. Wydawało mi się, że rozpoznałem jednego z moich lekarzy, ale oczywiście nie jestem tego pewien, gdyż do tej pory nauczyłem się rozpoznawać jedynie Wielką Matkę i profesora Josephusa oraz szefa mojego personelu medycznego, których akurat tu nie było.

Zwiększyliśmy nieco tempo zwiedzania. Dom Wielkiej Matki nie różnił się specjalnie od innych. Podstawowym wyposażeniem były okrągłe poduchy, grube na stopę, o średnicy czterech stóp, gładkie i sprężyste, służące jako

łóżka i krzesła. Podłoga bez dywanów. Większość sprzętów poprzyczepiano do ścian, można się było tam dostać, używając całego systemu klamer i uchwytów. Wystarczyło też po prostu wejść na jedną ze stojących pod ścianami roślin, która wtedy zaczynała rosnąć, windując cię na żadaną wysokość.

Przechodząc pod wieloma parabolicznymi sklepieniami, dotarliśmy do balkonu. Nie był niczym ogrodzony, a odległość do znajdującego się pod nim tarasu wynosiła co najmniej 75 stóp. Przyklepiłem się do ściany, nie chcąc za żadne skarby świata podejść do krawędzi, co odebrało Oskarowi możliwość oglądania widoków.

Peewee natomiast stanęła nad przepaścią i chwyciwszy za smukłą kolumnę, wychyliła się mocno na zewnątrz. Gdy padło na nią jasne światło Wegi, jej „hełm” uwidoczniał się jako otaczająca ją sfera.

- Chodź tutaj! - zawołała.
- Żeby skręcić sobie kark? Za żadne skarby świata!
- Co? Czyżbyś się bał wysokości?
- Tak, zwłaszcza wtedy, kiedy nie wiem, co robię.
- O, mój Boże. Weź moją rękę i chwyć się słupa.

Pozwoliłem podprowadzić się do kolumny i rozejrzałem się po okolicy. Miasto wprost tonęło w dzikiej, nieokielznanej zieleni. Roślinność miała charakter gęstych zarosli, bardziej buszu niż lasu, a poprzerywana była tylko przez budynki tak wielkie jak nasz lub jeszcze większe. Nie widziałem żadnych dróg. Komunikacja odbywała się pod powierzchnią i w powietrzu, za pomocą jednoosobowych „samolotów”. Te niewielkie urządzenia, dużo mniejsze nawet od naszych motolotni, przypominały bardziej latające

dywany. Weganie używali ich z gracją ptaków, startując i lądując na balkonach, takich jak ten, z którego patrzyliśmy.

Latały też prawdziwe ptaki, smukłe, bajecznie ubarwione, z dwiema parami skrzydeł ułożonych równolegle. Wyglądało to dość niepraktycznie, ale z tego, co zauważyłem, sprawdzało się.

Niebo było niebieskie, ale przyjemne wrażenie sprawiały trzy, pulsujące oślepiającym światłem, gejzery energii.

- Chodźmy na dach.
- Jak?
- Tędy...

Chodziło jej o włącz, do którego można się było dostać po niepewnie wyglądających, cienkich kolumnach, spełniających tutaj funkcję schodów.

- Jest tam poręcz?
- Tak, z drugiej strony.
- Nie wydaje mi się, aby te uchwyty wytrzymały mój ciężar. Zresztą otwór jest chyba za mały jak dla Oskara.
- Och, nie bądź babą.

Peewee wspinała się ze zręcznością małpy. Podążyłem za nią z wdziękiem słonia. Klamry okazały się bardzo mocne, pomimo ich pozornej delikatności, a włącz bardzo wygodnie usytuowany.

Wega była już wysoko na niebie, wyglądała jak zniekształcone odbicie naszego Słońca. Znacznie bardziej oddalona od swojej piątej planety niż Słońce od Ziemi, świeciła jednak o wiele mocniej i pomimo pełnej polaryzacji, jaką dawały nam kombinezony, musiałem długo przyzwyczajać oczy do tego blasku. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem,

była głowa Peewee, wyglądająca jak srebrna piłka do koszykówki.

- Jesteś tu jeszcze?

~ W porządku - odpowiedziała. - Powoli przyzwyczajam oczy, widok jest rzeczywiście piękny. Przypomina mi Paryż widziany ze szczytu Łuku Triumfalnego.

- Nie wiem, nigdy nie podróżowałem tak daleko.

- Tylko że nie ma żadnych ulic... nieważne... ktoś tu ląduje!

Spojrzałem tam, gdzie wskazała; mogła patrzeć we wszystkich kierunkach, podczas gdy ja byłem ograniczony przez wizjer zamontowany z przodu hełmu. Zanim zdążyłem się obrócić, Weganin stał już obok nas.

(- Jak się macie, dzieci?)

- Cześć, Wielka Matko - Peewee zarzuciła jej rękę na szyję w serdecznym geście.

(- Nie tak szybko, kochanie, pozwól mi najpierw to zdjąć.) - Szybciutko wyplątała się z uprząży, złożyła swój latający sprzęt jak parasolkę i zawiesiła go sobie na ramieniu. (- Wolałam się z tobą spotkać już po zakończeniu terapii, niemniej byłam informowana o każdej minucie kuracji.) - Wsparła swoje małe ręce o moją pierś i spojrzawszy mi prosto w oczy, zapytała:

(- Na pewno dobrze się czujesz?)

- Nie mogę już chyba lepiej.

- To prawda, wszystko z nim w porządku!

(— Dobrze. Uważasz, że czujesz się świetnie i sądzę, że masz rację. Peewee też uważa, że czujesz się świetnie, a co najważniejsze, twoi lekarze są zdania, iż powinieneś się

czuć tak, jak się czujesz, to znaczy świetnie. Zatem w drogę!)

- Co? Dokąd?

Odwróciła się do Peewee.

(- O niczym mu nie mówiłaś, kochanie?)

- Jak? Nie miałam nawet okazji!

(- No dobrze.) - Tym razem odwróciła się w moim kierunku. (- Drogi Kip, musimy się udać na zgromadzenie. Postawię nam kilka pytań. Gdy na nie odpowiecie, zostaną podjęte decyzje. Jesteście gotowi?)

- Już teraz? - zaproponowała niezdecydowanie Peewee. - No cóż, skoro nie ma innego wyjścia..., ale muszę skoczyć po Madame Pompadour.

(- No to na co czekasz? A ty, Kip?)

- Eee...

Nie pamiętałem, czy założyłem zegarek po myciu, a przez kombinezon trudno cokolwiek wyczuć. Wyłuszczyłem swoje wątpliwości, a to znaczyło, że muszę na chwilę wrócić razem z Peewee.

(— W porządku. Idźcie do swoich pokoi, a ja wezwę pojazd. Spotkamy się tutaj.)

Zeszliśmy w dół po rampie. Tym razem moje pretensje do Peewee wydawały się jak najbardziej uzasadnione.

- Peewee, znowu coś przede mną ukrywałaś!

- Ja? Ależ skąd!

- A jak byś to nazwała?

- Kip, posłuchaj! Powiedziano mi, abym nie puszczała pary z ust, dopóki jesteś chory. Wielkiej Matce bardzo na tym zależało. Ujęła to tak, że nie powinno się tym ciębie martwić, gdy wracasz do zdrowia.

- A dlaczego miałem się zmartwić? O co tu znowu chodzi? Jakie zgromadzenie? Jakie pytania?

- Hmm... to zgromadzenie jest czymś w rodzaju... sądu, ławy przysięgłych, można powiedzieć.

- Co?! - Zrobiłem mały rachunek sumienia i nic dopatrzyłem się żadnej zbrodni, jaką bym ostatnio lub kiedykolwiek w życiu popełnił. Zwłaszcza że jeszcze niedawno byłem dosłownie bezbronny jak dziecko. Pozostawała tylko Peewee. — Mała! - powiedziałem twardo. - Co ty takiego ostatnio zmalowałaś?

- Jaa? Nic.

- Pomyśl!

- Nic, Kip. Przepraszam, że nie powiedziałam ci o tym wszystkim przy śniadaniu, ale tatuś zawsze powtarzał, że nie należy nikogo martwić, zanim nie wypije przynajmniej dwóch małych czarnych. Pomyślałam, że można by sobie wyskoczyć na małą przechadzkę przed tymi wszystkimi nieprzyjemnościami. I właśnie zamierałam ci wszystko powiedzieć...

- Streszczaj się!

- ...gdy zjawiła się Wielka Matka. Kip, ja naprawdę nic nie zrobiłam. Tylko że Stary Robakowaty...

- Co? Myślałem, że nie żyje.

- Być może, być może. Ale, jak mówi Wielka Matka, pewne pytania muszą być zadane, pewne odpowiedzi udzielone, a decyzje podjęte. Granica została przekroczona. Myślałam nad tym, gdy wracaliśmy przez te wszystkie dziwne pomieszczenia do naszych zaadaptowanych pokoi.

Przestępstwa, wykroczenia... polowania na głowy w przestrzeni. Niewątpliwie Robakowaty mógł być w to

wszystko zamieszany. Jeśli Weganie go złapali, to być może zechcieli osądzić jego zbrodnie, ale czy my do tego byliśmy potrzebni?

- Wystąpimy jako świadkowie?
- Przypuszczam, że można to tak nazwać.

Co się stanie z Robakowatym, obchodziło mnie tyle, co zesłoroczny śnieg, chociaż można by się było dowiedzieć czegoś o Weganach. Na przykład, jeżeli sąd będzie obradował w innej miejscowości, to zwiedzimy po drodze kawałek kraju.

- Ale to nie wszystko - Peewee ostrożnie powróciła do tematu.

~ Co jeszcze?

Westchnęła.

- Dlatego właśnie chciałam, żebyśmy przedtem popatrzyli trochę na piękne rzeczy. A więc...

- Wyduś to wreszcie z siebie!
- No więc... my też będziemy sądzeni...
- Co?

- Może raczej egzaminowani. Ten czasownik chyba lepiej tu pasuje. Ale jedno jest pewne: nie wrócimy do domu, dopóki wyrok nie zapadnie.

- Ale co takiego zrobiliśmy!?
- Chciałabym to wiedzieć!

Czułem się tak, jakby mi ktoś wlał do ust płynny ogień.

- Czy jesteś pewna, że po tym wszystkim puszczą nas na Ziemię?

- Wielka Matka nie chciała mi odpowiedzieć na to pytanie.

Zatrzymałem się i chwyciłem Peewee za rękę.

- Z tego wszystkiego wynika - mój głos był aż ciężki od goryczy - że jesteśmy tutaj więźniami.

- Tak - zaszlochała. - A nie mówiłam ci, że ona jest gliną?!

- Pięknie. Najpierw wyciągamy za nią kasztany z ognia, a później ona wsadza nas do pudła i ciągnie na jakiś sąd, nie wiadomo gdzie i po co! Śliczne miejsce ta Wega Pięc. „Tubylcy są przyjaźni!” Nianczyli mnie, żeby później powiesić!

- Ależ, Kip... - teraz to już Peewee beczała zupełnie otwarcie - wydaje mi się, że wszystko będzie dobrze. Ona może być sobie gliną, ale jest przecież także Wielką Matką.

- Doprawdy? Ciekawe!

Słowa Peewee zupełnie nie przystawały do jej zachowania. Nie wyglądała w tej chwili na osobę, która się niczym nie przejmuje. Mój zegarek był w szlafroku, w łazience. Włożyłem go do wewnętrznej kieszeni. Kiedy wszedłem do pokoju, Peewee właśnie chowała Madame Pompadour.

- Daj - powiedziałem, widząc, jak usiłuje ją wcisnąć do małej kieszeni - mam więcej miejsca.

- Nie, dzięki. - Uśmiechnęła się blado. Chcę, żeby była blisko mnie, zwłaszcza teraz,

- Dobrze. Peewee, gdzie jest ten cały sąd? W tym mieście, czy gdzie indziej?

- Nie mówiłam ci? Chyba nie. Na innej planecie.

- Myślałem, że z wszystkich planet Wegi tylko ta jest zamieszkana.

- To prawda. A my lecimy nie tylko do innego systemu słonecznego. My lecimy do innej galaktyki.

- Powtórz to!
- Lecimy gdzieś w okolice Obłoków Magellana.

ROZDZIAŁ 10

Musiałem stoczyć ze sobą ciężką walkę, aby nie zasy-pać Wielkiej Matki pytaniami. Bądź co bądź 160 trylionów mil donikąd to nie byle co. Ale milczałem, dopóki nie usadowiliśmy się w pojeździe, który wyglądał jak jakiś stary ul. W środku było bardzo niewiele miejsca, ale jakoś przemęczyliśmy się do kosmodromu.

Siedzieliśmy z Peewee na podłodze, a Wielka Matka z fotela pierwszego pilota obsługiwała błyskającą świeatełkami konsolę, przypominającą nieco duże liczydło. Wystartowaliśmy nagle, lecz bez żadnych wstrząsów. Po kilku minutach moje przygnębienie zmieniło się w gniew i wariacką potrzebę natychmiastowego wyjaśnienia tej sprawy.

- Wielka Matko!

(- Chwileczkę, kochanie. Pozwól mi wydostać to pudło z atmosfery.) - Coś nacisnęła, przesunęła jakąś dźwignię, nasz pojazd zadygotał i po chwili znowu się uspokoił.

- Wielka Matko! — powtórzyłem.

(- Czekaj, dopóki nie posadzę statku!)

No i musiałem poczekać. Przeszkadzanie pilotowi podczas pilotowania statku było tak głupie, jak próba uchwycenia koła pędzącego samochodu. Mały pojazd zaczął się gwałtownie kołysać, musieliśmy chyba walczyć z jakimiś silnymi prądami, nie przeszkadzało jej to jednak w pilotowaniu. Po delikatnym wstrząsie znieruchomieliśmy. Pomyślałem, że dotarliśmy do kosmodromu. Wielka Matka odwróciła głowę w naszym kierunku.

(- W porządku, Kip. Rozumiem twoje obawy i rozgoryczenie. Mam nadzieję, że uda mi się częściowo cię uspokoić.

Nie jesteście w żadnym niebezpieczeństwie; zawsze możecie na mnie liczyć i spodziewać się, że będę was chroniła kosztem mojego zdrowia i życia. Tak jak wy robiliście to dla mnie.)

- Tak, ale...

(-- Nic już nie mów. W swoim czasie postaram się potwierdzić moje słowa czynami. Nie musisz zakładać hełmu, powietrze na tej planecie jest takie samo jak ziemskie.)

- Co? Chcesz powiedzieć, że jesteśmy już na miejscu?!

- A nie mówiłam? - Peewee weszła mi w słowo. - Wystarczy tylko strzelić palcami i gotowe.

Nie odpowiedziałem, próbując zgadnąć, jak daleko od domu poniosło nas tym razem.

(— Chodźcie, dzieci.)

Kiedy wchodziliśmy na statek, był środek dnia, gdy go opuszczaliśmy, panowała ciemność. Statek wylądował na gigantycznej planecie, niewidocznej z powodu nocy. Gwiazdy nad nami tworzyły nieznane konstelacje. Tuż nad linią horyzontu spostrzegłem jasną plamkę, którą zinter-

pretowałem jako Drogę Mleczną, a więc być może Peewee nie miała racji i byliśmy co prawda daleko od domu, ale wciąż w tej samej galaktyce. Możliwe też, że po prostu przelecieliśmy na nocną stronę Wegi. Usłyszałem zduszony okrzyk Peewee... Obejrzałem się, ale nie zauważyłem niczego niezwykłego. Oprócz, oczywiście, nieba upstrzonego milionami lub nawet miliardami gwiazd. Z pewnością nie wiecie, jak wygląda Wielka Mgławica Andromedy. Gigantyczna pętla złożona z dwóch skrzyżowanych ramion, podobna w kształcie do anioła. Najpiękniejszy widok, jaki można ujrzeć.

I my go podziwialiśmy, nie na fotografii ani przez soczewkę teleskopu. Te gwiazdy były tak „blisko”, że mogliśmy ich prawie dotknąć. Mgławica, która rozciągała się przed naszymi oczami, była dwa razy większa od Wielkiej Niedźwiedzicy. Widziałem dokładnie każdy jej szczegół -skondensowane jądro i dwa długie ramiona, okrążające je i przeplatające się nawzajem. Jak już mówiłem, to wszystko przypominało postać anioła, choć ktoś mniej romantyczny określiłby ten kształt jako elipsę; tak jak M 31 w Andromedzie. Dla nas był to jednak anioł, nie tyle widzieliśmy, ile czuliśmy jego zarys.

Tam, zagubiony gdzieś wśród milionów gwiazd, był nasz dom, nasza planeta. Dopiero wtedy poczułem, jak bardzo daleko od niej się znajduję i jak bardzo za nią tęsknię.

Po pewnym czasie dostrzegłem jeszcze jedną spiralę. Była bardziej rozstrzelona, jakby nieco koślawą, i w porównaniu ze wszystkimi cudownościami, które widzieliśmy, słabo świecąca. To było blade widmo naszej galaktyki. Po dokładnych oględzinach byłem w stanie pokazać więk-

szy Obłok Magellana, a my byliśmy w bliźniaczej konstelacji. Tak więc to, co uznałem za Mleczną Drogę, nie było naszą Mleczną Drogą.

Przyjrzałem się temu jeszcze raz, kształt się zgadzał: biała wstęga rozwieszona między gwiazdami. Była jednak zbyt blada w porównaniu z Mleczną Drogą, widzianą ciemną nocą z Ziemi. Moja pomyłka wynikła z tego, że do tej pory jeszcze nigdy nie widziałem Obłoków Magellana, musiałbym pojechać na południe od Rio Grandę. Wiedziałem natomiast, że każdy obłok stanowi odrębną galaktykę, tylko że mniejszą od naszej i inaczej zbudowaną.

Spojrzałem jeszcze raz na swoją spiralę i poczułem taką tęsknotę za domem, jakiej nie przeżywałem, odkąd ukończyłem sześć lat. Pee-wee podziwiała widoki przytulona wygodnie do Wielkiej Matki, która wydłużyła się, by objąć ją ramieniem.

(- Tak, tak, kochana, czułam dokładnie to samo, gdy zobaczyłam ten widok pierwszy raz. Byłam wtedy również bardzo młoda.)

- Wielka Matko, gdzie jest nasz dom? — spytała Pee-wee niepewnie.

(- Spójrz bardziej na prawo, tam gdzie prawe ramię rozplywa się w ciemności. Przylecieliśmy z tego punktu.

- Ale mi nie chodziło o Wege, tylko o Słońce.

(- Ach, twoja gwiazda. Kochanie, z tej odległości to jest to samo miejsce...).

W końcu więc dowiedzieliśmy się, jaka odległość dzieliła

Słońce od planety Fanador: - 167 000 lat świetlnych. Wielka Matka oczywiście nie wiedziała, jaka to odległość

„rok świetlny”, jak długo Ziemia obiega Słońce (potrafiła z pewnością określić kształt toru obiegu, ale jedyną ziemską wartością, jaka pamiętała, była cena orzeszków ziemnych).

Podawała nam natomiast odległość z Fanadoru na Wege: w prostej linii 6190 wegańskich jednostek czasu (gdyż tyle potrzebowało światło, aby przebyć ten dystans). 6190×27 daje nam 167 000 lat świetlnych. Była tak uprzejma, że podała te dane w potęgach naszych liczb, zamiast użyć systemu piątkowego, używanego na Wedze. 167 000 lat świetlnych to $9,82 \times 10^{17}$ mil. Po zaokrągleniu wychodzi bardzo ładny wynik: 1.000.000.000.000.000.000 mil, czyli odległość z Wegi do Fanadoru (albo, jak kto woli, ze Słońca do Fanadoru, gdyż przy tych odległościach nasze gwiazdy są sąsiadami zza miedzy).

Tysiące milionów miliardów mil. I co tu zrobić z takimi zwariowanymi liczbami? Takie odległości są niczym w kosmicznej skali, ale od samego myślenia od nich mózg się może przegrzać.

Platforma, na której wylądowaliśmy, była dachem dziwnego trójkątnego budynku o gigantycznych rozmiarach. Takie trójkąty widywaliśmy już w różnych miejscach, zawsze z tajemniczymi spiralami po bokach. Taki znak nosiła też Wielka Matka.

Ten symbol oznaczał: „Trzy Galaktyki, Jedno Prawo”.

Tutaj wreszcie udało mi się złożyć w całość wyłapywane cząstkowe informacje. Trzy galaktyki były połączone trochę na zasadzie naszego ONZ lub dawnej Ligi Narodów. Na Fanadorze znajdowały się urzędy i sądy ligi. Fanador był jej stolicą, tak jak stolicą ONZ jest Nowy Jork, a sto-

licą Ligi Narodów była Genewa. Wybór był nieprzypadkowy; okazało się, że mieszkańcy Fanadoru pochodzili od starej rasy, która stworzyła pierwszą cywilizację.

Trzy galaktyki były wyspami cywilizacji na oceanie wszechświata; nie miały żadnych bliskich sąsiadów. Liczba zamieszkaných planet była największa w Małym Obłoku i w miarę zbliżania się do naszej galaktyki, sukcesywnie malała. Zwiększały się tym samym odległości między nimi - szczęśliwie duże w naszej galaktyce.

Kiedy zacząłem lepiej pojmować, co się wokół mnie dzieje, martwiłem się już trochę inaczej. Wielka Matka była bardzo ważną osobą na swojej planecie, ale tutaj odgrywała tylko rolę urzędnika, który odstawił nas na miejsce. Niemniej odczuwałem wdzięczność, że zadeklarowała swoją pomoc w sytuacji, gdy bylibyśmy zmuszeni do ucieczki.

Zakwaterowali nas w dość dziwnym miejscu, które można by określić jako hotel, ale także jako areszt śledczy czy po prostu więzienie. Oczywiście nie mogę narzekać na warunki, tylko że męczyła mnie piekielnie świadomość ciągłej obserwacji przez setki niewidzialnych par oczu.

Do pokoiów zaprowadziły nas roboty (w ogóle, gdziekolwiek się obejrzałeś na Fanadorze, wszędzie były te zakute łby). Oczywiście nie mam tu na myśli kreatur przypominających Blaszanego, tylko nieokreślonego kształtu maszynkę, która po doprowadzeniu nas na miejsce znieruchomiła jak hotelowy fagas czekający na napiwek. Ta maszyna wyglądała jak wózek na trzech kółkach z wielkim koszem, gdzie mogliśmy włożyć swoje bagaże, gdybyśmy oczywiście takowe posiadali. Coś takiego przyjechało, zaśpiewało po wegańsku do Wielkiej Matki, zrobiło, co miało

do zrobienia, wskazując nam drogę do windy i przeprowadzając przez szeroki, nie kończący się korytarz.

Mój pokój był dokładnie taki sam jak na Wedze, podróbka ziemskiego, z wszystkimi starymi błędami i paroma nowymi. Nie uspokoilo mnie to wszystko, gdyż widoczne tu gruntowne przygotowanie na nasz przyjazd mogło oznaczać, że zamierzają trzymać nas w tych apartamentach tak długo, aż im się nie sprzykrzy. Niemniej miałem wszystko, co potrzebne do „szczęścia”, nawet luksusową łazienkę i szafkę dla Oskara.

Peewee dostała replikę tego straszego pomieszczenia, które zajmowała na Wedze, z całym jego orientalnym przepychem, a ponieważ wyglądała na bardzo zadowoloną z tego powodu, nie zwracałem jej głowy swoimi obawami.

Wielka Matka unosiła się w powietrzu, czekając, aż zdejmemy kombinezony.

(- Mam nadzieję, że będziecie się tu dobrze czuli.).

- Och, z pewnością - odparłem niezbyt radośnie.

(- Jeśli będziesz czegoś potrzebował, jedzenia lub czegokolwiek, po prostu powiedz, a natychmiast ci dostarczą.)

- A gdzie i jak mam to oznajmić?

(- Po prostu wypowiedz swoje życzenie; oni usłyszą.)

Nie miałem powodów, aby w to wątpić, choć niezbyt mi odpowiadał fakt, że te pokoiki miały więcej „pluskiew” niż rumuńska gospoda. Człowiek powinien mieć prawo do odrobiny intymności.

- Ja jestem głodna - wtrąciła Peewee. - Bardzo wczesnie jadłam śniadanie.

Na te słowa poruszyła się zasłona przy jednej ze ścian w jej pokoju. Odsunęła się, odkrywając jarzące światło.

Po jakichś dwóch minutach część ściany zniknęła, a przez powstały otwór wysunął się jak język z gardła stół zastawiony talerzami i garnkami. Mieliśmy tam zimną wędlinę, owoce, chleb, masło i kubek parującego kakao. Peewee klasnęła w dłonie i aż zapiszczała z radości. Jeśli chodzi o mnie, to zareagowałem z dużo mniejszym entuzjazmem.

(- Widzieliście!) - Wielka Matka powiedziała radosnym głosem. - (Dostaniecie wszystko, o co poprosicie. Jeśli będziecie mnie potrzebować, przyjdę natychmiast, ale teraz muszę już iść.)

- O nie, proszę, Wielka Matko, nie odchodź!

(- Naprawdę muszę, Peewee moja najdroższa, ale wkrótce do was wpadnę. Ach tak, zapomniałabym, macie ludzkie towarzystwo.)

- Co?! - wszedłem jej niegrzecznie w słowo - Gdzie? Jak!

(- Następne drzwi) - oznajmiła i odpłynęła z powietrzną

lekkością, „fagas” zaś pośpieszył, by nadążyć za nią, i zostaliśmy sami.

Obróciłem się na pięcie, by jak najszybciej wyjść z pokoju.

- Słyszałaś to!?

- Oczywiście.

- No to zostań i jedz, jeśli chcesz, a ja idę zobaczyć tych innych ludzi.

- Zaraz! Poczekaj na mnie!

- Nie jesteś głodna?

- Chwileczkę. - Spojrzała na jedzenie. - Tylko spróbuję.

Posmarowała masłem dwa kawałki chleba i podała mi jeden. Nie byłem specjalnie głodny, ale jakoś to w siebie wcisnąłem. Peewee spałaszowała swoją porcję, upiła duży łyk kakao i oddała mi kubek.

- Chcesz trochę?

To nie było w zasadzie kakao. Miało jakby mięsny posmak, ale w gruncie rzeczy było niezłe. Zwróciłem jej kubek, aby odstawiła go na miejsce.

- No, teraz to mogę walczyć z tuzinem dzikich kotów; idziemy, Kip.

Wyszliśmy z naszego mieszkania i przeszliśmy krótkim korytarzem do następnych drzwi. Odsunąłem tam Peewee na bok i zajrzałem ostrożnie do środka. Zobaczyłem coś w rodzaju trójwymiarowej fototapety, przedstawiającej widok dziewiczej sawanny, poprzecinanej gdzieniegdzie zaroślami buszu. Główną dekoracją wnętrza były zwaliska skał wapiennych z malowniczo wkomponowaną jaskinią, ziemia zdawała się wilgotna od deszczu.

Zobaczyliśmy też żywego jaskiniowca, który właśnie spożywał posiłek w postaci jakiegoś małego zwierzątka, chyba wiewiórki.

Peewee chciała mnie wyminąć, aby lepiej się przyjrzeć delikwentowi, ale powstrzymałem ją. Jaskiniowiec nie zrobił na mnie zbyt dobrego wrażenia, a już w szczególności nie uważałem go za kompana do intelektualnej konwersacji. Takemu to może, ni stąd, ni zowąd, wpaść do głowy, aby rzucić w nas kamieniem.

Był co prawda niższy ode mnie, ale dużo bardziej muskularny, pod tym względem przypominał ciężarowca. Krótkie włochate przedramiona, nabite bicepsy, grube,

silne łydki. Jego głowa była duża i niekształtna, miał krótkie czoło i tępy podbródek. Zęby robiły wrażenie mocnych, ale żółty kolor nie dodawał im uroku. Jeden z nich był nadłamany, co świadczyło o tym, że nasz sąsiad uwielbiał obgryzać kości. Wkrótce utwierdził nas w tym przekonaniu odgłos pękających w jego szczękach gnatów.

W ziemskim muzeum znaleźlibyśmy tabliczkę z napisem „Homo sapiens neanderthalensis ~ epoka lodowcowa”, tylko że ludzka figura nie chrupałaby sobie śniadanka.

Mojej towarzyszce nie spodobała się nadmierna, jej zdaniem, ostrożność.

- Daj mi popatrzeć — protestowała.

Usłyszał. Peewee gapiła się na niego, on gapił się na nas. Peewee zapiszczała, on obrócił się i wbiegł pośpiesznie do jaskini. Chwyciłem Peewee i zawołałem:

- Zmywamy się stąd.

- Poczekaj chwilę - powiedziała spokojnie - nie sądzę, aby zamierzał szybko stamtąd wyjść. - Spróbowała przedrzeć się przez zarośla buszu.

- Peewee!!

- Spróbuj - zaproponowała. Usiłowały przepchnąć ręce przez powietrze, które stawiało namacalny opór. - Trzymają go w zamknięciu.

Spróbowałem. Faktycznie coś broniło dostępu do jaskiniowca. Można się było przepchnąć jakiś cal, ale dalej „powietrze” było zbyt gęste.

- Plastik? - myślałem głośno. - Rodzaj bardzo sprężystej folii?

-- Hmm - Peewee wyraziła swoje powątpiewanie. - Chyba raczej coś w rodzaju mojego hełmu. Sądzę nawet, że

to przepuszcza światło tylko w jedną stronę. Słyszał nas, ale nie mógł zobaczyć, dlatego się przestraszył.

- Dobrze, dobrze, ale wróćmy lepiej do naszych pokoi. Może powinniśmy je zamknąć. Peewee! — dodałem, gdy zobaczyłem, że wcale mnie nie słucha.

Nadal badała niewidzialną barierę.

- Powtórz, bo nie dosłyszałam.
- To nie czas ani pora, żeby się zgrywać.
- Znowu gadasz jak mój tata. Zostawił tego szczura, którego wcinał, może więc wróci.

- Jeśli nawet wróci, to ciebie tu już nie będzie. Pójdiesz sama albo cię wyniosę; lepiej się nie opieraj!

Spojrzała na mnie z pewną niechęcią.

- Nie będę się opierać, Kip, cokolwiek będziesz robił, ale chociaż raz mógłbyś nie być taki zasadniczy. Zresztą nie sędzę, żeby szybko stamtąd wylazł. Jeszcze tu wrócimy!

- Dobrze. - Postanowiłem pójść na kompromis.

Ale zanim zdążyliśmy wyjść, usłyszeliśmy głośny gwizd i okrzyk.

- Hej, tutaj!!!

Słowa z pewnością nie były angielskie, ale jakoś je zrozumiałem. Dochodziły zza drzwi po drugiej stronie korytarza. Zawahałem się, czy tam zajrzeć, ale musiałem to zrobić, żeby nie puścić Peewee samej.

Siedział tam człowiek w wieku mniej więcej czterdziestu pięciu lat. Nie wyglądał na neandertalczyka, był raczej cywilizowany. Nosił ciężką wełnianą tunikę, spiętą w pasie tak, że tworzyła coś w rodzaju fartucha. Miał gołe nogi obute w znoszone sandały. U pasa, przy lewym boku wisiał krótki, ciężki miecz, a przy prawym długi sztylet. Krótko

obcięte włosy i dokładnie ogolona twarz dopełniały wyglądu. Nie sprawiał wrażenia kogoś nieprzyjaznego, ale także określenie „przyjazny” jakoś do niego nie pasowało.

- Dziękuję za odwiedziny - burknął pod nosem. - Jesteście moimi strażnikami?

Peewee wykrztusiła:

- Przecież to Rzymianin!

Co byście zrobili na moim miejscu, gdybyście spotkali legionistę? I to zaraz po jaskiniowcu? Odpowiedziałem na pytanie:

- Nie jesteśmy strażnikami, tylko więźniami.

Powiedziałem to po hiszpańsku i powtórzyłem w zupełnie niezłe wyuczonej łacinie. Użyłem dwóch języków, ponieważ Peewee niezupełnie miała rację. Nasz drugi sąsiad nie używał łaciny, a już z pewnością nie była to łacina Owidiusza i Juliusza Cezara. Nie był to też oczywiście hiszpański, ale coś pośredniego pomiędzy tymi dwoma językami z zupełnie archaicznym akcentem i sposobem wymowy, lecz jakoś się w tym wyznawałem.

Zasyczał gniewnie i powiedział:

- To bardzo źle. Od trzech dni usiłuję tu zwrócić cię uwagę i na razie zdołałem jedynie przyciągnąć kolejnego więźnia. Zupełnie nie rozumiem, na czym polega to uwięzienie. Mniejsza z tym; skąd wzięłeś ten śmieszny akcent?

- Wybacz, przyjacielu, ale chwilami cię nie rozumiem - powiedziałem to znowu w dwóch wersjach językowych oraz dodałem jeszcze w zaimprovizowanym połączeniu łaciny i hiszpańskiego. - Czy możesz mówić powoli?

- Będę mówił tak, jak mi się podoba. I nie nazywaj mnie swoim przyjacielem. Jestem obywatelem rzymskim i nie spoufałam się z byle kim.

Moje wolne tłumaczenie nie oddaje w pełni ekspresji jego wypowiedzi, w której czynił, jak mi się zdaje, pewne uwagi co do mojej matki.

- Co on powiedział? - dopytywała się Peewee. - To jest Rzymianin, prawda? Przetłumacz!

Na szczęście nie rozumiała jego słów, a ja miałem pretekst, aby jej podokuczać.

- Czyżbyś nie znała języka poezji i nauki?

- Nie bądź złośliwy, powiedz!

- Nie krzycz na mnie, złotko, mam pewne kłopoty ze zrozumieniem. Później ci wszystko wytłumaczę.

- Co to za barbarzyńskie szemranie - spokojnie zaprotestował Rzymianin. - Używaj cywilizowanego języka, chłopcze, albo wyplązuję cię mieczem.

Nie wiem, czy tylko straszył, czy zamierzał spełnić swoje pogróżki. Dla pewności sprawdziłem „powietrze”. Stanowiło równie mocną barierę jak w wypadku neandertalczyka, więc nie było się czym przejmować.

- Mówię tak, jak potrafię. A przed chwilą rozmawialiśmy w naszym własnym języku.

- Świńskie chrząkania, a nie język. Używaj łaciny, jeśli łaska. - Spojrzał na Peewee okiem handlarza żywcem. - Twoja córka? Nie chciałbyś jej sprzedać? Jeśli ma czym oddychać, dam z pół denara.

Peewee zachmurzyła się.

- Zrozumiałam te świństwa! - zawołała z oburzeniem. - Wychodź i walcz! - powiedziała.

- Powtórz to po łacinie - doradziłem. - Jeśli zrozumie, to prawdopodobnie spuści ci manto.

Spojrzała na mnie dziwnie.

- Pozwoliłbyś mu na to?
- Chyba wiesz, że nie.
- No to wracajmy.
- Usiłuję cię do tego skłonić od pół godziny.

Odprowadziłem ją, obok terytorium jaskiniowca, do naszych apartamentów.

- Peewee, chciałbym wrócić i pogadać jeszcze z Rzymianinem. Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że mam!
- Bądź rozsądna. Gdyby mógł nam zagrozić, Wielka Matka wiedziałaby o tym, a przecież sama nas poinformowała o jego obecności.

- Pójdę z tobą!

- Po co? Powtórzę ci wszystko, czego się dowiem. To może być jedyna okazja, aby wyjaśnić te absurdy. Co on tu robi? W jaki sposób przechowali go ponad tysiąc lat? Kiedy się obudził? Czy wie coś więcej od nas? Bez tych informacji stoimy w martwym punkcie i niczego się już nie dowiemy. Jeśli się boisz, to wezwij Wielką Matkę.

Spokorniała.

- No dobrze, możesz iść, ale o wszystkim musisz mi opowiedzieć!

- Jak najdokładniej. Zamów sobie obiad.

Naszego małpowatego znajomego nie było widać, ale wolałem omijać z daleka jego mieszkanie. Jeżeli ich statki mogą się pojawić w dowolnym punkcie wszechświata, to dlaczego nie mogłyby się tam znaleźć w dowolnym cza-

się? Skoro obracają się swobodnie w trzech wymiarach, to dlaczego miałyby je krępować czwarty?

Żołnierz nadal siedział nieruchomo w drzwiach.

- Zrozumiałem, co powiedziałaś, ale wcale nie zamierzam wypełniać twych rozkazów; nie jestem twoim niewolnikiem!

- Masz więc szczęście.
- Pogadajmy spokojnie, albo sobie pójdę!
- Niech ci będzie. Tylko bez żadnych poufałości, barbarzyńco.

Miał na imię Junion. Służył w Hiszpanii i Galii, w VI Legionie „Victrix”, o którym, jego zdaniem, nawet taki ciemny dzikus jak ja powinien wiedzieć. Jego ostatnim garnizonem było Eburacum na północ od Londinium w Brytanii, gdzie sprawował funkcję centuriona, którego można porównać z naszym starszym sierżantem. Był mniejszy ode mnie, ale nie chciałbym spotkać się z nim w ciemnej uliczce ani szturmować jego obozu.

Nie lubił Brytyjczyków i w ogóle wszystkich barbarzyńców, włączając w to mnie („Bez urazy, wielu moich znajomych to barbarzyńcy, ale...”), angielskiego klimatu, bogaczy i kapłanów. Kobiety lubił, ale ich nie szanował. Szanował natomiast Cezara, Rzym, bogów i samego siebie. Uważał, że armia jest po to, aby się bić, a przyczyny wszystkich nieszczęść upatrywał w zrównaniu w prawach barbarzyńców i Rzymian.

W Brytanii nadzorował budowę muru. Miał on być zaporą przeciwko dzikim plemionom, które myślały tylko o tym, jak cię dorwać, posiekać na drobne kawałki i zjeść bez

soli, co najprawdopodobniej mu się przytrafiło, skoro — jak twierdził - znajduje się w piekle.

Wydaje mi się, że mówił o Wale Hadriana, ale jego odcinek znajdował się o trzy dni marszu od miejsca, gdzie Morze Północne i Atlantyk leżą najbliżej siebie. Pogoda panowała tam fatalna i tubylcy byli spragnionymi krwi bestiami, które malowały ciała i nie doceniały wartości cywilizacji, którą przyniosły na swoich włóczniach legiony.

Pomimo swojej bezgranicznej pogardy dla nierzymian, wziął sobie Brytyjkę za żonę i właśnie oczekiwał na przeniesienie do Eburacum, gdy to się stało. Wzruszył ramionami.

- Być może, gdybym był bardziej skrupulatny w składaniu ofiar i świętowaniu ku czci bogów, szczęście nie odwróciłoby się ode mnie. Uważałem jednak, że jeżeli mężczyzna dobrze wykonuje swoje obowiązki, czyści broń i dba o higienę osobistą, to o nic więcej nie musi się martwić. Uważaj na drzwi, są zaczarowane.

Im dłużej z nim rozmawiałem, tym lepiej rozumiałem, co mówił. Zamiast końcówek „-us” używał „-o”. Słownictwo też nie miało wiele wspólnego z klasyczną łaciną, zachowaną w opisie wojny galijskiej Cezara. Zamiast „equus” nazywał konia „caballo”.

Jego idiomy wołały o pomstę do nieba, nie wspominając już o tym, że wtrącał do łaciny wiele słów barbarzyńskich. Rozumiałem go na takiej samej zasadzie, na jakiej rozumiałbym sens artykułu w gazecie, w którym zasłonięto co trzecie słowo.

Sporo się dowiedziałem o codziennym życiu legionistów, ale nie o to mi chodziło. Junion nie wiedział, gdzie jest

ani jak się tu znalazł, poza tym, że został zabity i odzyskał przytomność już w piekle. Twierdził, że „umarł” w ósmym roku rządów cesarza i 899 roku od założenia Rzymu. Nie wiedziałem jednak, o którego cesarza mu chodzi, ani nie pamiętałem, kiedy założono Rzym. Wspominał o Wale Hadriana, a więc mogłem przypuszczać, że żył w trzecim wieku naszej ery.

Nie interesował go jaskiniowiec, którego miał tutaj pod bokiem. Uważał go za tchórza, który boi się byle czego, a takim nie warto się zajmować. Nie chciało mi się z nim spierać, ale każdy byłby bojaźliwy, gdyby na co dzień stykał się z tygrysami szablozębymi. Ciekawe, czy mieli tutaj jakichś przedstawicieli ziemskiej fauny?

Junion na chwilę się oddalił, ale zaraz wrócił z czarnym chlebem i serem oraz kubkiem. Nie poczęstował mnie, prawdopodobnie nie tylko z powodu dzielącej nas przerody. Upił trochę z kubka i zaczął jeść. Rozejrzałem się w tym czasie po jego pomieszczeniu. Ziemia była błotnista. Wybudowali mu kamienny budynek, będący chyba wierną kopią wojskowych fortów z jego epoki, ale nie jestem pewien, czy nie popełnili takich błędów, jak przy imitacji mojego pokoju. Nie mogłem mu dłużej dotrzymywać towarzystwa, widok chleba i sera przypomniał mi, że w zasadzie też bym coś zjadł. Moja obecność zaczęła go w końcu denerwować. Pochodziliśmy z różnych epok i reprezentowaliśmy zupełnie inne systemy wartości.

Junion potrafił być bardzo uprzejmy, dopóki się z nim zgadzałem. Sprzeciwów zupełnie nie przyjmował do wiadomości. Spotykałem tę cechę u wielu ludzi, wymagających hołdów nawet przy okazji kupna gazety w kiosku.

Jeżeli im się nie ukloniłeś, to automatycznie przylepiano ci wizytówkę zepsutego bachora lub młodocianego przestępcy. Dało się też zauważyć taką prawidłowość, że im więcej szacunku taki delikwent wymagał od młodszych, tym mniej sam go okazywał starszym od siebie. Tak więc zostawiłem Juniona, przechodząc obok jaskini, z której wyglądał neandertalczyk. Pokiwałem do niego przyjaźnie i wróciłem do siebie.

Po drodze wyrznąłem nosem w kolejną „powietrzną” barierę, zagradzającą wejście do moich apartamentów. Na szczęście rozwiąła się na dźwięk mojego głosu, gdy oznajmiłem, że chcę przejść.

Moje buty na gumie nie czyniły zbyt dużo hałasu, niemniej jednak, zanim wszedłem do pokoju Peewee, wolałem sprawdzić, czy nie śpi. Siedziała na swym pstrokatym orientalnym dywanie, kołysała w ramionach Madame Pompadour i płakała. Cofnąłem się, zagwizdałem i wszedłem ponownie. Podbiegła ku mnie, uśmiechnięta, bez śladu łez na twarzy.

- Cześć Kip, długo cię nie było.
- Ten facet okazał się dość gadatliwy. Co nowego?
- Nic. Zjadłam, a ponieważ długo nie wracałeś, uciełam sobie drzemkę. Właśnie mnie obudziłeś. Dowiedziałeś się czegoś interesującego?
- Pozwól mi zamówić obiad, opowiem ci, jak zjem.

Kończyłem właśnie pieczeń, gdy wszedł robot hotelowy. Wyglądał zupełnie tak jak ten, który nas tu przyprowadził, z tym że jego znaczek wyryty był w złocie.

— Chodźcie ze mną - powiedział po angielsku. Spojrzałem na Peewee.

- Przecież Wielka Matka mówiła, że jeszcze wróci.
- Właśnie.

Maszyna powtórzyła polecenie:

- Chodź ze mną, twoja obecność jest obowiązkowa.

Szlag mnie trafił. Wydano mi już wiele rozkazów. Niektórych z nich najchętniej nigdy bym nie usłyszał, ale jeszcze nigdy nie komenderowała mną jakaś kupa żelastwa.

- Przygotuj sobie kawał mocnej liny, bo będziesz musiał mnie tam zaciągnąć!

Zabrzmiało to jakoś głupio w odniesieniu do robota, ale co miałem powiedzieć? Peewee zaśpiewała po angielsku:

- Wielka Matko, gdzie jesteś? Pomóż nam.

Odpowiedź nadeszła z wnętrza robota:

(- Wszystko w porządku, kochani, on ma was zaprowadzić do mnie.)

Zagryzając ze złości wargi, poszedłem za maszyną, która zaprowadziła nas do windy. Później szliśmy przez korytarz, którego ściany zamykały się za naszymi plecami, gdy tylko zdążyliśmy je minąć. Korytarz prowadził do wielkiej bramy w kształcie trójkąta ze spiralami po bokach. Usadowiono nas w pewnego rodzaju boksie, przy jednej ze ścian olbrzymiej hali. To trójkątne pomieszczenie było tak wielkie, że mogło mieć swój własny mikroklimat i opady atmosferyczne. Ginący z oczu sufit nie potrzebował do wsparcia żadnych kolumn czy słupów. Czułem się jak mrówka na stadionie i błogosławiłem to, że są tam setki żywych istot, chociaż wyglądało tak, jak gdyby nikogo tam nie było.

Na środku niewyobrażalnie rozległej pustej podłogi siedzieli trzej robakowaci. Ich proces był w toku.

Nie wiem, czy był tam nasz stary znajomy. Różnica między robakowatymi jest taka, jak różnica pomiędzy obcięciem głowy a dekapitacją. Jak się później dowiedzieliśmy, jego obecność nie była aż tak ważna. Robakowaty miał być sądzony, będąc na miejscu czy nie, żywy lub martwy - chodziło o wyrok, a nie o skazańca. Właśnie zabierała głos Wielka Matka; z daleka z trudem rozpoznawałem jej niepozorną postać. Ledwo słyszałem głos, ale rozumiałem to, co mówiła, gdyż tłumaczono nam wszystko na bieżąco. Przekład chyba był bardzo dobry, gdyż czułem w słyszanych zdaniach jej spokój i opanowanie. Mówiła o występkach robakowatych tak beznamiętnie, jakby opisywała zachowanie się bakterii pod mikroskopem. Tylko same fakty. Skończyła swój opis wydarzeń na tym, co się stało na Plutonie, ucinając niemalże w pół zdania.

Usłyszałem wtedy nowy głos, mówiący po angielsku, idealnie beznamiętny, nosowy. Przypominał mi pewnego sklepikarza z Vermont, u którego się zaopatrywaliśmy, kiedy byłem mały. Nigdy się nie uśmiechał ani nie złościł i cokolwiek by powiedział - robił to zawsze tym samym tonem. Tak samo mówił: „to dobra kobieta”, „ten facet mógłby sprzedać własnego syna” oraz „Jajka są po 95 centów”; chłodny jak księgowy.

Właśnie taki głos odezwał się do Wielkiej Matki:

- To wszystko?
- Tak, skończyłam.
- Przesłuchamy teraz kolejnego świadka. Clifford Russell.

Podskoczyłem, jak gdyby ten sklepikarz złapał mnie na kradzieży cukierków.

Głos kontynuował:

- Słuchaj uważnie.

Inny głos zaczął mówić. I to był mój własny głos. Odtwarzali przebieg wypadków, który podyktowałem im na Wędzę Pięc. Ale nie wszystko się zgadzało. Przymiotniki, jakimi określałem robakowatych, i całe zdania, wyrażające moją opinię o nich, zostały po prostu wycięte. Pozostały tylko fakty, ale pozbawione jakiegokolwiek komentarza. Relacja zaczynała się w momencie, gdy ich okręty wylądowały na pastwisku za moim domem, a kończyła w chwili, gdy ostatni z robakowatych wpadł do dziury w podłodze.

Nie zabrało to zbyt dużo czasu, sporo tam powycinali, także naszą wędrowkę po Księżycu. Pozostawili mój opis robakowatych, ale tak podretuszowany, że równie dobrze mógł dotyczyć Wenus z Milo, jak tego najokropniejszego stworzenia pod wszystkimi słońcami.

Gdy mój nagrany głos przestał mówić, włączył się na nowo sklepikarski.

- Czy to były twoje słowa?
- Co? No, tak.
- Czy relacja jest odtworzona wiernie?
- Tak, ale...
- Czy jest poprawna?
- Tak.
- I dokładna?

Chciałem powiedzieć, że niezupełnie, ale zaczynałem rozumieć, o co tu w ogóle chodzi, więc potwierdziłem.

- Patricia Wynant Keisfeld.

Opowieść Peewee rozpoczęła się wcześniej, od jej pierwszego kontaktu z robakowatymi, ale nie była wiele dłuższa od mojej. Peewee jest lepszym obserwatorem ode mnie i ma lepszą pamięć, lecz nie lubi pozostawić najdrobniejszego faktu bez komentarza. Dodatkowe wyjaśnienia oczywiście usunięto.

Kiedy Peewee zgodziła się z przedstawioną wersją wydarzeń, sklepikarski głos oznajmił, że wszyscy świadkowie zostali przesłuchani, wszystkie fakty zebrane, a oskarżenia mogą wygłosić swoje ostatnie słowo.

Przypuszczam, że robakowaci wybrali sobie rzecznika, prawdopodobnie był to nasz stary znajomy, o ile przeżył. Ich odpowiedź, przetłumaczona na angielski, straciła dużo ze swojej gardłowości, ale i tak był to angielski w wydaniu robakowatych.

Choć wybrany przez nich mówca stał zbyt daleko, aby jego wygląd zrobił na mnie jakiegokolwiek wrażenie, to sam dźwięk robakowatego głosu powodował, że serce podchodziło mi do gardła. Dopiero po dłuższym czasie uspokoiłem się na tyle, by skoncentrować się na tym, co mówi.

Zaczął, zdaje się, od stwierdzenia, że sąd, przed którym stoi, nie ma nad nim żadnej władzy, gdyż jako robakowaty podlega jedynie Królowej Matce. Ich aresztowanie było, według niego, aktem bezprawnym z kilku powodów. Nigdy nie słyszał o Konfederacji Trzech Galaktyk i nawet teraz nie jest przekonany, czy coś takiego istnieje. Jeśli wszakże to wszystko nie jest jedynie złośliwą mistyfikacją, to i tak nikt nie ma prawa sądzić „obywateli mrowisk”, gdyż tutejsza władza nie rozciąga się na ich część kosmosu. Nawet gdyby Konfederacja Trzech Galaktyk obejmowała pla-

netę-mrowisko, to nie miałyby żadnych praw, gdyż obywatele „mrowisk” nigdy by do niej nie wstąpili i nie zaakceptowali jej „wymogów etycznych”. Sama zaś myśl, że zausznicy królowej (rodzaj robakowatego parlamentu) mogliby wdać się w dyskusję z przedstawicielami Konfederacji Trzech Galaktyk, jest śmieszna, gdyż tamtejsi obywatele nie zadają się z istotami niższymi.

Jeżeli nawet, mówił robakowaty, te niezaprzeczalnie słuszne argumenty zostaną odrzucone i ten sąd nie przestanie rościć sobie praw do jurysdykcji nad obcymi obywatelami w tej sprawie, to wszystko to ma wszelkie znamiona absurdu. Robakowaci działali na swoim terenie, gdzie mogą robić, co chcą, i rzekoma Federacja Galaktyk nie ma podstaw, aby zabraniać im zajmowania i zasiedlania planet zamieszkałych jedynie przez zwierzęta (miał tu na myśli Ziemię).

A jeśli chodzi o agentkę Trzech Galaktyk, to wtrąciła się w nie swoje sprawy, za co zresztą nie poniosła żadnych nieprzyjemnych konsekwencji. Jeśli była przetrzymywana w niewoli, to tylko po to, aby uniemożliwić jej przeszkadzanie robakowatym w wypełnianiu ich świętego obowiązku. Po zakończeniu całej sprawy miała zostać odstawiona na swoją planetę.

Robakowaty mógł sobie darować całą tę gadaninę. Jego argumenty były bezpodstawne, a już szczególnie ostatni. Niemniej nie wszystko układało się po mojej myśli. Ludzie przywykli myśleć o sobie jako o panach stworzenia, ale szacowne zgromadzenie mogło mieć w tym względzie pewne wątpliwości i uznać nas faktycznie za zwierzęta, nie mające u robakowatych żadnych praw.

Niezaprzeczalnym faktem było to, że robakowaci przewyższali nas znacznie intelektualnie, a także pod względem rozwoju cywilizacji. Zgromadzenie mogło więc uznać, że mają prawo do naszej planety, tak jak my uznajemy, że mamy prawo wyciąć dżunglę, by zbudować miasto, chociaż jest ona zamieszkała przez pawiany.

Najgorsze było to, że robakowaty, który wyłożył swoje argumenty dyskredytujące cały proces i wykazujące jego bezzasadność, dopiero przechodził do właściwej części obrony. Okazała się ona miażdżącym atakiem.

Chrapliwy głos zmienił się nagle w nienawistne wycie. Każde słowo było jak uderzenie pięścią, każda zgłoska raniła jak karabinowa kula.

- Jakże bezczelne są te stworzenia - mówił o ludziach - że znajdując się w szponach tygrysa, jeszcze szarpią go za wąsy. Nie ma litości dla zwierząt. Zostaną zamienione w pożywne białko, wybite do nogi. Żadna ugoda nie wchodzi w grę, wszelkie bunty zostaną stłumione. Rasa Obywateli zetrze je w pył!!!

Rozejrzałem się, aby zobaczyć, jak sędziowie przyjęli to aroganckie oświadczenie. W wielkiej, niby pustej, sali siedziało tysiące stworzeń. Do tej pory byłem zbyt zajęty śledzeniem przebiegu procesu, aby zwracać na nie uwagę. Gdy jednak obelgi robakowatych stały się nużące, pozwoliłem sobie na luksus rozejrzenia się po sali.

Różnorodność zgromadzonych była tak wielka, że nie sądzę, abym znalazł dwóch takich samych osobników. Dwa dziecięta stóp od nas siedziały, na przykład, stwór równie brzydki i przerażający jak robakowaci, z tą różnicą, że jego groźna twarz budziła raczej strach niż odrazę. Zauważyłem

też istoty bardzo podobne do ludzi, z tym że bardziej od nas dostojne. Jedna z nich wyglądała zupełnie jak człowiek; miała jedynie mieniającą się wszystkimi barwami tęczy skórę i bardzo dziwne, asymetryczne ubranie. Wszystko to tworzyło tak piękny obraz, że mógłbym przysiąc, iż kolorowa skóra jest efektem odpowiedniego makijażu, chociaż prawdopodobnie nie miałem racji. Ciekawe, w jakim języku ta istota wysłuchiwała przemówienia, bo z pewnością nie w angielskim.

Być może wyczuła mój wzrok na sobie, gdyż odwróciła się w moim kierunku i zlustrowała mnie bez cienia uśmiechu, tak jak gdybym był rybką w akwarium. Zrozumiałem, że zauroczenie było raczej jednostronne.

Różnice między zasiadającymi na sali nie polegały tylko na wyglądzie, ale uwidaczniały się też przez sposób, w jaki zajmowali tu miejsca. Niektórzy musieli zabrać ze sobą kawałek swojego środowiska naturalnego i siedzieli w szklanych pomieszczeniach wypełnionych różnymi cieczami i gazami. Trudno powiedzieć, jaki mieli stosunek emocjonalny do procesu. Jeżeli z wyrazu ziemskiej twarzy trudno cokolwiek wywnioskować, to co powiedzieć o odczuciach morso-podobnego stwora z ramionami ośmiornicy? Czy ściągnięcie mięśni oznacza złość? Może śmiech? Czy w ogóle coś oznacza?

Tymczasem robakowaci mówili dalej nikt im oczywiście nie przeszkadzał.

Peewee, która słuchała ściskając mnie za rękę, nagle wyszeptała:

- Zaczynają kłąć. - Wyczułem, że się bała.

Robakowaci zakończyli swoje wystąpienie wybuchami nienawiści do całego świata. Nasi tłumacze nie byli w stanie przełożyć tego na angielski, tak że odebraliśmy jedynie chaotyczne wrzaski.

Sklepiarski głos zapytał grzecznie:

- Czy może chcielibyście coś powiedzieć na swoją obronę?

Znowu zabrzmiały wrzaski, które jednak oznaczały zrozumiałą odpowiedź:

- To była obrona, chociaż oczywiście niepotrzebna, bo nie mamy sobie nic do zarzucenia.

Głos zwrócił się teraz do Wielkiej Matki:

- Czy znalazłaś coś na ich obronę?

Nie śpieszyła się z odpowiedzią.

- Ze smutkiem przyznaję... że... nie znalazłam niczego, co by nie było w nich do gruntu złe.

- Jesteś przeciw nim?

- Tak.

- Jesteś więc stronnica. I możesz zostać zignorowana. Takie jest Prawo.

- Trzy Galaktyki, Jedno Prawo. Posłucham.

Suchy głos jeszcze raz podniósł tę kwestię:

- Czy przedstawiciel jakiegokolwiek rasy może wziąć ich w obronę?

Odpowiedziała mu martwa cisza. Miałem swoją szansę, aby być szlachetnym. Jako reprezentant ofiar ich agresji, mogłem wstawić się za nimi, wykazać, że nie zdawali sobie sprawy, że czynią zło. Mogłem prosić, aby ułaskawiono ich w zamian za obietnicę poprawy... No cóż, nie zrobiłem tego. Być może obrzydły mi te wszystkie słodkości i szla-

chętności, z jakimi się ostatnio zetknąłem. Być może nie chciałem przyjąć do wiadomości prawdy, że w każdej istocie znajduje się odrobina dobra i że każda zbrodnia zasługuje na wybaczenie. Kiedy widzę żmiję, zabijam ją, a nie proszę, aby była taka dobra i przestała kąsać. Ona jest żmiją i żmiją pozostanie. Nawet gdyby chciała się zmienić.

Teraz zapytano robakowatych:

- Czy możecie wskazać przedstawiciela jakiegokolwiek rasy, który powiedziałby o was choć jedno dobre słowo? Jeżeli tak, odnajdziemy go i wysłuchamy.

Adwokat robakowatych obraźliwie splunął w odpowiedzi.

- Skończone - oznajmił głos i spytał nieznaną osobę: - Czy fakty są wystarczające, aby decyzja została podjęta?

Niespodziewanie rozległ się inny głos:

- Tak!

- Jaka jest decyzja? — padło pytanie.

- Ich planeta zostanie podkrecona!

Nie wiedziałem zupełnie, o co chodzi. W końcu wszystkie planety się kręcą, ale ten werdykt, ogłoszony przez idealnie beznamiętny głos, przeraził mnie. Cała sala wydała się poruszona. Wielka Matka wstała i szybko przebyła dzielący nas dystans. Peewee rzuciła się jej na szyję. Zauważyłem, że roztoczono wokół nas niewidzialną barierę, która nie rozwiązała się, dopóki nie wróciliśmy do swoich pomieszczeń.

Peewee szlochała w objęciach uspokajającej ją Wielkiej Matki. Kiedy wreszcie się wyplakała, zapytałem niecierpliwie Wielką Matkę, o co chodzi z tym podkrecaniem.

Spojrzała na mnie i trzymając nadal Peewee, odpowiedziała dziwnie twardym głosem:

(- To oznacza, że ich planeta zostanie obrócona o 90 stopni względem swojej czasoprzestrzeni.)

Chociaż jej głos brzmiał jak orkiestra wygrywająca marsz pogrzebowy, werdykt nie wydał mi się zbyt straszny. Rozumiałem oczywiście, co on oznaczał, tylko że trudno jest to wyrazić w naszym języku. Jakoś jednak spróbuję. Jeżeli patrzemy z góry na wyciętą z cieniutkiego papieru figurę położoną na płaszczyźnie, to istnieje ona dla nas w dwóch wymiarach. Gdy ułożymy ją pod kątem 90 stopni do płaszczyzny i nadal patrzemy z góry, to przestaje ona dla nas istnieć, ponieważ patrząc z pozycji dwóch wymiarów, przestajemy ją widzieć. Nie oznacza to jednak, że figura przestaje istnieć realnie. Tak samo będzie z planetą robakowa-tych - przestanie istnieć w naszym wymiarze, ale będzie istnieć realnie w innych. Zatem robakowaci znikną z naszego kosmosu, ale sami dla siebie będą nadal żyć, nic się im nie stanie. Nie zrozumiałem, co w tym takiego straszego, więc zapytałem o to Wielką Matkę.

(- Nic nie rozumiesz, chłopcze. Oni nie mogą wziąć swoich gwiazd ze sobą.)

Nie zdołałem wykrztusić z siebie żadnego komentarza. Peewee była blada jak trup. Gwiazdy są źródłem życia dla planet. Odetnij je, a planeta będzie stawać się coraz zimniejsza i zimniejsza. Jak szybko zapanuje tam zero absolutne? Zadrzałem, stado mrówek maszerowało po moim grzbiecie. To gorsze od piekła.

- Wielka Matko, kiedy to się stanie?

Poczułem wyrzuty sumienia, że jednak nie wzięłem robotowatych w obronę, bo chyba nawet oni nie zasłużyli na coś tak strasznego. Wysadzić w powietrze — zgoda. Zestrzelić - jak najbardziej. Ale nie zamrozić.

(- To już się stało.)

- Co?!

(- Agent, który miał dokonać egzekucji, czekał na wyrok. Usłyszał go dokładnie w tej samej chwili co i my... to było skończone, zanim do was podeszłam.)

Tak jest lepiej. Usłyszałem własny szept, dochodzący przez ściśnięte gardło. Lepiej, że to się stało szybko.

Wielka Matka odpowiedziała z całą gwałtownością, na jaką mogła się zdobyć:

(- Myślcie teraz o sobie, wasz proces zaraz się zacznie.)

Wytrzeszczyłem oczy, nie mogąc powiedzieć ani słowa. Peewee wyglądała jak zjawa, ale już nie płakała. Zwilżyła zaschnięte usta językiem i cichutko zapytała:

- Będziesz tam z nami?

- Dzieci! Nie mogę. Same musicie stawić temu czoło.

Odzyskałem głos.

- Za co! Jaką zbrodnię popełniliśmy? Nie skrzywdziliśmy nikogo!

- Nie będziesz sądzony ty i Peewee, lecz cała wasza rasa.

Peewee odwróciła się od niej i spojrzała na mnie. W tej właśnie chwili nie pragnęła towarzystwa istoty doskonałej, lecz takiej samej jak ona, ludzkiej. Wiedziałem, że myślała o tym samym: statek. Statek wyposażony w straszliwą broń podąża w kierunku Ziemi. Porusza się z szybkością równą nieskończoności, niewykrywalny przez radary, niemożliwy

do zestrzelenia czy przechwycenia. Ziemia -zielona, złota i kochana. Rozkwitająca w ciepłym świetle Słońca. Beznamiętny głos oznajmi: „Nie będzie więcej Słońca, nie będzie więcej gwiazd”. Osierocony Księżyc zachwieje się raz czy drugi i rozpocznie na nowo swoją wędrówkę, tym razem dookoła Słońca. Żywy nagrobek ludzkości. Kilku niedobitków z baz na Księżycu być może przeżyje parę tygodni lub nawet miesięcy. Ale jeśli się nie uduszą, to zabije ich smutek i samotność. Peewee zajęczała żałośnie.

- Kip, powiedz, że ona żartuje, że to tylko sen,

Zapytałem chrapliwie Wielką Matkę:

- Egzekutorzy już czekają, prawda?

Nie odpowiedziała. Odezwała się tylko do Peewee:

- To bardzo poważna sprawa, ale nie martw się. Wypełnię swoją obietnicę; jeżeli wasza rasa zostanie skazana, wy ocalejecie. Będziecie żyli w moim domu... dlatego nie bójcie się mówić prawdy.

Beznamiętny głos oznajmił:

- Rozpoczął się proces ludzi.

ROZDZIAŁ 11

Wyszliśmy na rozległą płaszczyznę. Z każdym krokiem rósł mój niepokój, czułem się jak mucha na talerzu. Do-

brze chociaż, że była ze mną Peewee. Jednak mimo wszystko miałem wrażenie, że śnię i chodzę po ulicy niekompletnie ubrany. Peewee ścisnęła mnie za rękę i jednocześnie tuliła do siebie Madame Pompadour. Żałowałem, że nie mam na sobie Oskara. Lepiej zniósłbym wtedy to nieprzyjemne wrażenie nieustannej obserwacji.

Zanim wyruszyliśmy w drogę, Wielka Matka dotknęła dłonią mojego czoła i zajrzała mi głęboko w oczy. Odepchnąłem rękę i odwróciłem wzrok.

- Nie — oświadczyłem stanowczo. - Koniec ze sztucznymi zabiegami! Zamierzam... och, wiem, że chcesz mojego dobra, ale nie, tym razem nie będę brał prochów. Dzięki.

Nie nalegała. Zwróciła się po prostu w stronę Peewee. Peewee zaś miała trochę niezdecydowaną minę, lecz w końcu potrząsnęła głową.

- Pora już na nas - powiedziała.

Z każdym krokiem, który posuwał nas w głąb rozległej równiny, coraz bardziej żałowałem, że Wielka Matka nie zaaplikowała nam tych środków uspokajających. Powiniennem być chociaż przekonana do nich Peewee.

Od strony przeciwległych ścian zbliżały się dwie inne „muchy”. Po chwili rozpoznałem neandertalczyka i legionistę. Jaskiniowca ciągnęła jakaś niewidzialna siła, Rzymianin sadił susami. Na środek dotarliśmy jednocześnie, zajmując pozycje na ramionach dziesięciometrowego trójkąta, którego kolejne wierzchołki tworzyliśmy: ja z Peewee, jaskiniowiec i legionista.

- Hej, Junionie!

- Milcz, barbarzyńco. - Rozglądał się dookoła, lustrując uważnie tłum stojący pod ścianami.

Zniknęło brudne ubranie i getry, Do prawej nogi miał przypięty nagolennik. Na tunikę nałożył pancerz, a głowę okrywał mu hełm ozdobiony piórami. Skóra lśniła, a metal połyskiwał.

Maszerował sprężysto z tarczą zawieszoną na plecach. Gdy stanęliśmy, zdjął ją i umocował na lewym przedramieniu. Nie dobył miecza, gdyż w prawej dłoni trzymał bojową włócznię. Kołysał nią lekko, obserwując nieprzyjaciół.

Jaskiniowiec, stojący po lewej stronie, skulił się jak bezbronne zwierzę, które beznadziejnie szuka schronienia.

- Junionie! - zawołałem. - Posłuchaj!

Widok tych dwóch osobników napawał mnie coraz większym niepokojem. Przemawianie do neandertalczyka miało się z celem, ale może Rzymianinowi dałoby się przemówić do rozsądku.

- Wiesz, dlaczego się tutaj znaleźliśmy?

- Wiem - rzucił przez ramię. — Dziś na tej arenie bogowie poddadzą nas próbie. To odpowiednie zadanie dla żołnierza i obywatela rzymskiego imperium. Żaden z ciebie pomocnik, więc stój na uboczu. Nie, pilnuj tyłów i krzycz w razie czego. Cezar nagrodzi cię hojnie!

Chciałem coś tłumaczyć, lecz przerwał mi głos dobiegający ze wszystkich stron:

ZOSTANIECIE TERAZ PODDANI PRÓBIE!

Peewee zadrżała i przysunęła się bliżej. Uwolniłem lewą rękę z jej kurczowego uścisku i otoczyłem dziewczynkę ramieniem, jednocześnie podając jej prawą dłoń.

- Głowa do góry, druhu — powiedziałem cicho. - Tylko nie daj się nastraszyć.

- Wcale się nie boję - odpowiedziała, drżąc na całym ciele. - Kip? Daję ci wolną rękę.

- Serio?

- Tak. Ciebie trudniej wytrącić z równowagi. Kiedy tracę cierpliwość... lepiej nie patrzeć.

- Dobra.

Naszą rozmowę przerwał głos, dochodzący z niewielkiej odległości.

- Ta sprawa ma głębokie korzenie. Trzy czasowe próbki pochodzą z niewielkiej planety typu Landor, krążącej wokół gwiazdy na peryferiach Trzeciej Galaktyki. Jest to niezwykle prymitywny zakątek wszechświata, gdzie nie ma praktycznie żadnych inteligentnych ras. Omawiany gatunek, jak widać z próbek, znajduje się na bardzo niskim poziomie rozwoju. Dotychczas poddawano go dwukrotnie obserwacji. Na kompleksowe badania byłoby jeszcze za wcześnie, gdyby nie pewne okoliczności, które tymczasem wystąpiły.

- Kiedy przeprowadzono ostatnią obserwację? - spytał jakiś głos.

- W przybliżeniu przed jednym połowicznym rozpadem Thorium-230. - Później ten sam głos dodał najwyraźniej na nasz użytek: - Jakieś osiemdziesiąt tysięcy waszych lat.

Junion potrząsnął głową, rozejrzał się na boki i wyglądało na to, że usiłuje umiejscowić źródło głosu. Wywnioskowałem z tego, że słyszy identyczny tekst w swojej łamanej łacinie. Prawdę powiedziawszy, ja też czułem się trochę zdezorientowany, ale tego typu wrażenia nie mają u mnie długiego życia.

- Dlaczego następne badanie przeprowadzono w tak krótkim odstępie czasu?

- Wystąpił bowiem pewien brak ciągłości. Mianowicie rozwój postępował z nieoczekiwaną dynamiką.

Beznamiętny głos ciągnął dalej, kierując słowa w naszą stronę.

- Jestem waszym sędzią. Istoty, które widzicie dookoła, stanowią część mnie. Poza nimi są tu też widzowie, uczniowie oraz garstka niedowiarków, którzy chcą przyłapać mnie na pomyłce. Ta sztuka nie udaje im się jednak już od miliona lat.

- Masz więcej niż milion lat? - wykrzyknąłem, w ogóle tego nie zamierzając.

- Jestem dużo starszy, ale jako kolektywna całość. W pewnym stopniu jestem bowiem maszyną, której części można naprawić, wymienić, zastąpić. Po trosze jestem żywą istotą, której elementy normalną koleją rzeczy umierają i też są zastępowane innymi. Tych ostatnich mam w sobie więcej niż tuzin tuzinów tuzinów rozsianych po trzech galaktykach i w każdej chwili przynajmniej tuzin tuzinów może objąć kontrolę nad nieożywionymi mechanizmami. Dziś składam się z dwustu dziewięciu wykwalifikowanych istot, które mają do dyspozycji całą wiedzę zgromadzoną w bankach danych i całą moc obliczeniową komputerów.

- Czy wszystkie decyzje są podejmowane jednomyślnie? - spytałem ostro. Wydawało mi się, że dostrzegłem pewną lukę. Nigdy nie święciłem wielkich tryumfów w dziele skłócania rodziców, ale parę razy, kiedy byłem

młodszy, zdołałem pomieszać im nieco szyki, wyciągając jedną odpowiedź od mamy, a drugą od taty.

- Wszelkie decyzje są zawsze podejmowane jedno-myślnie - odpowiedział głos po chwili milczenia. - Dla ułatwienia, możesz traktować mnie jak pojedynczą osobę. - Następnie głos zwrócił się do wszystkich obecnych: - Pobrano wzorcowe próbki. Podwójna próbka to próbka współczesna. Ubrana pojedyncza próbka, to próbka dla potrzeb weryfikacji, wybrana losowo w przedziale czasowym równym w przybliżeniu jednemu rozpadowi połowicznemu Radium-226. Oznacza to tysiąc sześćset waszych lat. Trzecia weryfikacyjna próbka została pobrana standardowo w przedziale czasowym dziesięciokrotnie wyprzedzającym próbkę poprzednią.

Głos zadał pytanie:

- Dlaczego przedział czasowy dla próbek weryfikacyjnych jest tak krótki?

- Ponieważ pokolenia tych organizmów są niezwykle krótko wieczne. Błyskawicznie mutują.

Wyjaśnienie było chyba zadowalające, bo głos ciągnął dalej:

- Najmłodsza próbka będzie świadczyć jako pierwsza. Sądziłem, że ma na myśli Peewee, podobnie jak ona.

Zadrżała. Jednak głos warknął, a jaskiniowiec drgnął gwałtownie. Nie odpowiedział, tylko skulił się jeszcze bardziej.

Głos warknął ponownie. Później usłyszeliśmy:

- Zaobserwowałem interesujący fakt.

- Mów.

- To stworzenie nie jest przodkiem pozostałych.

Maszynowy głos zdradzał wewnętrzne emocje.

- **Przecież próbka została pobrana prawidłowo.**
- **Niemniej nie jest to właściwa próbka. Należy jeszcze raz zweryfikować dane.**

Przez długie pięć sekund panowała cisza.

- **To biedne stworzenie nie jest przodkiem pozostałych. Jest jedynie ich kuzynem, bez własnej przyszłości. Niech powróci do swojej czasoprzestrzeni.**

Neandertalczyk zniknął z pola widzenia, a ja odczułem dziwną stratę. Z początku zacząłem się o niego martwić. Następnie poczułem dla niego pogardę, a później wstyd. Był tchórzem, był brudny, śmierdział. Pies miał w sobie więcej ogłady. Ale minęło pięć minut i zrozumiałem, że należy mu się trochę ciepłych uczuć z mojej strony; koniec końców był przecież istotą ludzką. Może nie zasługiwał na miano dziadka, ale nie miałem serca gardzić nawet najodleglejszymi krewniakami.

Głos rozważał, czy postępowanie może zostać podjęte. W końcu orzekł:

- **Kontynuujmy badanie. Jeśli zabraknie dowodów, sprowadzimy dodatkowe próbki o odpowiednim rodowodzie.**

- Junion.

Rzymianin potrząsnął włócznią,

- **Kto mnie wzywa?**
- **Wystąp i zeznawaj.**

Zgodnie z moimi obawami, Junion zwięźle poinstruował swojego rozmówcę, dokąd ma się udać i co tam robić. Nie było sposobu, aby uchronić Peewee przed demoraliza-

cją. Słowa rozbrzmiewały po angielsku z wszelkimi niuansami.

Bezosobowy głos ciągnął przesłuchanie:

- Czy to twoje słowa? Czy potwierdzasz własne zeznanie?

Wówczas rozległ się głos Rzymianina: odpowiadał na pytania, opisywał bitwy, mówił o traktowaniu więźniów.

Docierała do nas wersja angielska, ale czuć było arogancki styl, charakterystyczny dla obywatela rzymskiego imperium.

- Czary! - krzyknął Junion i pokazał im dwa palce ustawione w kształt rogów.

Nagranie ucichło.

- Głos odpowiada matrycy — oznajmiła sucho maszyna. — Nagranie zostanie dołączone do aktu oskarżenia.

Rzymianina przesłuchiowano dalej. Pytano go o pochodzenie, co robił w Brytanii i dlaczego trzeba służyć Cezarowi. Junion odpowiadał krótko i zwięźle, aż w końcu stracił cierpliwość i zamilkł. Krzyknął donośnie i cisnął włócznią.

Nie poleciała daleko, ale i tak myślę, że nasz znajomy pobił rekord olimpijski.

Na moich ustach pojawił się uśmiech.

Junion dobył miecza, kiedy jego włócznia jeszcze leciała. Podrzucił go w geście wyzwania, krzyknął: „Niech żyje Cezar!” i zaczął lżyć strażników. Powiedział im, co myśli o robactwie niegodnym nawet miana „barbarzyńców”. Ho, ho! Ładny spektakl, godny nas, ludzi, podsumowałem w myślach.

Junion zaczął wzywać na pomoc bogów, straszliwie złorzeczyć, grozić zemstą Cezara. Miałem tylko nadzieję, że

Peewee niewiele z tej przemowy rozumie. Niestety, rozumiała bardzo dużo.

W gruncie rzeczy byłem jednak z niego dumny. Robakowaty był istotą złą. Junion wręcz przeciwnie. Mimo paskudnego słownictwa, jeszcze gorszej gramatyki i nieokrzesania ten stary wojak miał w sobie odwagę, ludzką godność i prostą elegancję. Mógł być starym łajdakiem... ale przynajmniej znajomym.

W końcu zażądał, aby stawili mu czoło pojedynczo albo niech uformują żółwia i wtedy rozprawi się z nimi wszystkimi za jednym zamachem.

- Usypię z waszych ciał stos pogrzebowy! Naostrzę na waszych kościach miecz! Przed śmiercią pokażę wam, jak wygląda grób prawdziwego Rzymianina, usypany pod niebo z nieprzyjaciół Cezara!

Zabrakło mu tchu. Roześmiałem się, a Peewee zawtórowała mi nieśmiało. Junion obejrzał się przez ramię i wyszczerzył zęby.

- Posyp im rany solą, gdy będą leżeć w agonii, chłopcze!

- Pora, by wrócił do swojego wymiaru czasowego - oznajmił beznamiętny głos.

Niewidzialne dłonie zaczęły unosić Rzymianina w dal. Wzywał Marsa i Jowisza i miotał się na wszystkie strony. Miecz zabrzączał o podłogę, później uniósł się i sam schował do pochwy. Junion oddalał się w zawrotnym tempie. Złożyłem dłonie w trąbkę i krzyknąłem:

- Zegnaj, Junionie!

- Do zobaczenia, chłopcze. Pamiętaj, to są tchórze! - Zadygotał na całym ciele. - Czarna magia! - krzyknął jeszcze i zniknął.

- Clifford Russell...

- Tak? Jestem obecny.

Peewee mści snęła moją dłoń.

- Masz głos.

- Proszę poczekać sekundę...

- Tak? Mów.

Wziętem głęboki oddech. Peewee przysunęła się bliżej i szepnęła:

- Spraw się dobrze, Kip. Oni nie żartują.

- Zrobię, co będę mógł - szepnąłem. A później powiedziałem na głos: - Co to ma znaczyć? Podobno mieliście odbyć sąd nad ludzką rasą?

- Zgadza się.

- Ale nie jesteście w stanie wydać sprawiedliwego wyroku. Nie macie odpowiednich danych. Stosujecie jakieś sztuczki, ściągacie jaskiniowca, potem sami stwierdzacie, że to błąd. Nie jedyny zresztą. Ściągnęliście Rzymianina. Był, jaki był, ale nie mam powodu wstydzić się za niego. Jestem wręcz dumny, chociaż z obecną ziemską rzeczywistością nie ma on nic wspólnego. Nie żyje od dwóch tysięcy lat, oczywiście jeśli odesłaliście go z powrotem, a razem z nim odeszły tamte czasy. Tak czy owak, dziś rasa ludzka wygląda zupełnie inaczej.

- Wiem. Wy dwoje jesteście próbką testową.

- Zgoda, ale nie możecie wydać wyroku na podstawie naszych czynów. Peewee i ja diametralnie odbiegamy od średniej. Nie twierdzimy wcale, że jesteśmy doskonali. Je-

śli obwiniasz całą naszą rasę za czyny, które my popełniliśmy, dopuszczasz się wielkiej niesprawiedliwości. Sądź tylko nas albo najlepiej jedynie mnie samego...

- Mnie też!
- ...ale nie zrzucaj winy na moich ziomków. To podejście nienaukowe. Niezgodne z regułami matematycznymi,
- Zgodne.
- Niezgodne. Istoty ludzkie to nie molekuły. Różnią się między sobą.

Postanowiłem nie kwestionować zasadności procesu. Robakowaci zabrnęli tym sposobem w ślepy zaułek.

- Zgoda, istoty ludzkie to nie molekuły. Ale nie są też jednostkami.

- Właśnie, że są!
- Nie są niezależnymi jednostkami. Są częścią większego organizmu. Każda komórka w twoim ciele zawiera pełen wzór. Za pomocą trzech próbek pobranych z organizmu, który nazywasz rasą ludzką, jestem w stanie przepowiedzieć wasze przyszłe możliwości i ograniczenia.

- Nie mamy żadnych ograniczeń! Nie sposób przewidzieć naszej przyszłości!

- Być może istotnie nie macie ograniczeń - przyznał głos. -Sprawdzimy to jeszcze. Ale jeśli nawet, nie świadczy to wcale na waszą korzyść. My bowiem mamy ograniczenia.

- Słucham?
- Błędnie zrozumiałeś cel niniejszego testu. Mówisz o „sprawiedliwości”. Wiem, co masz na myśli. Nie ma jednak dwóch ras, które zgodziłyby się co do znaczenia tego terminu. To nie trybunał sprawiedliwości.

- W takim razie co to jest?

- Powiedzmy, że jest to „Rada Bezpieczeństwa”. Nazwa nie ma znaczenia. Moim zadaniem jest przetestować waszą rasę i ustalić, czy nam zagrażacie. Jeśli okaże się to prawdą, poczynię stosowne kroki. Jedynym sposobem, aby uniknąć śmiertelnego zagrożenia, jest usunięcie wczasu jego zarodków. Pewne fakty świadczą, że twoja rasa może pewnego dnia zagrozić stabilności Trzech Galaktyk. Należy rozpatrzyć te fakty.

- Mówiłeś jednak, że do tego celu potrzeba trzech próbek. Jaskiniowiec się nie liczy.

- Mamy trzy próbki: was dwoje i Rzymianina. Ale odpowiednie fakty można ustalić na podstawie nawet jednej próbki. Wymóg potrójnych próbek to tradycja służąca weryfikacji i powtórnej weryfikacji. Ja nie wymierzam sprawiedliwości. Ja pilnuję, aby nie wkraść się błąd.

Chciałem powiedzieć, że mimo sędziwego wieku myli się w zasadniczych kwestiach, ale głos nie dopuścił mnie do słowa.

- Kontynuujmy badania. Cliffordzie Russell, poznajesz swój głos?

Usłyszałem ciąg własnych opinii i komentarzy na różne tematy. Przesłuchałem kawałek, a później uniosłem rękę.

- W porządku, to mój głos.

Nagranie ucichło.

- Potwierdzasz każde słowo?

- Co? Tak.

- Chcesz coś dodać, usunąć albo zmienić?

Zastanowiłem się. Nagranie, poza drobnymi usterkami gramatycznymi, było bez zarzutu.

- Nie. Poprzestanę na tym.
- Czy w tym wypadku również rozpoznajesz swój głos?

Treść nagrania zbiła mnie z tropu. To była moja rozmowa z profesorem Josephusem, któremu opowiadałem o wszystkim, co dotyczy Ziemi: zwyczajach, historii, ludziach. Nagle zrozumiałem, dlaczego profesor Joe nosił identyczny symbol co Wielka Matka. Jak oni to nazywali? „Instalowanie wtyczki”. Stary dobry profesor Joe był kapusiem.

Poczułem mdłości.

- Chcę przesłuchać całość.

Słuchałem jednym uchem. Starąłem się przypomnieć sobie, co mówiłem przy innych okazjach, a co oni mogli wykorzystać przeciwko ludzkiej rasie. Krucjaty? Niewolnictwo? Komory gazowe w Dachau? Jak dużo wygadałem?

Nagranie nie miało końca. Trudno się dziwić, moje rozmowy z profesorem Josephusem ciągnęły się przez kilka tygodni. Moglibyśmy tak tu stać do końca świata.

- To mój głos.
- Czy chcesz coś dodać, usunąć albo zmienić?
- Czy mógłbym powtórzyć wszystko od nowa? — spytałem.
- Jeśli taka jest twoja wola.

Chciałem już powiedzieć, że jestem gotowy zacząć przesłuchanie od początku i że powinni skasować zawartość poprzedniej taśmy. Ale czy można było im wierzyć? Może zostawiliby tamto nagranie jako materiał porównawczy? Tym razem nie wahałbym się kłamać - „powiedzieć prawdę i zawstydzić diabła” to nie sztuka, kiedy gra toczy się o twoją rodzinę, przyjaciół i całą rasę.

Ale czy moje kłamstwa nie wyszłyby na jaw?

Wielka Matka radziła, żeby mówić całą prawdę i niczego się nie bać. Ale ona nie stoi po naszej stronie! Wręcz przeciwnie!

Musiałem coś odpowiedzieć. Czułem straszliwy zamęt w głowie. Przed profesorem Josephusem ujawniłem całą prawdę... no, może trochę koloryzowałem, aby go zbytnio nie przerazić. Ale nie kłamałem!

Może poszłoby mi lepiej po przygotowaniu? Ale czy przełknęliby wodnistą papkę propagandy, jaką przygotowałbym na powtórne przesłuchanie? A może fakt, że zmieniłem zdanie, podziałałoby obciążająco?

- **Poprzestanę na poprzednim zeznaniu.**
- **Zostanie dołączone do banku danych. Patricia Wy-nant Reisfeld...**

Peewee, idąc moim śladem, potwierdziła autentyczność własnych słów.

- Fakty zostały poddane procesowi oceny - oznajmił matowy głos. - W świetle własnych zeznań rasa ta jest prymitywna i brutalna, skłonna do najgorszych czynów. Zjadają się nawzajem, morzą głodem, zabijają. Nie znają sztuki, nauka znajduje się w powijakach, a mimo to wykorzystują te okruchy wiedzy, aby mordować się nawzajem, naród po narodzie. Ich determinacja jest tak wielka, że najprawdopodobniej dopną celu. Lecz jeśli, za sprawą jakiegoś feralnego zbiegu okoliczności, przeżyją, z biegiem czasu dotrą do gwiazd. Należy wziąć pod uwagę następujące kwestie: jak szybko dotrą do naszych siedzib i czym będą wówczas dysponować.

Następnie głos oznajmił, kierując te słowa do nas:

- Tak brzmi akt oskarżenia: barbarzyństwo połączone z wysoką inteligencją. Co możecie powiedzieć na swoją obronę?

Wzięłem głęboki oddech i spróbowałem opanować nerwy. Wiedziałem, że przegraliśmy, ale nie miałem zamiaru poddać się bez walki.

Przypomniałem sobie, w jaki sposób przemawiała Wielka Matka.

- Moi władcy...

- Sprostowanie. Nic jesteśmy twoimi „władcami”, nic twierdzimy również, że jesteśmy sobie równi. Jeżeli chcesz się zwracać do konkretnej osoby, możesz mówić do mnie Arbitrze.

- Tak, panie Arbitrze... ~ Usiłowałem przywołać słowa, których użył na swym procesie Sokrates. Wiedział dużo wcześniej, jaki czeka go wyrok, a jednak został, by wypić cykutę. Wygrał, a oni przegrali.

Nie. Nie mogłem skorzystać z jego apologii. On postawił na szali własne życie. Tutaj chodziło o istnienie całego świata.

- ...powiedziałeś, że nie znamy sztuki. Widziałeś Partenon?

- Zburzony podczas jednej z wojen.

- Lepiej obejrzyj go sobie dokładnie, zanim obrócisz wszystko w pył, bo później możesz żałować. Czytałeś naszą poezję? „Teraz nasze zabawy skończone; aktorzy, jak przepowiedziałem, byli cieniami i rozwiął ich wiatr, lekki wiatr. A wszystko: wieżyce skąpane w chmurach, pyszne pałace, ciche świątynie, sam wielki glob, zostaną unicestwowione niczym ulotna materia sennego marzenia”.

Urwałem. Peewee cicho chlipała u mojego boku. Nie wiem, dlaczego wybrałem akurat ten wiersz. Podobno podświadomość nigdy nie działa „przypadkowo”.

- I tak się zapewne stanie - skomentował bezlitosny głos.

- Sądzę, że to, co robimy, nie powinno was obchodzić.
-Sam byłem bliski łez.

- Ale nas obchodzi.

- Nie podlegamy waszemu rządowi...

- Sprostowanie. Trzy Galaktyki nie mają rządu. Tak olbrzymie przestrzenie i mozaika kultur wykluczają istnienie rządu. Dla wzajemnego bezpieczeństwa objęliśmy po prostu pewne rejony nadzorem policyjnym.

- Co z tego? Nie sprawialiśmy przecież kłopotów naszym gliniarzom. Siedzieliśmy grzecznie na własnym podwórku... Ja sam stałem spokojnie na własnym podwórku, kiedy te robakowate stwory przyleciały i rozpoczęły całą awanturę. My jesteśmy niewinni.

Urwałem, myśląc gorączkowo, co dalej. Nie mogłem zagwarantować poprawnego zachowania całej rasy. Wiedzieliśmy o tym oboje.

- Ciekawostka - maszyna zaczęła znów ze sobą rozmawiać. - Te stworzenia są niezwykle podobne do Starej Rasy, biorąc pod uwagę mutacje. Z której części Trzeciej Galaktyki pochodzą?

W odpowiedzi usłyszałem odpowiednie koordynaty.

- Oni nie wywodzą się ze Starej Rasy. Są efemerydami. W tym tkwi całe zagrożenie. Zbyt szybko się zmieniają.

- Jeśli dobrze pamiętam, przed kilkoma rozpadami Thorium-230 Stara Rasa straciła statek w tamtych rejo-

nach. Najmłodsza próbka nie pasuje do reszty, czy nie potwierdzałoby to tej hipotezy?

- W tym momencie nie jest istotne, czy te istoty pochodzą od Starej Rasy, czy też nie. Proces jest w toku, trzeba wydać werdykt.

- Werdykt musi być wiarygodny.

- I taki będzie.

Bezosobowy głos ciągnął dalej pod naszym adresem:

- Czy macie coś jeszcze do dodania na swoją obronę?

Zastanowiłem się nad opinią, jaką wydano na temat niezwykle niskiego stanu naszej wiedzy naukowej. Chciałem przypomnieć, że w ciągu dwóch stuleci przeskoczyliśmy z poziomu energii biologicznej na poziom reaktorów atomowych, ale ten argument mógł zostać wykorzystany przeciwko nam.

- Peewee, masz jakiś pomysł?

Dziewczynka wystąpiła o krok i krzyknęła:

- Kip uratował Wielką Matkę, to się już w ogóle nie liczy?

- Nie - odparł zimno głos. — To nie ma związku ze sprawą.

- A powinno! - wykrzyknęła. - Sami powinniście się wstydzić! Bydlaki! Tchórze! Jesteście gorsi od robakowatych!

Pociągnąłem ją za rękaw. Ukryła głowę w moim ramieniu i zaczęła cicho szlochać.

- Przepraszam, Kip. Nie chciałam wszystkiego zepsuć.

- To i tak była stracona sprawa.

- Macie coś jeszcze do dodania? - spytał po raz chyba setny głos.

Rozejrzałem się po sali. „Wieżyce skąpane w chmurach... sam wielki glob”.

- To wszystko! - powiedziałem dumnie. - To nie żaden sąd, wy wcale nie chcecie słuchać naszej obrony. W porządku, rozwalcie naszą gwiazdę. Pewnie niedługo to zrobicie, jeśli macie odpowiednie środki, a myślę, że macie. Śmiało! My odbudujemy gwiazdę! A później, pewnego pięknego poranka, wrócimy i znajdziemy was wszystkich, wszystkich co do jednego!

- Brawo, Kip! Dobrze powiedziane!

Nikt mi nie odpowiedział. Poczułem się jak dzieciak, który popełnił straszliwą gafę na przyjęciu i nie wie, jak to wszystko zatuszować.

Aleja w ten sposób czułem. Och, z pewnością nie potrafilibyśmy zrealizować moich gróźb. Jeszcze nie. Ale umarlibyśmy z bronią w ręku. „Umrzeć z bronią w ręku” to najbardziej wzniosła rzecz, na jaką stać człowieka.

- Niewykluczone, że tak właśnie postąpicie - oświadczył matowy głos. - To wszystko?

- Owszem. Zabawa skończona, dla wszystkich.

- Czy ktoś chce świadczyć na korzyść ludzi? Czy jakaś rasa będzie za wami świadczyć?

Nie znamy żadnej innej rasy. Psy... może psy będą za nami świadczyć.

- Ja będę świadczyć na ich korzyść!

Peewee uniosła głowę i krzyknęła:

- Wielka Matka!

Stała przed nami. Peewee próbowała podbiec do niej, lecz odbiła się od niewidzialnej bariery. Chwyciłem ją za rękę.

- Spokojnie, mała. Jej tutaj nie ma, widzimy tylko projekcję.

- Moi władcy obywatele... dysponujecie wieloma umysłami i rozległą wiedzą...

Zabawnie było obserwować, jak śpiewa i słyszeć wszystko po angielsku. Tłumaczenie oddawało wiernie wrażenie trełu.

- ...aleja ich znam osobiście. To prawda, że są gwałtowni, zwłaszcza ten mniejszy osobnik, ale należy to złożyć na karb ich wieku. Czy możemy oczekiwać dojrzałego zachowania u przedstawicieli rasy, której populacja umiera we wczesnym dzieciństwie? A czy my sami nie jesteśmy czasami okrutni? Czyż nie uśmierciliśmy dziś kilku miliardów własnych krewniaków? Czy jakikolwiek gatunek może przetrwać bez instynktu samozachowawczego? To prawda, że te istoty są bardziej gwałtowne, niż wymagają tego okoliczności albo rozsądek. Ale, obywatele, oni są bardzo młodzi. Trzeba dać im trochę czasu na naukę.

- Temu właśnie trzeba zapobiec, to jest rozwojowi. Twoja rasa jest zbyt sentymentalna, co zniekształca właściwe spojrzenie na sprawę.

- Nieprawda! Jesteśmy wrażliwi, ale nie naiwni. Ileż to razy sama optowałam za zastosowaniem ostatecznych rozwiązań? Można to łatwo sprawdzić, ale wolę nie pamiętać. Lecz jeśli będzie trzeba, nie zawaham się. Chorą gałąź należy usunąć. Nie jesteśmy sentymentalni. Jesteśmy najlepszymi strażnikami, jakich dotąd znaleźliście we wszechświecie, bo spełniamy nasze obowiązki bez zajadłości. Wobec zła nie znamy litości. Ale dziecinne występki traktujemy z przymrużeniem oka.

— To wszystko?
— Twierdzą, że tej gałęzi nie należy usuwać! Skończyłam.

Wielka Matka zniknęła.

— Czy jeszcze jakaś rasa chce świadczyć na ich korzyść? — padło pytanie.

- Tak.

Gdzie przed chwilą stała Wielka Matka, teraz pojawiła się wielka zielona małpa. Spoglądała na nas uważnie i kręciła głową. Nagle wywinęła kozła i włożyła głowę między nogi

— Nie jestem ich przyjacielem, ale miłuję „sprawiedliwość”, co różni mnie od pozostałych kolegów z Rady. - Stworzenie okręciło się gwałtownie dookoła własnej osi. - Jak już wspomniała moja poprzedniczka, ten gatunek jest młody. Dzieci mojej własnej szacownej rasy gryzą się czasami i dokazują, niektóre nawet giną podczas takich zabaw. Kiedyś sam zachowywałam się podobnie. - Małpa skoczyła w górę, opadła na przednie łapy i stanęła na rękach. — A czy ktoś z tu obecnych zaprzeczy, że jestem istotą cywilizowaną?

Spojrzała na nas w zamyśleniu.

- To są dzikusy i doprawdy nie mam pojęcia, w jaki sposób ktokolwiek może ich darzyć sympatią, ale powiadam: dajmy im szansę!

Obraz znikł.

- Czy pragniecie coś dodać, zanim zostanie wydany werdykt?

Chciałem powiedzieć: „Nie, kończcie już tę farsę”, ale w ostatniej chwili Peewee pociągnęła mnie za ucho i zaczęła

szeptać. Wysłuchałem jej uważnie, po czym skinąłem głową i powiedziałem:

- Panie Arbitrze, jeżeli zapadnie niekorzystny dla nas wyrok, to czy mógłbyś powstrzymać na moment egzekutorów, abyśmy mogli wrócić spokojnie do domu? Możesz nas przecież wysłać z powrotem w ciągu kilku minut.

Głos zwlekał z odpowiedzią.

- Dlaczego o to prosicie? Mówiłem już, że proces nie obejmuje waszych osób. Możecie żyć.

- Tak. Ale wolimy po prostu wrócić do domu, do naszych bliskich.

Znów nastąpiła chwila ciszy.

- Dobrze.

- Czy dysponujesz dostatecznymi danymi, aby wydać werdykt?

- Tak.

- Jak brzmi orzeczenie?

- Wasza rasa zostanie poddana ponownemu testowi w ciągu kilku najbliższych połowicznych rozpadów radu. W tym czasie nie będzie stwarzać realnego zagrożenia. Na wszelki wypadek zostanie wyznaczony obserwator. Przez czas potrzebny dla ponownego rozpatrzenia sprawy wasza rasa znajdzie się pod wnikliwą obserwacją Matki Strażniczki - w tym miejscu maszyna wymieniła prawdziwe wegańskie imię Wielkiej Matki - która będzie informowała nas o każdej zmianie. Na zakończenie życzymy waszej rasie znacznych postępów na długiej drodze ewolucji.

- Próbki mogą wrócić do swojej czasoprzestrzeni.

ROZDZIAŁ 12

Lądowanie w New Jersey bez zapowiedzi nie należało do najszcześniejszych pomysłów. Princeton leży nieopodal ważnych celów strategicznych i mogliśmy zostać potraktowani całą paletą rakiet, nie wyłączając tych z głowicami atomowymi. Wielka Matka powiedziała wesołym trellem:

(- Mam nadzieję, że jakoś unikniemy nieszczęścia.)

Rzeczywiście. Wylądowaliśmy na jednej z bocznych uliczek, Wielka Matka zaśpiewała coś na pożegnanie i już jej nie było. Chodzenie nocą po ulicach w kombinezonie kosmicznym nie jest zakazane przez prawo, tym bardziej ze szmacianą lalką pod pachą. Ale zwraca uwagę, bezwzględnie więc zwinęła nas policja. Zadzwonili do ojca Peewee. Po upływie około dwudziestu minut siedzieliśmy już w jego gabinecie, popijając kakao, gawędząc i pogryzając chrupkie pieczywo.

Jej mama o mało nie dostała ataku. Opowiadaliśmy naszą historię, a ona co jakiś czas wstrzymywała oddech ze zgrozy i wykrzykiwała „Nie do wiary!”. W końcu profesor Reinfeld powiedział:

- Uspokój się, Janice, albo idź do łóżka.

Nie miałem jej jednak za złe takiego zachowania. Córka znika bez wieści podczas wizyty na Księżycu i zostaje uznana za martwą, a później w cudowny sposób pojawia się

na Ziemi. Profesor Reisfeld wierzył nam jednak. Wielka Matka „rozumiała”, a on na podobnej zasadzie „akceptował”. W trakcie naszej opowieści wysuwał najróżniejsze teorie, które najczęściej nie miały nic wspólnego z rzeczywistością.

Obejrzał skafander córki, później przełącznik na kasku, zapalił światło, aby szybka zmatowiała. Na jego ustach błąkał się uśmiech. W końcu sięgnął po telefon.

- Dario musi to zobaczyć.
- Curt, o północy?
- Janice, daj spokój. Koniec świata nie będzie czekał, aż otworzą wszystkie urzędy.
- Profesorze Reisel?
- Słucham, Kip.
- Najpierw powinien pan obejrzyć inne rzeczy.
- Możliwe.

Wyjąłem z Oskara kilka drobiazgów: dwie radiolatarnie, trochę metalowego „papieru” pokrytego równaniami, dwie „zabawki” i dwie srebrzyste kule. Zrobiliśmy przystanek na Wedze Pięć i większość czasu spędziliśmy w stanie hipnozy, podczas gdy profesor Joe i jego kolega wypytywali nas o szczegóły dotyczące ludzkiej matematyki. Nie, nie mieli zamiaru uczyć się od nas algebry! Potrzebowali naszych pojęć matematycznych, od pierwiastków i wektorów począwszy, a na dziwacznych symbolach wyższej matematyki skończywszy, aby móc nas czegoś nauczyć. Rezultaty ich wysiłków przywieźliśmy na metalowym papierze.

Na początek pokazałem profesorowi Reisfeldowi nasze radiolatarnie.

- Obecnie rewir Wielkiej Matki obejmuje również naszą gwiazdę. Powiedziała, abyśmy skorzystali z tego urządzenia, jeśli będziemy jej potrzebować. Przeważnie będzie czuwać gdzieś w pobliżu, najwyżej o tysiąc lat świetlnych. Ale przybędzie, nawet gdyby zapędziła się w dalsze rejony.

- Och!

Wziął radiolatarnię do ręki. Była zgrabniejsza i mniejsza od tej, którą Peewee miała na Plutonie.

- Czy będzie można rozebrać to urządzenie?

- Hmm, w środku zgromadzono wielką energię, a niewłaściwe użycie grozi wybuchem.

- Tak, to byłoby niebezpieczne - oddał mi latarnię.

Funkcji „zabawek” nie sposób wyjaśnić. Z wyglądu przypominały abstrakcyjne rzeźby. Moja była wykonana z materiału podobnego do obsydianu, lecz w dotyku dziwnie ciepła i miękka. „Zabawka” Peewee przypominała nefrytową kulę. Ale prawdziwy szok można było przeżyć dopiero po przyłożeniu tego przedmiotu do głowy. Za moją namową profesor Reisfeld dotknął „zabawką” czoła i zrobił niesamowitą minę. Za sprawą tego urządzenia czuło się niemal fizyczną obecność Wielkiej Matki: ciepło, bezpieczeństwo, zrozumienie.

- Ona cię kocha - stwierdził profesor. - Przepraszam, to przesłanie nie było dla mnie.

- Och, ona kocha również pana.

- Słucham?

- Ona kocha wszystko to, co jest małe, młode i bezbronne. Dlatego właśnie nazywa się „Wielka Matka”.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak dla człowieka postronnego mogą brzmieć te słowa. Ale profesor nawet nie mrugnął okiem.

- Mówiłeś, że ona jest policjantką?
- Raczej pracownicą opieki społecznej. Mieszkamy w zabitej deskami dziurze, mamy paskudnych sąsiadów. Czasami jest zmuszona robić pewne rzeczy, które nie sprawiają jej przyjemności. Ale jest dobrą policjantką, a ktoś musi przecież wykonywać za nas brudną robotę. Ona nie wygina się od obowiązków.

- Tego jestem pewien.
- Chce pan spróbować jeszcze raz?
- A mogę?
- Jasne, to nie spowoduje wyczerpania się baterii.

Ponownie przyłożył zabawkę do czoła i jego twarz rozjaśnił uśmiech szczęścia. Spojrzał na Peewee z czułością.

- Niepotrzebnie martwiłem się o córkę, skoro znajdowała się w rękach tak doskonałych opiekunów jak Wielka Matka i ty, Kip.

- Razem tworzyliśmy niezły zespół - stwierdziłem. - Bez Peewee nie mielibyśmy szans. Ten dzieciak ma głowę na karku!

- Niekiedy mieliśmy okazje przekonać się o tym na własnej skórze.

- Parę razy uratowała nam życie! Te kule służą do robienia różnego rodzaju zapisów. Czy ma pan magnetofon, profesorze?

- Oczywiście.

Uruchomiliśmy nagrywanie i kazałem kuli mówić do mikrofonu. Potrzebny był magnetofon, ponieważ te kule

są jednorazowego użytku. Później pokazałem profesorowi metalowy papier. Sam próbowałem coś z niego wyczytać, przebrnąłem przez dwa pierwsze cale, rozpoznawszy zaledwie kilka symboli. Profesor dotarł do połowy pierwszej strony i przerwał lekturę.

- Lepiej skorzystam z telefonu.

O świcie Księżyc wyjrzał zza chmur i próbowałem zgadnąć, gdzie leży stacja Tombaugh. Peewee spała w fotelu, owinięta w ojcowski szlafrok. Profesor Reinfeld próbował zanieść ją do łóżka, lecz dziewczynka ocknęła się niespodziewanie, zaczęła protestować, tym samym udaremniając wszelkie wobec niej zakusy. Profesor Reinfeld gryzł więc pustą fajkę i słuchał kuli szepczącej do mikrofonu.

Profesor Giomi i doktor Bruck stali po drugiej stronie gabinetu, zapisując pracowicie tablicę po tablicy i dyskutując z ożywieniem nad metalowym papierem. Geniusze to jednostki często spotykane w Instytucie Zaawansowanych Badań, lecz tych dwóch zupełnie odbiegało od normy. Bruck wyglądał jak kierowca ciężarówki, a Giomi przypominał Juniona w momencie wielkiej ekscytacji. Byli podnieceni, ale doktora Brucka zdradzał jedynie specyficzny tik, co -jak zapewnił mnie ojciec Peewee — jest niezawodną oznaką nadchodzącego załamania nerwowego, oczywiście nie Brucka, lecz innych fizyków.

Minęły dwa dni, a my wciąż siedzieliśmy w gabinecie. Profesor Reinfeld ogolił się, pozostali chodzili zarośnięci. Ja trochę drzemałem i raz wzięłem prysznic. Tata Peewee wciąż przesłuchiwał nagrania. Od czasu do czasu Bruck i Giomi wołali do siebie; Giomi bliski hysterii, Bruck opanowany. Za każdym razem profesor Reinfeld zadawał kilka

pytań, kiwał głową i wracał na fotel. Wątpię, czy znał się na tak wysokiej matematyce, ale mógł wysnuć odpowiednie wnioski z wyników i poskładać razem z innymi elementami.

Chciałem wrócić do domu, kiedy przestałem być potrzebny, lecz profesor Reisfeld poprosił, abym został. Sekretarz generalny Federacji Wolnych Narodów zapowiedział swą wizytę.

Zostałem. Nie zadzwoniłem do domu, bo po co denerwować rodziców. Wolałem pojechać do Nowego Jorku na spotkanie z sekretarzem generalnym. Okazało się jednak, że sekretarz odwiedzi nas osobiście, tutaj, na miejscu. Najwidoczniej profesor Reisfeld cieszył się dużym poważaniem w kręgach wielkiej polityki.

Pan van Duivendijk był mężczyzną wysokim i szczupłym. Uścisnął nam po kolei dłonie i powiedział:

- To ty jesteś synem doktora Samuela C. Russella?

— Zna pan moją tatę?

— Spotkaliśmy się przed kilku laty w Hadze.

Doktor Bruck podszedł do nas szybkim krokiem i ledwie skinąwszy głową sekretarzowi, spytał:

— Jesteś chłopakiem Sama Russella?

- Co, pan też go zna?

— Oczywiście. Statystyczna interpretacja niekompletnych danych. Znakomite.

Wrócił do tablicy i wziął do ręki nowy kawałek kredy. Nie wiedziałem, że tata pisał takie rzeczy, nie podejrzewałem też, że zna czołowe postacie Federacji Wolnych Narodów. Czasami robił na mnie wrażenie ekscentryka.

- Macie panowie coś ciekawego? - spytał van D.

- I owszem - odparł Bruck.
- Niesamowite! - dodał Giomi.
- Co mianowicie?
- No cóż... - Bruck wskazał palcem jakiś szlaczek na tablicy. - To oznacza, że można kontrolować reakcję nuklearną z pewnej odległości.
- Jakiej konkretnie?
- Może być dziesięć tysięcy mil?
- Myślę, że to wystarczy. Coś jeszcze?
- A czego pan sobie życzy? - spytał Bruck. - Grzane piwko?
- Słucham?
- Widzi pan siedemnastą linijkę od góry? To może oznaczać antygravitację, ale głowy nie dam. Ten pomyłony Włoch uważa natomiast, że chodzi o podróże w czasie.
- To jest fakt!
- Jeśli nawet ma rację, to na realizację takiego projektu trzeba byłoby zużytkować potencjał energetyczny średniej gwiazdy. Zatem radzę na razie zapomnieć o tym pomysle. -Bruck utkwiał wzrok w szlaczkach pokrywających tablicę. -Być może konieczne jest nowe podejście do problemu konwersji materii. Co pan powie na podręczny agregat, który wytwarza więcej kilowatów niż reaktor w Brisbane?
- Poważnie? Można coś takiego skonstruować?
- Proszę zapytać wnuka. Na razie jesteśmy na etapie hipotez - odparł Bruck, marsząc brwi.
- Doktorze Bruck, co pana gnębi? - spytał van D.
- Zamierza pan nadać temu wszystkiemu klauzulę „Ścisłe tajne”? Nie przepadam za utajnianiem równań matematycznych.

Nastawiłem ucha. Wspomniałem Wielkiej Matce o pomysł „utajniania” i chyba udało mi się ją zaszokować. Stwierdziłem, że Federacja Wolnych Narodów musi mieć jakieś tajemnice, aby normalnie funkcjonować, tak samo jak Trzy Galaktyki. Jakoś nie mogła tego pojąć. Ostatecznie stwierdziła, że nie ma to większego znaczenia. Ja jednak się zmartwiłem, Chociaż nie lubię, gdy wiedza pozostaje dla mnie sekretem, nie chcę przecież zachowywać niefrasobliwej pogody ducha.

Pan van D. odparł:

- Nie cierpię tajemniczości. Ale znosić ją muszę.
- Wiedziałem, że tak pan odpowie!
- Proszę o spokój. Czy to jest projekt Waszyngtonu?
- Co? Naturalnie, że nie.
- Nie jest też federacyjny. Co dalej? Pokazaliście mi jakieś równania. Nie mogę zabronić opublikowania ich. Są wasze.

Bruck potrząsnął głową.

- Nie nasze - wskazał na mnie. - Jego.
- Rozumiem. — Sekretarz generalny spojrział na mnie. - Jestem prawnikiem, młody człowieku. Jeśli zechcesz je opublikować, nie będę mógł cię powstrzymać.
- Ja? One nie są moje. Ja tylko... byłem tylko posłańcem.
- Ty jeden możesz rościć sobie do nich prawa. Czy chcesz, żeby to wydać? Sygnowane twoim pełnym nazwiskiem? - Odniosłem wrażenie, że zależało mu na publikacji.
- Cóż, jasne. Ale trzecie imię nie powinno być moje; to powinno być... - Zawahałem się. Nie można wstawiać

czegokolwiek za imię autora. - Ach, wpiszcie tam „dr W. Matka”.

- Kto to taki?
- To kobieta. Pochodzi z Wegi, ale można udawać, że nazwisko jest chińskie.

Sekretarz generalny długo jeszcze wypytywał, przesłuchiwał taśmy. Potem zadzwonił... na Księżyc. Wiedziałem, że to już możliwe, ale nigdy nic myślałem, iż będzie mi dane coś takiego zobaczyć.

- Van Duivendijk przy telefonie... tak, sekretarz generalny. Daj roi głównodowodzącego... Jim?... Połączenie jest fatalne... Jim, ty czasem zarządzasz manewry ćwiczebne... Dzwonię nieoficjalnie, ale gdybyś tak mógł skontrolować dolinę... - odwrócił się do mnie, więc szybko podpowiedziałem - ... dolinę tuż za górami, na wschód od stacji Tom-baugh. Nie mówiłem o tym z Radą Bezpieczeństwa; to pozostaje między przyjaciółmi. Gdybyś tam się wybierał, weź większe siły. Możesz natknąć się na węże. Gady będą pewnie dobrze ukryte. Mam takie przeczucie. Tak, dzieciaki zdrowe, u Beatrix też wszystko w porządku. Zadzwonię do Mary i powiem, że rozmawiałem z tobą.

Sekretarz generalny poprosił o mój adres. Nie byłem w stanie powiedzieć, kiedy będę w domu, bo nawet nie wiedziałem, jak się tam dostać; zamierzałem pojechać stopem, ale nie wspomniałem o tym. Pan van D. uniósł nieco brwi.

- Chyba możemy podrzucić cię do domu w ramach rewanżu, co pan na to, profesorze?
- Naturalnie. I tak nie spłacimy tym całego długu.

- Russell, z twoich taśm dowiedziałem się, że masz zamiar studiować inżynierię ze specjalizacją kosmiczną.

- Zgadza się, proszę pana.

- Rozważałeś studia prawnicze? Mnóstwo młodych inżynierów garnie się w kosmos, niewielu prawników. Ale prawo przenika wszystko. Ktoś dobry w prawie kosmicznym i metaprawie miałby niezłą pozycję.

- Mógłby robić jedno i drugie - wyraził swój pogląd ojciec Peewee. - Przeciwny jestem tej współczesnej nadspecjalizacji.

- Niezły pomysł - zgodził się pan van Duivendijk. - Mógłby wtedy sam stawiać warunki.

Właśnie miałem powiedzieć, że najlepiej, jeśli pozostanę przy elektronice, gdy nagle zrozumiałem, co chcę robić.

- Hmm, dwóm naraz chyba nie dałbym rady.

- Nonsens! - stwierdził surowo profesor Reinfeld.

- Owszem, proszę pana. Ale chciałbym stworzyć kombinizon, który sprawowałby się lepiej od dotychczasowych. Mam kilka pomysłów.

- Mmm, to wiąże się bodaj z inżynierią mechaniczną. I z mnóstwem innych rzeczy, jak sądzę. Ale najpierw musisz zostać inżynierem. — Profesor Reinfeld zmarszczył brwi. - Jeśli dobrze pamiętam twoją taśmę, przeszedłeś przez college, ale żadna z dobrych szkół cię nie przyjęła. - Zabębnił palcami po blacie biurka. - Czy to nie śmieszne, panie sekretarzu? Chłopak leci do Obłoku Magellana, a nie może iść do szkoły, w której chce się uczyć.

- Cóż to, profesorze? Pan ciągnie, gdy ja popycham?

- I owszem. Chwileczkę. - Profesor Reinfeld podniósł słuchawkę swego aparatu. - Susie, połącz mnie z dyrektorem Instytutu Technologicznego w Massachusetts. Wiem, że są wakacje; nieważne, czy śpi, czy jest w Bombaju, znajdź go. Grzeczna dziewczynka. - Przerwał połączenie. - Była związana z instytutem przez pięć lat, a wcześniej pracowała w uniwersyteckiej centrali telefonicznej. Znajdzie go.

Byłem podekscytowany i dość zakłopotany. MIT - każdy łapałby za nogi taką okazję. Ale samo wpisowe potrafi powalić byka. Próbowałem wyjaśnić, że nie stać mnie na to.

Popracuję do końca roku szkolnego i przez letnie wakacje oszczędzę co nieco, pomyślałem.

Zadzwoił telefon.

- Mówi Reinfeld. Jak się masz, Oppie. Na spotkaniu absolwentów kazałeś mi obiecać, że dam ci znać, gdyby Brucka znowu zaczął nękać tik. Usiądź wygodnie. Otóż doliczyłem do dwudziestu jeden na minutę, to dowód, że.... Spokojnie, nie wolno ci wysłać nikogo, jeśli ja na tym nic zyskam. Jeśli znów zaczniesz wykład o akademickiej wolności i prawie do wiedzy odłożę słuchawkę i zadzwonię do Berkeley. Mogę tam robić interesy i wiem, że mogę robić je z tobą.... Niewiele, tylko stypendium na cztery lata, studia i opłaty... Nie krzycz na mnie; wykorzystaj dodatkowe fundusze, zalicz to na poczet biblioteki. Jesteś już dorosły, będziesz umiał wszystko sobie policzyć.... Nie, żadnych podpowiedzi. Kupuj kota w worku albo twoje laboratorium radiacyjne źle na tym wyjdzie. Co mówię? Laboratorium? Kaczej cały dział nauk fizycznych. Możesz uciec do

Ameryki Południowej, nie każ się prosić.... Co? Sam nieraz dokonywałem takich malwersacji. Chwileczkę.

Profesor Keisfeld spojrział na mnie.

- Składałeś papiery do MIT?
- Tak, proszę pana, ale...
- Znajdziesz jego teczkę w katalogu, „Clifford C. Russell”. Wyślij chłopakowi zawiadomienie do domu, a szef zespołu niech przyniesie mi kopię... Do jakiej grupy? No, do tej o profilu podstawowym. Prowadzi ją fizyk teoretyk, Farley, jeśli się nie mylę; to facet z wyobraźnią. To największa sensacja, odkąd jabłko wyrznięto w czoło sir Isaaca... W porządku, jestem szantażystą, a ty za to przyrośłeś do biurka i zupełnie zdiadziałeś. Kiedy wracasz do życia akademickiego?... Pokłony dla Beulah. Do zobaczenia.

-Odłożył słuchawkę.

- No, to załatwione. Kip, jedna rzecz nie daje mi spokoju: dlaczego te robakowate stwory chciały właśnie mnie?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie dalej jak wczoraj oznajmił mi, że próbuje zestawiać niezwykle dane: nie zidentyfikowane obrazy, falę nieoczekiwanych sprzeciwów wobec

podróży kosmicznych, mnóstwo rzeczy, które nie pasują. Człowiek na jego stanowisku zazwyczaj otrzymuje odpowiedzi, gdy pyta, i zyskuje sobie posłuch. Jeśli miał jakąś słabość, to była nią skromność, której z pewnością nie odziedziczyła Peewee. Gdybym powiedział mu, że najeźdźców z kosmosu zirytowała jego ciekawość, zapewne wzruszyłby tylko ramionami. Stwierdziłem więc:

- Nigdy tego nie powiedzieli. Uważali widać, że jest pan wystarczająco ważny, by pana zgarnąć.

Pan van Duivendijk wstał.

- Curt, nie będę tracił czasu na słuchanie bredni. Russell, cieszę się, że masz już załatwione stypendium. Gdybyś mnie potrzebował, zadzwoń.

Kiedy wyszedł, usiłowałem podziękować profesorowi Reisfeldowi.

- Miałem zamiar sam zapłacić za wszystko, proszę pana. Uzbierałbym jakoś pieniądze, zanim zacznie się szkoła.

- W niecałe trzy tygodnie? Nie żartuj, Kip.

- Chciałem pracować przez ten rok i...

- Zmarnować rok? Nie ma mowy.

- Ale ja już... - Spojrzałem ponad jego głowę na zieleni liści w ogrodzie. - Profesorze... jaki dzień dziś mamy?

- Noo, Święto Pracy, oczywiście.

(Próbki mogą wrócić do swojej czasoprzestrzeni.)

Profesor Reisfeld spryskał mi twarz wodą.

- Już lepiej?

- Tak, chyba tak. Ale my przecież spędziliśmy w kosmosie wiele tygodni!

- Kip, przeszedłeś zbyt wiele, żeby takie coś miało tobą wstrząsnąć. Możesz pogadać ze stratosferycznymi bliźniętami - wskazał na Giomiego i Brucka - ale tego nie zrozumiesz. Przynajmniej mnie się to nie udało.

Gdy wychodziłem, pani Reisfeld ucałowała mnie, a Peewee rozbeczała się i pożegnała Oskara na modłę Madame Pompadour. Oskar siedział na tylnym siedzeniu, bo profesor osobiście odwoził mnie na lotnisko.

Po drodze stwierdził;

- Peewee jest z ciebie dumna.

- Och, bardzo się cieszę.
- A ty? Nie chciałbym być niedelikatny...
- Czyja jestem z niej dumny? Pewnie, że jestem! Ocaliła mi życie cztery czy pięć razy.

Peewee potrafiła naprawdę wkurzyć człowieka. Ale była wojownicza, lojalna i bystra, do tego nie dawała sobie dmuchać w kaszę.

- Sam zdobyłeś już ze dwa medale za ratowanie życia. Pomyślałem nad tym.
- Tak mi się zdaje, że partaczyłem wszystko, czego dotknąłem. Ale miałem przyjaciół i niezwykły fart.

Aż się zatrząśłem na myśl o tym, że samo tylko szczęście trzymało mnie z dala od niezłych tarapatów.

- „Fart” to słowo prowokujące pytania - odparł. - Mówiłeś o „wielkim szczęściu”, że usłyszałeś, jak moja córka wołała o pomoc. Trudno to nazwać szczęściem.

- Hę? To znaczy słucham?
- Czemu byłeś na tej właśnie częstotliwości? Bo nosiłeś kombinezon. Dlaczego miałeś go na sobie? Bo bardzo chciało ci się w kosmos. Gdy tylko statek wysłał wiadomość, ty odpowiedziałeś. Jeśli to jest szczęście, to ja mam szczęście za każdym razem, gdy trafiam widelcem do ust. Kip, „szczęście” jest następstwem odpowiednich przygotowań; „niefart” jest wynikiem niechlujstwa. Przekonałeś trybunał starszy niż sam człowiek, że ty i twój rodzaj warci jesteście zachowania. Czy to był zwykły przypadek?

- Uhm... tak naprawdę wściekłem się i prawie zawaliłem sprawę. Miałem dość ciągłego potrącania.

- Największych wydarzeń w historii dokonali ludzie „mający dość ciągłego potrącania”. - Zmarszczył brwi. - Cie-

szę się, że lubisz Peewee. Ma ze dwadzieścia lat umysłowo, za to sześc emocjonalnie; zazwyczaj zraża do siebie ludzi. Jestem zadowolony, że znalazła przyjaciela mądrzejszego od siebie.

Opadła mi szczeka.

- Ależ, profesorze, Peewee jest ode mnie o wiele bardziej bystra. Zostawia mnie daleko w tyle.

Rzucił na mnie okiem.

- Mnie zostawia w tyle od lat, a nie jestem ograniczony. Nie uwłaczaj sobie, Kip.

- Ale to prawda.

- Co? Najwybitniejszy psychomatematyk naszych czasów, człowiek, który zawsze ze wszystkim sobie radził, nawet na emeryturę odszedł, kiedy mu się podobało, a to trudne, gdy jest się praktycznie niezastąpionym. Taki człowiek ożenił się ze swą najlepszą uczennicą. Wątpię, czy ich latorośl jest mniej rozumna od mojego dziecka.

Musiałem się trochę pogłowić, żeby zrozumieć, że to mnie miał na myśli. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Ciekawe, ile dzieci naprawdę zna swoich rodziców? Najwyraźniej ja nie znałem.

Ciągnął dalej:

- Peewee to istne skaranie boskie, nawet dla mnie. No, jesteśmy na lotnisku. Kiedy wrócisz ze szkoły, wpadnij do nas, proszę. Możesz przyjechać też w Święto Dziękczynienia, jeśli zechcesz; na Boże Narodzenie pojedziesz pewnie do domu.

- Och, dziękuję panu. Przyjadę.

- Świetnie.

- Ach, co do Peewee. Gdyby stała się zbyt nieznosna, cóż, ma pan latarnię. Wielka Matka potrafi ją poskromić.

- Mmm, dobra myśl.

- Peewee parę razy usiłowała ją zwieść na manowce, ale nic z tego nie wyszło. Och, prawie zapomniałem. Komu mogę o tym powiedzieć? Nie o Peewee. O całej sprawie.

- To chyba jasne.

- Czy...

- Mów, komu chcesz. Nie będziesz miał zbyt wielu okazji. A poza tym mało kto ci uwierzy.

Do domu poleciałem odrzutowcem. Te samoloty są naprawdę szybkie. Dowiedziawszy się, że mam przy sobie tylko dolara i sześćdziesiąt siedem centów, profesor Reinfeld prawie siłą wepchnął mi do kieszeni dziesięć dolarów. Mogłem więc pójść do fryzjera na dworcu autobusowym i kupić dwa bilety do Centerville — jeden dla mnie, drugi dla

Oskara, żeby nie musiał jechać w luku bagażowym. Dzięki fundowanemu stypendium nie musiałem sprzedawać kombinezonu i to cieszyło mnie najbardziej.

Wspaniale było zobaczyć znów Centerville: wiązy rosnące wzdłuż ulicy i studzienki kanalizacyjne. Kierowca zatrzymał autobus pod moim domem - to ze względu na Oskara; strasznie niewygodnie się go nosi. Poszedłem prosto do szopy, ustawiłem Oskara pod ścianą i obiecałem, że zobaczymy się później. Potem zapukałem do drzwi frontowych.

Mamy nie było w domu. Tata siedział w gabinecie. Uniósł głowę znad książki.

- Cześć, Kip.
- Cześć, tato.
- Przyjemna wycieczka?
- Nie pojechałem nad jezioro.
- Wiem. Dzwonił pan Reinfeld... nakreślił sytuację.
- Och! W sumie wycieczka była przyjemna - spostrzegłem, że trzyma w rękach jeden z tomów Encyklopedia Britannica, otwarty na hasło „Obłoki Magellana”.

Dostrzegł moje pytające spojrzenie.

- Nigdy ich nie widziałem - wyjaśnił. - Raz miałem okazję, ale niebo było akurat zachmurzone. Pamiętam, południowa Afryka. Ciebie jeszcze nie było na świecie.

- Nie wiedziałem, że tyle podróżowałaś.
- To była nudna praca dla rządu. Nic ma o czym opowiadać. Czy tam jest pięknie?
- Nie za bardzo.

Wziąłem do ręki inny tom encyklopedii, odszukałem hasło „mgławica”, a następnie „Wielka Mgławica Andromedy”.

- Tak wygląda prawdziwe piękno. My z daleka wyglądamy podobnie.

Tata westchnął.

- To musi być cudowny widok.
- Racja. Opowiem ci ze szczegółami. Mam kasetę.
- Nie ma pośpiechu. Masz za sobą kawał drogi. Trzysta trzydzieści trzy tysiące lat świetlnych, prawda?
- Nie, zaledwie połowę z tego.
- Mam na myśli podróż w dwie strony.
- Hmm, Ale my nie wracaliśmy tą samą drogą.
- Słucham?

~ Nie wiem, jak to wyjaśnić. Jeśli zdecydujesz się na skok, jakikolwiek skok, to aby wrócić na miejsce startu, można albo się cofnąć, albo polecieć dookoła; lecieć prosto przed siebie, aż do punktu wyjścia. „Prosto” nie jest tutaj właściwym słowem, gdyż przestrzeń jest zakrzywiona, ale wiemy, o co chodzi.

- Wielki krąg kosmiczny?
- Coś w tym rodzaju. Podróż dookoła po prostej linii.
- Hmm... - zmarszczył brwi w zamyśleniu. - Kip, jaką odległość trzeba przebyć, aby okrążyć wszechświat?

Milczałem przez chwilę.

- Tato, sam pytałem, ale nie otrzymałem jasnej odpowiedzi.

Wielka Matka wyjaśniła: „Jak można mówić o odległości tam, gdzie nie ma niczego?”. To nie jest odległość, a raczej stan. Ja nie podróżowałem, raczej skakałem.

Tata siedział zamyślony.

~ Nie powinienem prosić o wyjaśnianie matematycznych problemów za pomocą słów.

Chciałem zaproponować, żeby o szczegóły tata zapytał doktora Brucka, ale przerwał mi śpiewny głos matki.

- Dzień dobry, moi drodzy!

Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że słyszę Wielką Matkę.

Ucałowała tatę, później mnie.

- Cieszę się, że wróciłeś, kochanie.
- Hmm... - Spojrzałem znacząco na tatę.
- Mama o wszystkim wie.
- Tak - potwierdziła miękki głosem. - Nie interesuje mnie, dokąd chodzi mój duży chłopiec, dopóki wraca

zdrowy do domu. I tak wiem, że nie zatrzymam go siłą. - Klepnęła mnie po policzku. - Zawsze będę z ciebie dumna. A wracając do spraw bardziej przyziemnych, to właśnie wracam ze sklepu i udało mi się kupić wspaniały kawałek schabu.

Nazajutrz był wtorek i poszedłem wcześniej do pracy. Przed sklepem było brudno, więc założyłem biały kitel i zakasałem rękawy. Pan Charton akurat telefonował. Odwiesił słuchawkę i przyszedł się przywitać.

- Przyjemna wycieczka, Kip?
- Bardzo przyjemna, panie Charton.
- Kip, muszę ci coś powiedzieć. Wciąż marzysz o podróży na Księżyc?

Byłem zaskoczony tym pytaniem. Zdecydowałem jednak, że na razie nie będę opowiadać panu Chartonowi o wszystkim.

No cóż, tak naprawdę to nie miałem okazji odbyć prawdziwej wycieczki po Księżycu. Nadal miałem ochotę tam polecieć, choć nie była to potrzeba paląca.

- Tak, proszę pana. Ale najpierw mam zamiar skończyć studia.

- Uważam, że to słuszna decyzja. Bo wiesz... sam nie mam dzieci. Jeśli będziesz potrzebował pieniędzy, mów śmiało.

Wspominał coś o szkole farmaceutycznej, ale o czymś podobnym nie było dotąd mowy. A nie dalej jak wczoraj tata powiedział, że wykupił mi miejsce na studiach zaraz po urodzeniu i tylko sprawdzał, na ile mnie stać.

- Dziękuję, panie Charton, to strasznie miło z pana strony.

- Chciałbym, abyś się dalej uczył.
- Sprawy są na dobrej drodze, proszę pana. Ale pewnego dnia, być może, będę potrzebował pożyczki.
- Nie, tu nie chodzi o pożyczkę. W każdym razie daj mi znać.

Odwrócił się, był wyraźnie poruszony.

Pracowałem w skwarze, od czasu do czasu dotykając „zabawki” wepchniętej do kieszeni. Zeszłego wieczora zademonstrowałem działanie tego urządzenia rodzicom. Mama krzyknęła. Tata spojrzał na mnie poważnie.

- Powoli zaczynam wszystko rozumieć, Kip.

Wyczyściłem fontannę na błysk i sprawdziłem działanie wentylatorów. Wszystko działało bez zarzutu.

Po południu przyszedł Ace Quiggle i usiadł przed wejściem.

- Cześć, Kosmiczny Piracie! Co słysząc u Władców Galaktyki? He, he, he!

Jak zareaguje na kulturalne zachowanie? Dotknąłem „zabawki” i spytałem:

- Co podać, Ace?
- To co zawsze, byle szybko!
- Słodzony podpiwek?
- ~ Brawo. Tylko nie daj na siebie czekać, mały!
- Jasne, Ace.

Nie było sensu denerwować się na Ace’a. Jego świat był równie wąski, co przestrzeń między uszami i niewiele głębszy od świńskiego koryta. Podeszły dwie dziewczyny. Podałem im colę, a podpiwek Ace’a włożyłem do miksera. Ace wyraźnie szukał zaczepki.

- Hej, moje panie, znacie Komandora Kometę?

Jedna z dziewcząt zachichotała. Ace uśmiechnął się obłudnie i ciągnął:

- Jestem jego menedżerem. Potrzebujecie pomocy bohatera, walcie do mnie jak w dym. Komandorze, myślałem trochę o twojej firmie.

- Słucham?

- Pora umyć uszy. „Zakładaj kombinezon i w drogę” to za mało. Aby wyciągnąć jakąś grubszą forszę z tego śmiesznego ubranka, trzeba zainwestować w reklamę. Musimy więc dodać: „Wykańczanie Straszliwych Potworów i Katowanie Świata - Ceny do Uzgodnienia”. Niezłe, co?

Potrząsałem głową.

- Smutne, Ace.

- Co z tobą? Nie masz głowy do interesów?

- Trzymajmy się faktów. Nie pobieram opłat za ratowanie świata i nie robię tego dla chwały. Po prostu mam taki dar. Nie wiem jednak, czy zdecydowałbym się kiwnąć palcem, gdyby chodziło o twoją skórę.

Dziewczyny zachichotały. Ace zrobił marsową minę.

- Mądrała z niego, co? A nie wiesz, Komandorze, że klient ma zawsze rację?

- Zawsze?

- Oczywiście. Musisz to zapamiętać. A teraz pędem po mój napój!

- Już się robi, Ace.

Nalałem pełną szklankę. Ace podał mi trzydzieści pięć centów. Zdecydowanym ruchem odsunąłem jego rękę.

- To na koszt firmy.

I wylałem mu zawartość szklanki na twarz.

Robert A. Heinlein, oficer amerykańskiej marynarki wojennej, fizyk, w końcu zaś jeden z najsłynniejszych twórców science fiction, wielokrotnie uznawany przez czytelników za najlepszego pisarza SF wszech czasów, w najlepszej formie!

Bliskie spotkanie trzeciego stopnia Kipa Russella z Obcymi bardziej przypomina porwanie niż kontakt przedstawicieli dwóch cywilizacji, zwłaszcza że Obcy jako żywo najbliżsi są psychiką członkom gangu Ala Capone. Księżycowa wspinaczka, lot na kraniec Galaktyki, walka z upiornymi robakowatymi – czytelnik zostaje porwany w wir nieprawdopodobnej przygody.

Nakładem Domu Wydawniczego

REBIS

ukazały się m.in. takie powieści

Roberta A. Heinleina, jak:

Luna to surowa pani
Kot, który przenika ściany
Hiob



REBIS

ISBN 83-7120-214-8